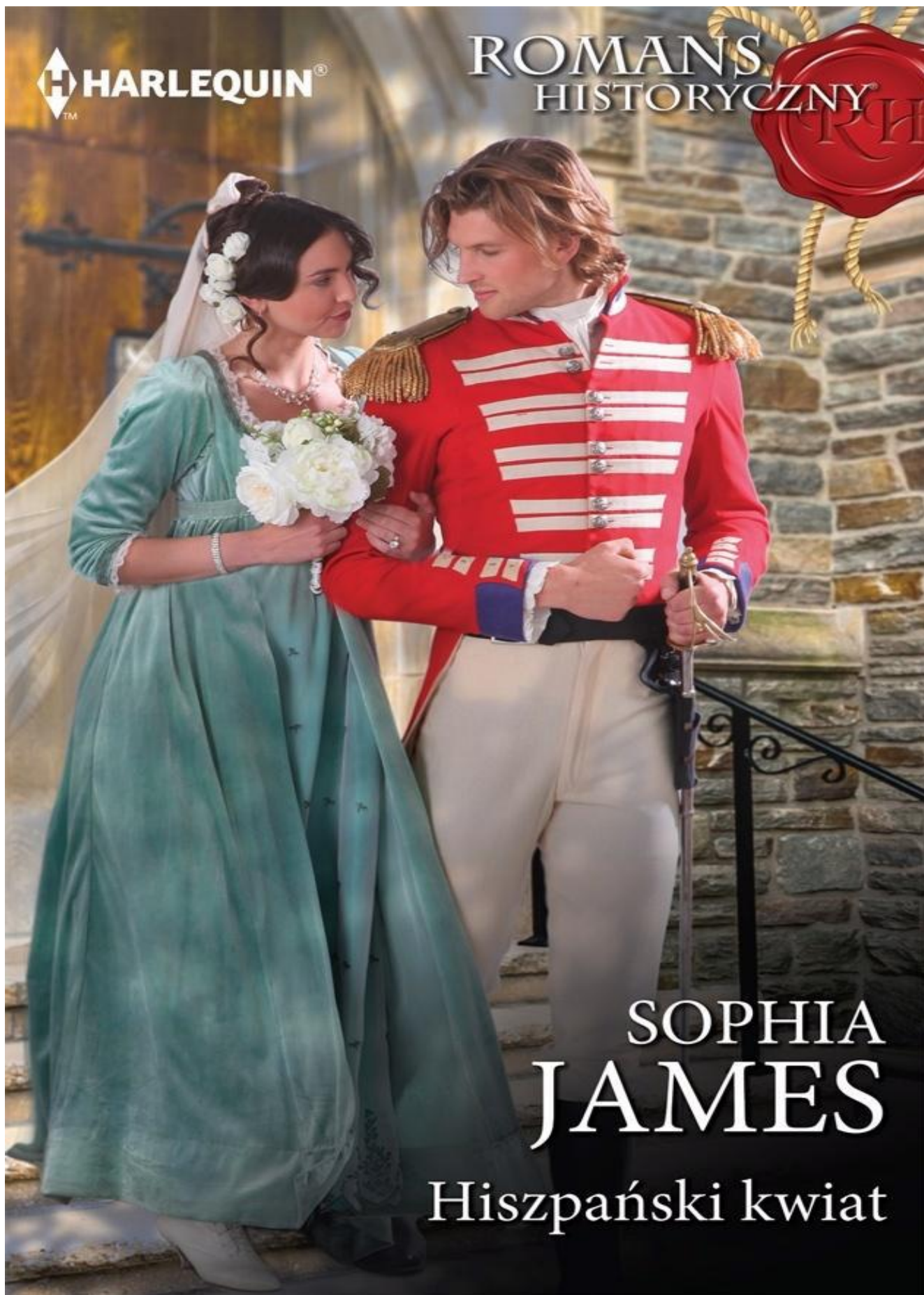
 HARLEQUIN<sup>®</sup>

ROMANS  
HISTORYCZNY



SOPHIA  
JAMES

Hiszpański kwiat

**Sophia James**

**Hiszpański kwiat**

Tłumaczenie:  
Barbara Ert-Eberdt

## Rozdział pierwszy

*„Anglicy zapowiadają, że nie będą respektowali neutralności na morzach; ja nie będę jej respektował na lądzie”.*

Napoleon Bonaparte

*La Coruña, Hiszpania – 16 stycznia 1809*

Lucien Howard, hrabia Ross, kapitan w służbie króla Anglii, był przekonany, że ma nie tylko złamany nos, ale także jeden z kręgow szyjnych, ponieważ nie mógł poruszyć głową. Leżał przygnieciony ciężarem martwej kobyły. Przy każdej próbie zaczerpnięcia głębszego oddechu odczuwał ból w piersiach, co nie napawało optymizmem, zważywszy na marne szanse uzyskania jakiegokolwiek pomocy medycznej. Łeb kobyły, która przewiozła go tutaj bezpiecznie z Lizbony przez Góry Kantabryjskie drogami śliskimi od pośniegowego błota, był nienaturalnie wygięty w bok. Nieruchome brązowe oczy wpatrywały się w dal niewidzącym wzrokiem. Zrobiło mu się żal wiernej towarzyszki wojennych zmaganiań.

Jeszcze dzień, a Napoleon i jego generałowie zawładną portem. Klęska była bezdyskusyjna, Brytyjczycy przegrali. Ciężka zima odbierała nadzieję na jakikolwiek opór i przybycie posiłków z położonego bardziej na południe portu w Vigo. Cholerna zimnica. Wydechane ustami powietrze zamieniało się w parę. Nadciągająca od morza mgła mieszała się z dymem wciąż zalegającym w dolinie, chociaż bitwa skończyła się jakiś czas temu.

Lucien nie tyle bał się śmierci, co umierania, bo wiedział, że potrwa długo, a jemu pozostanie bezradnie czekać na koniec, który nieuchronnie nastąpi, gdy nie będzie w stanie nabrać najpłytszego oddechu. Spojrzał w niebo, w nadziei że Stwórca przyspieszy jego agonię. Tak dawno się nie modlił, że nie potrafił znaleźć słów, którymi mógłby poprosić Boga o odpuszczenie grzechów i pokutę. W imieniu króla i ojczyzny zabił wielu ludzi, zarówno dobrych, jak i złych. Kiedy raz zobaczył białka oczu martwego wroga, prawdy wiary wydały się mu mniej przekonujące niż wcześniej, zanim wstąpił w szeregi armii i zaczął wojować.

Człowiek jest człowiekiem bez względu na to, jakim językiem się posługuje, i raczej częściej niż rzadziej na szczęśliwy powrót żołnierza z wojny czekają bliscy. Pod tym względem nie był wyjątkiem. Na wspomnienie rodziny ogarnął go dojmujący żal, lecz nie chciał umierać ze łzami w oczach, więc skupił się na tym, by nie myśleć o krewnych.

Dzień dobiegał końca, słońce wisiało tuż nad horyzontem, za chwilę zapadnie zmrok. Wzdłuż rzędu drzew oliwnych i aloesowego żywopłotu dojrzał światło żywiczych pochodni. Najwyraźniej ktoś przeszukiwał pobojuwisko. Lucien nie miał siły zawołać o pomoc, leżał nieruchomo pod murkiem z kamieni polnych, za którym zapewne znajdował się ogród. Poczul dochodzący stamtąd zapach pomarańczy i polnego kwiecia, ale się zreflektował, że to niemożliwe w środku zimy. Nagle zrobiło mu się ciepło

i spłynął nań spokój. Wreszcie odnalazł słowa, którymi mógł wyrazić skrucę.

– Przebacz mi, Jezu, moje grzechy.

Ostatnia chwila w życiu okazała się wcale nie tak trudna, jak się tego spodziewałem, przemknęło mu przez głowę i nieznacznie się uśmiechnął. Dlaczego tak bardzo się jej bał?

Na niebie pokazały się pierwsze oznaki brzasku. Jak okiem sięgnąć, wszędzie leżały ciała; Anglików i Francuzów spłotła w uścisku śmierć. Nieomal przyjacielskim, pomyślała Alejandra. Tylko generałowie mogli myśleć, że taka ofiara warta jest poświęcenia każdej walczącej strony, ponieważ sami rzadko narażali życie. Zaklęła w duchu, zniesmaczona bezsensu wojny. Angielski żołnierz był umazany krwią własnego konia. Uratowało go wciąż ciepłe ciało zwierzęcia, inaczej zamarzłoby w ten styczniowy dzień ostrej galicyjskiej zimy.

Końskie zwłoki w końcu jednak wystygną. Jasne włosy Anglika były różowe od krwi, która wysączyła się z rany na karku i zebrała w zagłębieniu pod głową. Zdjęła Anglikowi z palca złoty sygnet, który zamierzała oddać ojcu, i wtedy otworzył oczy przerażająco jasne w świetle porannej zorzy, prawie przezroczyste.

– Jeszcze... żyję? – W wypowiedzianych po hiszpańsku słowach zabrzmiały rozczarowanie i rezygnacja.

– Co cię boli?

– Raczej co... nie boli?

Miał posiniaczoną twarz i brzydko rozciętą wargę, ale nawet w takim stanie wciąż był piękny. Za piękny, by umierać anonimowo i w zapomnieniu. Alejandra wyjęła z pogruchotanego płotu palik i podłożyła go pod szyję konia. Ta swoista dźwignia zadziałała i udało się przesunąć potężne zwierzę w bok na tyle, by uwolnić rannego. Jęknął z bólu.

– Jęcz, ile ci się podoba, Angliku – powiedziała. – Twój ewakuowali się morzem, a Francuzi są zajęci przejmowaniem miasta. Nikt cię nie usłyszy.

Nienawidziła męskiej pogardy dla śmierci, bo w jej opinii zasługuje na szacunek. Z jakiej racji ludziom, którzy wydają ostatnie tchnienie na obcej ziemi, odmawiać prawa do zapłakania nad własną ofiarą? Kto inny miałby zrobić to za nich?

Przecież nie ona ani jej ojciec, ani oficerowie bezpieczni na statkach żeglujących do Anglii przez burzliwe wody Zatoki Biskajskiej. Ci, którym nie udało się załadować, przemykają teraz ulicami La Coruñy w poszukiwaniu schronienia, podczas gdy ich liczniejsi towarzysze leżą z gardłami poderżniętymi w okrutnym akcie łaski pod zwisającym nad plażą klifem.

„Lepiej nie żyć, niż znaleźć się na łasce nieprzyjaciela” – kiedyś podzielała ten pogląd, ale łuski opadły jej z oczu. Straciła wiarę w wiele dawniej uznawanych prawd i nie dowierzała nikomu. Czasami buntowała się wewnątrz, ale na ogół nie myślała o takich sprawach.

Adan i Bartolomeu, zwany Tomeu, przynieśli zwinięte płócienne nosze.

– Chcesz go zabrać?

Twierdząco skinęła głową.

– Uważajcie, jak będziecie go przenosili.

Tomeu przykucnął, zdrapał błoto z epoletów.

– Kapitan.

Źle, pomyślała. Ojciec zaczynał wątpić w triumf Hiszpanów i dystansował się od lokalnej polityki. Lepiej, żeby ranny był szeregowym żołnierzem, bo łatwiej wytłumaczyliby, dlaczego go uratowali.

– Zadbajmy, żeby wyzdrowiał i znowu powalczył w naszej sprawie – powiedziała.

Czy ten człowiek to rzeczywiście zwiastun zwycięstwa? A może klęski? Nie potrafiła sobie na te pytania odpowiedzieć. Tymczasem wyciągnął ku niej pokaleczone palce lewej dłoni, jakby szukał pocieszenia, a ona wbrew własnym intencjom ścisnęła je mocno, jak gdyby chciała przelać nieco ciepła w jego stygnące członki.

Jęczał z bólu, kiedy przetaczali go na nosze. Miała wtedy możliwość obejrzenia rany na karku. Spomiędzy strzępów koszuli przeświecało pocięte ciało. Musiała go dosięgnąć więcej niż jedna szabla, pomyślała. Utracił wiele krwi. Z tego powodu trząś się z zimna. Zdjęła z ramion wełniane ponczo i otuliła go nim starannie aż po brodę.

– Po co? I tak umrze. – Tomeu wzruszył ramionami.

Nie chciała usłyszeć okrutnych, choć prawdziwych słów. W jej ocenie Tomeu usprawiedliwiała jedynie gorzycz brzmiąca w jego głosie.

– Przychodzą i odchodzą. W końcu to bez znaczenia. Śmierć ciągle zbiera żniwo.

– *Padre Nuestro que estás en los cielos...* – zaczęła cicho odmawiać Ojciec Nasz. Położyła na rannym ozdobny różaniec, żeby chronił go w drodze do domu.

\* \* \*

Lucien trząś się z zimna. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Na pewno nie na polu bitwy, także nie na statku płynącym do Anglii, do domu, i nie w piekle, bo skąd by się tam wzięły tak starannie wykrochmalone prześcieradła i miękki wełniany koc.

Wykręcił głowę, żeby złowić uchem dźwięki prowadzonej gdzieś w oddali rozmowy. Toczyła się po hiszpańsku. Tego był pewny. Potężne belki pod sufitem i bielone ściany świadczyły o tym, że ten dom jest położony na Półwyspie Iberyjskim, a jego właściciel musi być raczej zamożny.

Spojrzał na chłopaka. To on znalazł go na poboju, a teraz drzemał, siedząc na krześle ustawionym koło łóżka. Był młody i chudy, kapelusz nasunął na czoło. Chyba służący. Co tu robi? Dlaczego nie pracuje? W każdej zasobnej hacjendzie jest dużo roboty. Dlaczego jego pan pozwala mu siedzieć przy chorym i marnować czas?

Lucien popatrzył niżej, zauważył nagą skórę powyżej cholewki podniszczonego buta. W tym momencie chłopak otworzył oczy. Okazało się, że są zielone.

– Nie śpisz?

Lucien rozpoznał wymowę z okolic León z naleciałościami, których nie potrafił zlokalizować.

– Gdzie jestem? – zapytał z takim samym akcentem i zauważył zdziwienie chłopaka.

– W bezpiecznym miejscu – odparł po kilku sekundach namysłu.

– Jak długo?

– Trzy dni. Zostałeś znaleziony na poboju pod La Coruñą następnego rana po

odpłynięciu Anglików.

– A co z Francuzami?

– Konsumują owoce zwycięstwa. Z rozkazu Napoleona Soult zajął miasto. Jest ich mnóstwo.

– Cholera.

– Kim jesteś? – zapytał chłopak prawie szeptem.

– Kapitan Howard z Osiemnastego Pułku Lekkich Dragonów. Wiesz coś o losie angielskiego generała, sir Johna Moore'a?

– Pochowali go w nocy na wzniesieniu w pobliżu cytadeli. Ludzie mówią, że zmarł w otoczeniu swoich oficerów. Dostał kulą armatnią w pierś.

– Skąd wiesz?

– To nasz kraj, kapitanie. Stąd do miasta są trzy mile. Mało rzeczy uchodzi naszej uwagi.

– Waszej?

Milczenie było wiele mówiące.

– Należysz do partyzantki? Jesteś człowiekiem El Vengadora? To jego teren, prawda?

Chłopak nie kwapił się z odpowiedzią.

– Gdzie nauczyłeś się po hiszpańsku? – zapytał.

– Pięć miesięcy pobytu dało rezultat.

– Ale nie taką biegłość.

– Mam dobry słuch.

Lucien spojrzał na dłoń chłopaka chwilę przed tym, nim zacisnął ją w pięść. Zauważył jeden złamany paznokieć i starą bliznę przecinającą kciuk. Pomyślał, że jego wybawca ma zastanawiająco cienkie i delikatne palce jak na chłopaka, i pojął, że to kobieta.

– Kim pani jest, *señorita*?

Zerwała się na nogi i zacisnęła dłonie na szyi Luciena.

– Jeśli komukolwiek o tym piśniesz, będziesz martwy. Rozumiesz?!

Potoczył wzrokiem po pokoju. Drzwi były zamknięte, ściany wyglądały na grube.

– Nie po to... mnie uratowałaś... żeby teraz zabić... – powiedział z trudem, ponieważ brakowało mu tchu.

Zwolniła uścisk. Zaczerpnął powietrza z ulgą, która mu się nie spodobała. Przywiązanie do życia czyni człowieka słabszym.

– Inni nie będą tacy wyrozumiali jak ja, jeśli podzielisz się z nimi swoimi domysłami. Każdy będzie mnie bronił z narażeniem własnego życia.

Lucien skinął głową.

– Domyślam się więc, że jesteś córką pana tego domu – powiedział tym razem po kastylijsku. Zauważył, że zeszywniała, po czym wyszła bez słowa.

Kim, do diabła, jest ten obcy o jasnoniebieskich oczach, którym nie umykał żaden szczegół, o włosach jak złocista jedwabna przędza i ciele poznaczonym bliznami od ran odniesionych na wojnie?

Nie prostym żołnierzem, to pewne. Pułk Lekkich Dragonów walczył pod rozkazami

Pageta w okolicach San Cristobal, ale Anglik został znaleziony na wschód od Piedralonga, dobre dwie mile dalej, na terenie Hope'a. Posługiwał się równie biegle narzeczem z okolic León co kastylijskim. Taki ktoś może okazać się niebezpieczny dla nich wszystkich. W tej sytuacji należałoby się podzielić obawami z ojcem i resztą. Powinna kazać go wywieźć z hacjendy i pozostawić własnemu losowi.

Podeszła do okna i zapatrzyła się w ciemne morze. Kapitana charakteryzowało to, co było jej dobrze znane z autopsji. Podobnie jak ona, był obcym, intruzem i otaczała go aura niebezpieczeństwa. Kiedy go dusiła, nie objawiał strachu ani z nią nie walczył, tylko czekał. Zupełnie jakby wiedział, że ona go nie udusi. Klnąc, zamknęła na noc okiennice.

Lucien leżał i nasłuchiwał. W pokoju krzątała się służąca. W korytarzu dały się słyszeć ciężkie kroki. Ciemna postać przesłoniła dobiegające stamtąd światło. Korytarz wychodził na morze. Z otwartych drzwi powiało słonym powietrzem, słychać było huk rozbijających się o brzeg fal. Dziewczyna mówiła, że od La Coruñy dzielą ich trzy mile, jednak morze musiało być bliżej, najwyżej o milę, skoro do domu wdzierał się wiejący od trzech dni północny wiatr. Zelżał, bo przestał trzaskać drewnianymi okiennicami, mimo że były zamknięte na trzy potężne zasuwki starej kowalskiej roboty. Po jednej stronie poprzecznej belki pod oknem widać było na murze kreski, wydrapane w grupy. Ktoś liczył dni? Godziny? Miesiące? Trudno orzec na odległość. Dlaczego je pozostawiono? Służący w mgnieniu oka mógłby je pokryć zaprawą murarską.

Obok łóżka na małym stoliku pod ozdobnym złotym krzyżem i brązowym posążkiem Jezusa w koronie cierniowej na głowie leżała Biblia. Katolicy i to pobożni, pomyślał.

Lucien poczuł wspólnotę ze zbatożonym Chrystusem. Rany na karku i plecach piekły niemiłosiernie. Trawiła go gorączka, bolały go przednie zęby i warga, lecz nie miał siły unieść ręki, by dotknąć bolącego miejsca. Marzył o tym, żeby przyszła szczupła dziewczyna, dała mu wody do picia i posiedziała przy jego łóżku.

Wróciła przed świtem, ale nie sama. Mężczyźnie około pięćdziesiątki, ubranemu w szkarłatno-jasnoniebieski mundur huzara z Estremadury, towarzyszyło dwóch młodszych mężczyzn.

– Jestem *señor* Enrique Fernandez y Castro, zwany El Vengadorem. Słyszał pan chyba o mnie, kapitanie?

Lucien nie miał wątpliwości, że ten partyzancki dowódca cieszy się niekwestionowanym posłuchem na swoim terenie i jest kimś, kogo ludzie się boją. Był zupełnie niepodobny do córki.

– Jeśli angielscy żołnierze nie wrócą, to zniknie nadzieja na pomyślny obrót spraw w Hiszpanii – ciągnął.

Posługiwał się dialektem kastylijskim bez żadnych naleciałości. Przemawiała przez niego arogancja arystokraty. Lucien nie zamierzał mu kadzić, lecz być z nim szczerzy.

– Chciałbym zwrócić pańską uwagę na fakt, że hiszpańscy generałowie się nie spisali, ale na szczęście w szeregach Francuzów panuje wielki bałagan – powiedział. – Gdyby Napoleon zadał sobie trud i osobiście przybył na Półwysep Iberyjski, zamiast polegać na swoim bracie, wątpię, czy zachowałaby się jeszcze jakakolwiek szansa na wypędzenie okupanta.

– Hiszpania nie zaakceptuje uzurpatora. Bourbonowie z naszej rodziny królewskiej okazali się bezsilni i nie potrafili się przeciwstawić Napoleonowi. Nie uczyni tego rozdartą wewnętrznymi konfliktami armia. Jedyne partyzanci wyrzucą Francuzów z Hiszpanii.

Lucien podzielał ten pogląd, ale go nie wyartykułował. Armia była podzielona na frakcje i nieskuteczna. John Moore i brytyjski korpus ekspedycyjny przekonali się o tym w najboleśniejszy sposób. Obiecane posiłki hiszpańskie jednak się nie zmateriały. Pograżeni w wewnętrznych sporach hiszpańscy dowódcy nie byli w stanie skoordynować swoich działań z działaniami Anglików.

Dziewczyna słuchała uważnie. Lucien przelotnie spojrzął w jej stronę, pamiętając ostrzeżenie i rozumiejąc, że jest jej winien posłuszeństwo. Spod czepka, który nakrywał jej głowę, ilekroć Lucien widział ją w pokoju, czujnie obserwowała rozmawiających. Dzisiaj miała na sobie inny żakiet niż zazwyczaj. Sądząc po czerwonym kolorze, musiał zostać ukradziony żołnierzowi angielskiej piechoty.

– Soult i Ney tratuja północ, ale południe wciąż jest wolne – powiedział El Vengador.

– Dlatego, że brytyjski korpus ekspedycyjny ściągnął ich na siebie, kiedy wkroczył do Hiszpanii.

– Możliwe... Skąd pan tak dobrze zna nasz język?

– Kilka lat spędziłem na Dominice, a potem na Maderze.

– Mówią tam różnymi dialektami. – Pomimo całej uprzejmości ze strony El Vengadora wyczuwało się jego nieufność.

Lucien uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu dni.

– Wszyscy moi korepetytorzy twierdzili, że mam dar do języków i ucho wyczuwane na intonację. Zresztą jestem w Hiszpanii już od pewnego czasu.

– Znaleziono pana poza angielskimi liniami. Osiemnasty Pułk Dragonów znajdował się o mile od tamtego miejsca. Dlaczego nie był pan z nimi?

– Z rozkazu generała Moore'a obserwowałem ocean. Czekaliśmy na statki transportowe, a spóźniały się, co niepokoiło generała.

– Jest pan szpiegiem.

– Wolę określenie oficer wywiadu.

– Nie bawmy się w semantykę. – El Vengador zaśmiał się i panujące w pokoju napięcie zelzało.

Lucien zaryzykował kolejne spojrzenie na dziewczynę i zauważył, że zmarszczyła brwi. Na policzku miała ślad po uderzeniu, który zaczynał przybierać fioletową barwę. Poprzedniego dnia go nie było. Działo się coś, czego mógł się tylko domyślać. Milczał, rozważając, jak powinien się zachowywać, bo najwyraźniej El Vengador nie był zadowolony z jego obecności.

– Każdy mężczyzna i każda kobieta w Hiszpanii mają przy sobie buteleczkę z trucizną, sznur do garoty lub nóż – ciągnął El Vengador. – Napoleon nie jest wyzwolicielem i jego wojska nie odniosą zwycięstwa. Jego gwiazda była u zenitu, kiedy podpisywał traktat tylżycki, ale obecnie zaczyna błędnąć. To początek końca, kapitanie, i Francuzi o tym wiedzą.

– Zdaje się, że to słowa Talleyranda – powiedział Lucien. – Miejmy nadzieję, że



prorocze.

Luciena doszły słuchy, że przebiegły francuski biskup próbował nawiązać negocjacje pokojowe za plecami cesarza, gdyż zależało mu na utrwaleniu zdobyczy dokonanych w czasie Rewolucji Francuskiej.

– Jest pan dobrze poinformowany – zauważył El Vengador. – Nasze źródła wywiadowcze też nie śpią, dlatego każdy musi uważać na to, co mówi do obcych. Zgadza się pan ze mną, kapitanie? Swoje karty trzeba trzymać blisko piersi.

A wrogów jeszcze bliżej? Czy to zawołowane ostrzeżenie? Lucien oparł się chęci rzucenia okiem na swoją wybawczynię stojącą w kącie pokoju. Pokiwał nieszczercze głową, co spotkało się z aprobatą jej ojca.

– Zostanie pan odesłany drogą morską do Anglii. Tomeu się tym zajmie. Chciałbym jednak pana o coś poprosić, zanim pan nas opuści. Z racji swojej rangi ma pan dostęp do wysokich szczebli dowódczych w wojsku, a pragniemy znać intencje władz brytyjskich wobec Francuzów pozostających w Hiszpanii. Skontaktuje się z panem ktoś, kto będzie nosił to. – Wyciągnął z kieszeni rubinową broszkę, załśniła złota oprawa. – Każda informacja, jaką uda się panu zdobyć, będzie dla nas pomocna. Niekiedy drobne fakty czynią wielką różnicę – podkreślił i wyszedł z pokoju wraz z towarzyszącymi mu mężczyznami.

– Ufa panu – stwierdziła dziewczyna. – Inaczej nie rozmawiałby z panem tak długo.

– Domyślił się, że ja wiem...?

– Że jestem dziewczyną? Tak. Nie słyszał pan ostrzeżenia?

– W takim razie dlaczego zostawił panią ze mną?

– Naprawdę się pan nie zorientował, kapitanie? – odparła ze śmiechem.

Zielone oczy rozbłysły poczuciem wyższości. Tak wygląda ktoś, kto zna swoją wartość dla ojca i sprawy. W partyzantce wszystko zależy od dobrych informacji i lojalności ludzi.

– Do diabła! Wyśle panią?

– Kobieta ma dostęp do wielu kręgów, które są zamknięte dla mężczyzn. – Uniosła dumnie głowę. Ślad po uderzeniu stał się jeszcze bardziej widoczny.

– Kto panią uderzył?

– Tam, gdzie toczy się wojna, emocje są silne.

Po raz pierwszy zaczerwieniła się w jego obecności. Ujął jej dłoń.

– Ile ma pani lat?

– Prawie dwadzieścia trzy.

– Dość, by rozumieć zagrożenia wynikające z nadmiernej ufności? Wystarczająco, by wiedzieć, że nie wszyscy mężczyźni bywają mili?

– Ostrzega mnie pan przed mężczyznami?

– Tak można by to ująć.

– Jesteśmy w Hiszpanii, kapitanie, a ja nie jestem zielona.

– Jest pani mężatką?

Nie odpowiedziała.

– Była pani mężatką, ale on nie żyje.

– Skąd pan może to wiedzieć?

Delikatnie wyprostował jej palce. Dotknął serdecznego.

– Tu, w tym miejscu, skóra jest jaśniejsza. Nosiła pani obrączkę.

Wyrwała mu swoją dłoń, odeszła pod okno.

– Jak pana wołają przyjaciele? – zapytała po chwili.

– Lucien.

– Moja matka dała mi na imię Anna Maria, ale ojciec nigdy tego nie zaakceptował.

Kiedy miałam pięć lat zaczął mnie nazywać Alejandra, co tłumaczy się jako obrończyni rodzaju ludzkiego. Jestem jego jedynym dzieckiem.

– Musiała mu pani zastępować syna, którego bardzo pragnął, ale się nie doczekał?

Była zdziwiona jego przenikliwością.

– Doszedł pan do tego wniosku podczas rozmowy?

Pokręcił przecząco głową.

– Pozwala pani ubierać się po męsku i włóczyć po polach bitew. Zapewne nauczył panią celnego strzelania i posługiwania się nożem. Jest pani drobna i szczupła, a czasy są niebezpieczne dla kobiet

– A gdybym powiedziała, że takie wychowanie wychodzi mi na dobre? Pan, jak wielu innych, nie docenia skromnej myszki, imponuje panu tylko lew.

Spojrzenie Luciena powędrowało ku jej policzkowi.

– Złamałam mu w rewanżu nadgarstek.

Roześmiał się, na rozciętej wardze pokazała się krew.

– Dlaczego panią uderzył?

– Uważał, że Anglika należało zostawić na pastwę Francuzów za to, że jego ziomkowie nas zdradzili, uciekając w popłochu.

– Surowa ocena.

– Mój ojciec ją podziela, ale żadna wojna nie obywa się bez ofiar i pan to wie najlepiej. Lekarz orzekł, że blizny po ranach na pańskich plecach pozostaną na zawsze.

– Sugeruje pani, że przeżyję?

– A pan myślał, że nie?

– Bez pani na pewno bym nie przeżył.

– Jeszcze nie wywinął się pan śmierci. Morska podróż nie odbędzie się w komfortowych warunkach, a wciąż w przypadku tak głębokich ran może wystąpić stan zapalny i gorączka.

– Nie tak się przemawia do chorego. Należy utrzymywać w nim nadzieję, nawet w beznadziejnych przypadkach.

– Według mnie, do pana się to nie odnosi.

– Mimo że mam plecy poszatowane na strzępki?

– Owszem. Pan wcześniej był ranny. Madera i Dominika były miejscami dość niebezpiecznymi.

– Nie za bardzo. Nasz pułk ugrzązł i marniał w Indiach Zachodnich, ponieważ nikomu z polityków nie przyszło do głowy, żeby opuścić bogate wyspy.

– Kto sprawujący władzę wykaże się dostateczną odwagą, żeby zaryzykować zrobienie tego, co słuszne, jeśli w grę wchodzi pieniądze?

– Rzeczywiście, kto? – Lucien się uśmiechnął.

Alejandra odwróciła wzrok. On na pewno wie, jaki jest piękny nawet z tymi rozciętymi ustami i opuchniętym okiem. Powinien jęczeć z bólu z powodu ran na karku i plecach, tymczasem bacznie obserwuje każdego, kto wchodzi do pokoju, poszukując odpowiedzi na pytania, które ona wyraźnie czyta w jego jasnoniebieskich oczach. Jaki byłby, gdyby go ujrzała w pełni sił? Równie nie do pokonania i niebezpieczny jak jej ojciec, uznała.

– Ojciec uważa, że wojna na półwyspie będzie ciągnęła się jeszcze przez lata i zginie wielu wspaniałych ludzi. Mówi, że Hiszpania ostatecznie poskromi chciwość cesarza i dlatego stał się tym, kim jest dzisiaj, El Vengadorem, Mścicielem. On nie wierzy w walkę według zasad, jakimi kierują się armie. Jest przekonany, że kluczowe dla zwycięstwa są dobry wywiad i nocne rajdy.

– A pani podziela ten pogląd i dlatego uda się pani do Anglii wyposażona w rubinową broszkę.

– Kiedyś byłam zupełnie inna. Jednak Francuzi zamordowali moją matkę, a ja przyłączyłam się do ojca. Odwet jest czymś, co kieruje tutaj nami wszystkimi. Byłoby rozsądne, gdyby miał to pan na uwadze, kapitanie.

– Kiedy ona zmarła?

– Zaledwie dwa lata temu, ale dla mnie to jak wieczność. Ojciec kochał ją nad życie.

– Bardziej nawet niż panią?

W oczach Alejandry błysnął gniew i zniknął.

Lucien zamilkł. Pomyślał o własnych stratach. Nie wiedział, czy John, Philippe, Hans i pozostali przewodnicy z jego oddziału są bezpieczni, czy zostali zapomniani w chaosie, jaki towarzyszył ewakuacji. Kilkanaście albo i więcej razy wspinał się na latarnię morską zwaną Wieżą Herkulesa. Wypatrywał flotylli, która miała napłynąć od Oceanu Atlantyckiego, szarego i zimnego o tej porze roku. Statki transportowe i ich eskorta się nie pojawiały, a jego informatorzy alarmowali, że francuski generał Soult czyni szybkie postępy i główna część francuskiej armii jest niedaleko.

– Czy w miejscu, gdzie mnie pani znalazła, leżało wielu zabitych? – zapytał.

– Bardzo wielu, i to zarówno Francuzów, jak i Anglików. Byłoby ich jednak więcej, gdyby do portu nie wpłynęły statki. Mieszkańcy La Coruñy osłaniali Anglików, którzy w nieładzie wycofywali się na morze.

Niestety, tego Lucien się obawiał. W tej sytuacji jego ludzie byli zdani wyłącznie na siebie, on nie mógł nic dla nich zrobić, jego przyszłość też wisiała na włosku. Uśmiechnął się do dziewczyny. Chyba domyślała się, że uśmiecha się tylko dla zachowania pozorów.

Czuł wzmagającą się gorączkę i sztywność w całym ciele. W lewej ręce dokuczał ból, jakby klucie tysięcy igieł. W żołądku miał pustkę, ale nie był głodny. Na myśl o jedzeniu zbierało mu się na torsje. Cały czas pił wodę drobnymi łykami, które pozwalały nawilżyć usta, ale piekły w zetknięciu z ranami na wargach. Musiał chyba przedstawiać żalospny widok.

– Ma pan rodzinę?

- Matkę i czworo rodzeństwa. Ojciec i najmłodszy brat utonęli.
- Liczna rodzina. Niekiedy żałuję... – Urwała.

Lucien zauważył, że zacisnęła usta. Nie zamierzał zwierzać się ze szczegółów. W czasie wojny i w niewoli należy zachowywać powściągliwość, bo każda informacja może być użyta przeciwko człowiekowi, jeśli zostanie poddany torturom. Dobrowolne przyznanie się do posiadania rodziny miało na celu wytworzenie wrażenia wspólnoty, nadanie ludzkiego charakteru relacji z tymi, w których rękach się znalazł. Nieprzyjaciel może wtedy się okazać mniej skłonny do odebrania mu życia.

Sytuacja zmieniała się z minuty na minutę. Każdy myślący człowiek przebywający w tym zakątku ogarniętej pożogą wojenną Hiszpanii wie o tym doskonale. Bitwy wygrywano, potem przegrywano i następnie znowu wygrywano. Liczył się upływ czasu, a z powodu trzystu tysięcy ludzi pod bronią, stojących u wrót do Hiszpanii pod dowództwem Napoleona Bonapartego, wynik tych zmagania był wciąż niepewny. Chyba że Anglicy wrócą i Hiszpania podąży drogą, jaką kroczą wszystkie wolne kraje w Europie.

Luciena rozboleła głowa od tych rozmyślań i postanowił się zdrzemnąć.

Alejandra wróciła następnego i kolejnego popołudnia, żeby mu poczytać pierwszą część *Don Kichota* Miguela Cervantesa. Lucien przeglądał to dzieło wcześniej, ona też musiała je często czytać, bo niektóre fragmenty recytowała z pamięci. Lubił jej głos i z przyjemnością ją obserwował. Gestykulowała wolną ręką podczas lektury przygód ekscentrycznego rycerza z La Manczy. Lucien zauważył białe blizny po wewnętrznej stronie nadgarstka.

Skończyła czytać, zamknęła książkę i odchyliła się na oparcie szerokiego skórzanego fotela.

– Pióro jest doskonałym narzędziem do oddawania stanu ducha, nie uważa pan, kapitanie?

– Cervantes, będąc żołnierzem, spędził w niewoli pięć lat.

– Nie wiedziałam o tym.

– Może stąd zaczerpnął pomysł, żeby uczynić swojego bohatera błędnym rycerzem.

Niepewność, jakiej człowiek doświadcza w niewoli, wymusza zastanowienie się nad losem i przewartościowanie priorytetów życiowych.

– Odnosi się to do pana?

– Właśnie. Jeniec się zastanawia, czy dzień dzisiejszy będzie tym, gdy utraci on wszelką wartość w oczach tych, którzy trzymają go w niewoli.

– Pan nie jest jeńcem. Jest pan tutaj, ponieważ jest pan chory. Zbyt chory, by odejść.

– Zamykacie na klucz drzwi tego pokoju za każdym razem, gdy zostaję sam.

Uwaga ta wytrąciła ją z równowagi.

– Czasami pozory mylą. Mój ojciec nie jest człowiekiem, który zabiłby bez żadnego powodu.

– Czy chwilowa korzyść byłaby wystarczającym powodem? Albo najzwyczajniejsza frustracja? On chce się mnie pozbyć. Jestem kłopotem, którego nie potrzebuje. – Uniósł rękę – drżała.

– W takim razie niech pan wyzdrowieje, do diabła! – rzuciła gniewnie. – Jeśli

dojdzie pan do drzwi, wyjdzie pan na ganek. A jeśli tam pan dotrze, ruszy jeszcze dalej. Wtedy pan nas opuści.

– Tak jak on odszedł? – Lucien podał jej Biblię leżącą na stoliku przy łóżku.

Zaciekawiona otworzyła ją w miejscu splecionej ze złotych nitki zakładki.

*Pomóż mi, a wybaczę ci* – słowa były napisane chwiejnym pismem węglem drzewnym. Zbladły i wytarły się, ale zdążyły odbić na sąsiedniej stronie.

Oczy Alejandry powędrowały ku kreskom wyrytym na pobielonej ścianie pod oknem i Lucien miał już pewność, co owe kreski oznaczają.

– Był więziony w tym pokoju?

Przeżegnała się. Na pobladłej twarzy odmalowały się ból i przestach.

– Nic pan nie wie, kapitanie. Nic a nic. Jeśli wspomni pan o tym mojemu ojcu, on pana zabije, a ja nie zdołam temu zapobiec.

– Próbowalaby pani?

Nie odpowiedziała. Zamilkli. Ze starej księgi wyleciały mole, ich skrzydełka zamigotały w świetle. Lucien poddał się nastrojowi bez oporu niczym ćma, która ciemną nocą frunie w kierunku płomienia. Pomyślał, że ona jest

najpiękniejszą z kobiet, jakie spotkał w życiu. Mimo to pociągała go nie tyle jej uroda, choć urzekająca, co siła wewnętrznych emocji, nad którymi Alejandra z trudem panowała. Domyślił się, że do działania napędza ją bunt przeciwko zastanej rzeczywistości, podobnie jak to było w jego przypadku. Operowała książką z taką samą zręcznością jak nożem. Zastanawiał się, jakie tajemnice skrywają te smutne i mądre oczy.

Los rzucił ich oboje na pastwę potężnych sił, zmagających się w tej wojnie. Nacjonalistyczne szaleństwo walczących stron niweczyło nadzieję na to, że działaniami pojedynczych ludzi dałoby się zmniejszyć skalę popełnianych okrucieństw. Po raz pierwszy w życiu Lucien zwątpił w sens wojaczki i w mądrość wodzów prowadzących armie do bitew.

Lucien zyskał pewność, że Alejandra znała człowieka, który wyrył na ścianie swoje przesłanie. Było oczywiste, że świadomość, iż on to wie, napełniała ją przestachem. Zanim oddała mu książkę, wyrwała z Biblii kartkę, na której były zapisane tamte słowa, podarła ją na drobne kawałki i schowała je do kieszeni, po czym bez słowa opuściła pokój.

Jeszcze raz przewertował Biblię. W Ewangelii według św. Mateusza znalazł podkreślony węglem drzewnym fragment Kazania na Górze: „Jeśli bowiem przebaczyście ludziom ich przewinienia, i wam przebaczy Ojciec wasz niebieski”.

Było jasne, że Alejandra, córka El Vengadora, nie oczekiwała ani wybaczenia, ani odpuszczenia przewin. Luciena ciekawiło dlaczego. Po pewnym czasie zasnął.

Obudził go ból; rany wciąż dawały o sobie znać. Przypomniał sobie, co zajmowało jego myśli, zanim zasnął, i wzrokiem poszukał Biblii. Zauważył, że zniknęła z nocnego stolika. Na krześle ustawionym przy łóżku siedziała Alejandra i bacznie się mu przypatrywała.

– Lekarz zaleca, żeby pan dużo pił – powiedziała.

– Brandy? – usiłował zażartować, ale ona się nie uśmiechnęła.

Podarła mu szklankę napełnioną jakimś płynem.

– Jest posłodzony miodem – wyjaśniła. – Miód dobrze panu robi.

– Dziękuję – odparł i usiadł w pościeli.

Spróbował płynu, który okazał się pomarańczowo-miętowym syropem. Pił małymi łykami, czując, jak przyjemnie chłodzi gardło.

– Nie za dużo naraz – upomniała go Alejandra.

Kiedy się kładł, poczuł nudności. Wolał, żeby nie musiała sprzątać, gdyby zwymiotował. Przełknął i odliczył do pięćdziesięciu.

– Jest pan religijny, kapitanie? – zapytała ni stąd, ni zowąd.

– Wychowałem się w wierze anglikańskiej, ale dawno nie byłem w kościele.

– Brak wiary powoduje cierpienia ciała.

Zabrzmiało to jak mądrość zaczerpnięta z ważnej dla Alejandry książki, która utkwiała jej w pamięci.

– Myślę, *señorita*, że z moimi cierpieniami więcej wspólnego mają Francuzi.

– W pańskiej sytuacji ignorowanie Boga jest ryzykowne – zauważyła z nutą nagany w głosie. – Książd mógłby udzielić panu odpuszczenia.

– Nie – uciał. Wbrew jego woli zabrzmiało to zbyt kategorycznie. – Jeśli umrę, to trudno. Jeśli zostanę przy życiu, tym lepiej.

– Wierzy pan w przeznaczenie?

– Wierzę, że los doświadcza tych, którzy sami sobie nie pomagają. Jest taki element w buddyzmie.

– Czy bierze pan z każdej religii to, co panu się najbardziej podoba?

Lucien milczał. Wyczuł, że jego odpowiedź ma znaczenie dla Alejandry, a zabrakło mu siły, aby jej tłumaczyć, iż dawno temu utracił wszelką wiarę. Na jego prośbę okiennice nie zostały zamknięte na noc. Nisko nad horyzontem dały się widzieć pierwsze blaski jutrzeńki. Pociuszające było to, że dożył kolejnego dnia.

– Pani źle sypia? Dlaczego siedzi tu pani o tak wczesnej porze?

– Kiedyś nawet późnym rankiem trudno było mnie dobudzić, ale od kiedy... – Urwała. – Rzeczywiście nie sypiam za dobrze – dokończyła.

– Ma pani rodzinę w innym miejscu, bezpieczniejszym niż to?

– Myśli pan o miejscu, dokąd mógłby odesłać mnie ojciec? – Wstała i zdmuchnęła płomień świecy stojącej w lichtarzu na nocnym stoliku. – Nie potrzebuję opieki, *señor*. Potrafię sama o siebie zadbać. – W półmroku wydawała się jeszcze drobniejsza. – Wiara w los może być bardzo przydatna – nawiązała do poprzedniego wątku rozmowy. – Dobrze jest wierzyć, że postępowanie człowieka nie ma żadnego wpływu na to, co się na końcu wydarzy.

– Chce pani powiedzieć, że wiara zwalnia od odpowiedzialności?

– Niech pan jej nie lekceważy. Poczucie winy może całkowicie zniszczyć duszę.

– Ale czy pani nie uważa, że wiara w los zwalnia od odpowiedzialności, bo wyłącza wolną wolę?

– Twierdzą, że każda prawda jest skażona ziarnem kłamstwa i tylko głupcy sądzą, iż jest inaczej.

– Odnosi się to do słów zapisanych na kartce, którą wydarła pani z Biblii? Tych napisanych węglem drzewnym?

– Zwłaszcza do tych – odparła z przekonaniem, którego jeszcze niedawno nie dało

się słyszeć w jej głosie. – Te słowa stanowiły przekaz, a on dobrze wiedział, że go znajdzie.  
– Powiedziawszy to, szczelnie otuliła się szalem, który wcześniej swobodnie leżał na ramionach, i wyszła z pokoju.

Lucien znowu został sam.

## Rozdział drugi

Alejandra obserwowała kapitana Luciena Howarda, który uczył się chodzić w cieniu gaju oliwnego, rosnącego na zboczu powyżej zabudowań hacjendy. Zrobił krok i upadł, postąpił drugi i znowu upadł, po kolejnym także nie zdołał zachować pionowej postawy. Na jego usilne naleganie służący codziennie wynosił go na zewnątrz. Uparty Anglik najwyraźniej nie zamierzał rezygnować z ćwiczeń, które kosztowały go wiele wysiłku, ponieważ był na tyle wycieńczony, że nie potrafił samodzielnie się utrzymać na nogach. Mimo to wciąż próbował. Właśnie sfrustrowany i wściekły odpoczywał, obejmując pień drzewa oliwnego. Szorstka kora do krwi otarła mu dłonie, bo po każdym upadku wolno podnosił się z pyłu drogi, chwytając się pnia. Był cieniem człowieka, którego przyniesiono z pobojuwiska spod La Coruñy, ponieważ gorączka wysssała zeń wszystkie siły.

Alejandra wzięła w dłoń różaniec. Przeżegnała się i pomodliła w myśli: Wierzę w jednego Boga, Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi... Wzniosła modły za tych, którzy umarli. Rosalie, Pedra, a nawet Juana, który prośbę o wybaczenie ukrył w Biblii, wiedząc, że ona ją znajdzie, i mając świadomość, iż ona nie chce, aby błagał ją o przebaczenie. Potrafiła kontemplować wyłącznie bolesne tajemnice różańca, ponieważ odpowiadały jej stanowi ducha. Zbawienie tych, którzy odeszli, można zapewnić różnymi sposobami. Wierzyła głęboko, że jednym z nich było zachowanie o nich pamięci z pomocą odwiecznych słów modlitwy różańcowej. Nie była w stanie się posłużyć tajemnicami chwalebnyymi czy radosnymi.

Skończyła i schowała różaniec do lewej kieszeni, żeby mieć go zawsze pod ręką. Ze skórzanej pochewki przymocowanej do kostki nogi wyciągnęła nóż, którego koniec był tak wyostrzony, że niemal prześwitywał na niebiesko. Schyliła się i odcięła zdrewniałą gałązkę z małego aloesu, po czym ostrugała ją w szpic. Przyszło jej do głowy, że jej życie jest niczym ten ostry, ale cienki szpikulec, mogący się w każdej chwili złamać. Lekko nacisnęła nim skórę na przedramieniu. Zabolało, ale nawet się nie skrzywiła.

*Pomóż mi, a ja ci wybaczę.* Dowód zdrady uwieczniony węglem.

Z nakłucia wypłynęła krew i pojedynczym cienkim strumyczkiem kapała po palcach na ziemię. Czasami ból był jedynym bodźcem zmysłowym, jaki odbierała, na wszystkie inne od dawna stępiała. Prawdę mówiąc, ból i kapiąca na ziemię krew były jedynymi dowodami, że ona wciąż jeszcze żyje. Odjęła szpikulec od skóry i przycisnęła ranę palcami, by zatamować krew, która wsiąkała w gliniastą glebę.

Lucien Howard znowu był bliski upadku. Pomyślała, że, podobnie jak ona, jest uparty i zawzięty, nie poddaje się i nie rezygnuje. Schowała nóż do pochewki, po czym odchyliła się w tył i zamknęła oczy. Poczowała ciepło porannego słońca na policzkach i chłodny wiatr od Atlantyku we włosach. To moja ziemia i nigdy jej nie opuszczę, pomyślała, bo tutaj błakają się dusze tych, którzy odeszli na tamten świat. Niemal czuła obecność Rosalie, swojej matki, która dobrze rozumiała jej potrzebę samotności i ból.

Odgłos upadku sprawił, że Alejandra uniosła powieki. Anglik po raz kolejny runął na ziemię i tym razem nie zdołał się podnieść. Zaczęła w myślach odliczać sekundy:



jedna, druga, trzecia, czwarta. A jednak się pozbierał. Oparł dłoń o pień drzewa i naprężył mięśnie ramienia. Odruchowo chciała sięgnąć po różaniec, ale się powstrzymała. Nie pomoże mu modlitwą. Niech pozostanie tak samo osamotniony jak ona w czasie tej obrzydliwej wojny. Rany na plecach wciąż się nie zabiły, a na karku rozwinęła się nowa infekcja. Postanowiła, że zawoła Constanzę, niech go znowu obejrzy i znajdzie jakieś remedium. To wszystko, co może dla niego zrobić, a potem niech on odpłynie.

Córka El Vengadora obserwowała go z daleka oparta o ciemnożółtą ścianę domu, osłonięta od wiatru, nieruchoma, milcząca. Niemal znienawidził demonstrowane przez nią obojętność i zaciekłość. Wiedział, że mu nie pomoże. Będzie patrzyła, jak on raz po raz pada, aż do momentu, w którym zabraknie mu siły, by się podnieść. Wtedy odejdzie i przyśle kogoś, żeby pomógł mu wrócić do łóżka bóleści w pokoju z oknami osłoniętymi gazowymi firankami od nadmiaru światła dziennego.

Od bitwy pod La Coruñą upłynęło prawie sześć tygodni, czterdzieści dwa dni, odkąd nie zjadł czegoś naprawdę pożywnego i sycącego. Przeraził się, kiedy przydzielony mu do pomocy posługacz postawił go przed lustrem, bo ujrzał obciążony skórą szkielet. Nie poznał własnej wymizerowanej twarzy z zapadniętymi policzkami, w której tkwiły nienaturalnie wielkie oczy.

Alejandra przestała przychodzić do jego pokoju jakieś trzy tygodnie temu, zaraz potem jak wezwany przez nią ksiądz udzielił mu ostatniego namaszczenia. Był wówczas pogrążony w malignie, a mimo to zapamiętał uczucie ulgi, jakie przyniósł chłód święconej wody. „Przez to święte namaszczenie niech Pan w swoim nieskończonym miłosierdziu...” Śmierć miała go zabrać ukojonego szmerem tych słów i kontaktem z chłodną wodą. Nie sprzeciwił się, ponieważ śmierć nieustannie towarzyszyła żołnierzowi, czyhając w pobliżu.

Jednak nie umarł. Przetrwiał gorączkę, a kiedy opadła, popadł w stan nie mniej wyczerpującego wyziębienia. Wtedy zaczął się domagać wynoszenia na ścieżkę biegnącą pod drzewkami oliwnymi, bo chciał spróbować zażyć ruchu. W pobliżu pojawiła się Alejandra i obserwowała go z dystansu. Uznał, że tym razem odejdzie. Zbyt wiele razy upadł, żeby chciała nadal się przyglądać jego zmaganiom z własną bezsilnością. Pocierane o pień drzewa dłonie krwawiły, rozbite o wystający korzeń kolano bolało niemiłosiernie. Nie miał ani chęci, ani siły, żeby się kolejny raz podnieść.

Miał nadzieję, że sztormy nie pogrążyły łodzi Daniela Wylde'a, bliskiego przyjaciela, w mrocznych odmętach Zatoki Biskajskiej i dotarł bezpiecznie do domu w Anglii.

– Jezu, pomóż mu i spraw, żeby o mnie nie zapomniano – szepnął do siebie Lucien.

Pomyślał, że rodzina nigdy o nim nie zapomni, a zwłaszcza matka. Jednak życie ma to do siebie, że potoczy się dalej. Urodzą się kolejne dzieci, nastąpi wiele wydarzeń i na skutek tego pamięć o nim zblednie, tak jak to się stało ze wspomnieniami, które on nosi w sercu po ojcu i najmłodszym bracie.

– Psiakrew! – zaklął z furją.

Uprzytomnił sobie, że złość, która go nagle opanowała, to coś nowego, do tej pory jej nie odczuwał. Zmobilizowała go do zebrania się w sobie, uruchomienia resztek siły. Uchwycił się szorstkiego pnia i wdrapał po nim do pozycji stojącej. Znowu znalazł się

w świecie żywych.

Nie odpuści, postanowił, nie pozwoli, by ugięły się pod nim nogi, nie będzie myślał o tym, że zaraz upadnie, a jego wysiłki znowu pójdą na marne i będzie musiał się poddać. Utrzymywał się w pionie, chociaż w uszach tętno waliło niczym werbel, a klatkę piersiową przenikał niewyobrażalny ból za każdym świszczącym, nierównym, z trudem łapanym oddechem.

W tym momencie Alejandra znalazła się przy nim i popatrzyła mądrymi zielonymi oczami.

– Wiedziałam, że panu się uda.

Lucien się uśmiechnął. Co mu pozostało?

– Jutro zrobi pan parę kroków więcej, pojutrze jeszcze więcej, a popojutrze dojdzie pan od tej ścieżki do tamtej. Wkrótce potem wyruszy pan do domu.

Twarz Alejandry przybrała zawzięty, ostry wyraz. Na rękawie i palcach widać było dość świeże ślady krwi. Zadał sobie w duchu pytanie, skąd się wzięły. Zauważyła, dokąd skierował wzrok, i uniosła brodę.

– Francuzi zajęli La Coruñę i Ferrol. To klęska. Soult paraduje ulicami niczym nieskrępowany. Wkrótce zawładną całą północą.

– Tak bywa na wojnie – stwierdził Lucien. – Jedni przegrywają...

– ...a inni tchórzą – dopowiedziała. – Lepiej by było, gdybyście w ogóle się nie zjawili, jeśli po nic nieznaczącym starciu wycofaliście się z podkulonymi ogonami.

Poczuł złość, ale ją stłumił. Bolały go plecy, wzrok zachodził mgłą, było mu zimno. Nie rozumiał jej zapalczywości. Jak mogła mówić o tchórzostwie, skoro tyle odwagi było w ludziach, którzy przyparci plecami do morza, walczyli z przeważającymi siłami francuskimi? Zapamiętał akty niehumanitarnej odwagi.

– Powinien pan usiąść – powiedziała łagodniej.

Dotknęła go, co zdarzało się wyjątkowo rzadko, odkąd znalazła go na polach pod La Coruñą. Chwyciła go pod łokieć, drugą ręką objęła przez plecy. Na szyi miała łańcuszek, który ginął pod kołnierzykiem rozpiętej bluzki. Lucien był ciekaw, co nosiła na łańcuszku. Przestał o tym myśleć, kiedy podsunęła mu ogrodowe krzesło i pomogła usiąść.

– Dziękuję.

Jak przyjemnie było siedzieć! Stabilne drewniane krzesło dawało poczucie bezpieczeństwa. Zamknął oczy, żeby nie raził go blask przedpołudniowego słońca, i skupił na identyfikacji każdego bolącego miejsca swojego ciała z osobna. Nauczyła go tego triku znachorka na Jamajce, kiedy tam chorował. Od tamtej pory go stosował i wyglądało na to, że z dobrym skutkiem.

Anglik siedział nieruchomo i wydawał się nieobecny duchem. Alejandra poczuła się nieswojo. Wciąż do końca nie wiedziała, kim on właściwie jest. Żołnierz, szpieg, który posługuje się literackim językiem i dialektami swobodnie jak miejscowy, a niemal w każdej sytuacji i chwili ma świadomość, co się z nim dzieje. Alejandra odgadła to z jego postawy i z oczu, dzisiaj jaśniejszych niż kiedykolwiek przedtem, czujnych i myślących.

Wcześniej takiego kogoś jak on nie spotkała. Nawet teraz, kiedy siedział do cna

wyczerpany i jakby nieobecny duchem, najwyraźniej zauważył ludzi jej ojca wracających z południa kraju. Rzucił ukradkowe spojrzenie w tył, jakby chciał ocenić zagrożenie i stosownie do niego zareagować.

– Skąd zostaną wyprawiony? – spytał.

Alejandra rzadko dzieliła się z kimś planami wybiegającymi dalej niż na następną godzinę, bo to dawało pytającemu za dużo swobody w przygotowaniu się do wywinięcia się od przymusu. Z nim jednak postanowiła być szczerą.

– Nie stąd, ponieważ jest tu zbyt niebezpiecznie. Z zachodniego wybrzeża.

– Z jednego z tych małych portów w Rias Altas?

Okazuje się, że kapitan Lucien Howard zna lokalną geografę, w przeciwieństwie do lokalnej polityki, pomyślała Alejandra.

– Nie, są tam liczni wrogowie mojego ojca. – Spojrzała w niebo i zmieniła temat.

– Wiatr od oceanu zwiastuje sztorm.

Nad horyzontem zgromadziły się ciemne chmury. Wyglądały jak gruba wstęga ołowiu zawieszona tuż nad powierzchnią wody.

Alejandra była świadoma, że zanim jej ojciec pozwoli Anglikowi odpłynąć, musi dokładnie ustalić, jakim on jest człowiekiem, i zrozumieć, o co chodzi jego ludziom. Poza tym wykonywać, jakie zagrożenie stanowi, jeśli nie jest tym, za kogo się podaje. Po chwili usłyszała głos kapitana, który, jakby czytał w jej myślach, powiedział:

– Nie jestem waszym wrogiem, Alejandro.

Szkoda, że rzadko zwracał się do niej po imieniu, ponieważ w jego ustach jej imię brzmiało pieścizotliwie. Serce Alejandry zabiło żywiej, co ją jednocześnie zdziwiło i zaniepokoiło. Chcąc ukryć wrażenie, jakie na niej zrobił, obejrzała się na tych, którzy wracali z Betanzos. Był z nimi Tomeu; biały bandaż, którym miał owinięty nadgarstek, był widoczny nawet na odległość.

– Ale nie jesteś przyjacielem, Angliku, mimo twojego poświęcenia i oddania sprawie Hiszpanii.

Roześmiał się, mrużąc oczy. Co jest w nim takiego, że kruszy jej obojętność? Być może nawet się zaczerwieniła.

– Znalazłem się tutaj przez pomyłkę, *señorito*.

To coś nowego. Udzielił informacji o charakterze osobistym, i to nieproszony.

– Przez pomyłkę? – powtórzyła zdziwiona.

– Za długo zatrzymałem się na Wieży Herkulesa, skąd wypatrywałem brytyjskich statków transportowych. Statki nie nadpłynęły, a mnie otoczyli Francuzi.

– Tam pana znaleźli?

– Wzięli jednego z moich ludzi, a ja chciałem go odbić.

– Udało się?

– Nie.

Zamilkli, wsłuchując się w coraz silniejszy wiatr, który zmieniał kierunek. Wkrótce chmury przesłonią słońce i zacznie mocno padać. Pierwsza odezwała się Alejandra:

– Był szpiegiem tak jak pan?

Lucien zaprzeczył ruchem głowy.

– Są w ludziach słabości, które ujawniają się tylko w momentach wielkich napięć,

takie jak zazdrość, chciwość, strach. Guy okazał się tchórzem, ale uciekł w złym kierunku.

– Zostawił go pan, żeby ukarać?

– Nie. Staralem się przeprowadzić bezpiecznie przez linie francuskie, lecz mi się nie udało.

Z niektórych ludzi, pomyślała Alejandra, w warunkach wojennych wychodzi na wierzch tchórzostwo, a z innych męstwo graniczące z brawurą. Potrafiła wyobrazić sobie, ile trudu musiał zadać sobie kapitan Howard, żeby odnaleźć swojego towarzysza. Nie żywiła wątpliwości, że nikt i nic nie zdołałoby go do tego zmusić, gdyby nie chciał tego uczynić. Dla większości ludzi istniała jednak granica poświęcenia, wyznaczająca cele, za które warto byłoby umierać, a dobrze wymierzony cios zazwyczaj przynosił rezultaty. Jej ojciec był mistrzem w zadawaniu takich ciosów.

Siła woli i ducha Anglika, wbrew naznaczonemu ranami i obecnie słabemu ciału, była oczywista. Człowiek niezłomny nie do pokonania. Wyobrażała sobie, że postawiony wobec konieczności wyboru między śmiercią a hańbą zdrady, bez wahania wybrałby śmierć. Zastanawiała się, czy ona potrafiłaby zachować się tak samo.

Był piękny z tymi swoimi przejrzystymi oczami i złocistymi włosami, odrośniętymi na sporą długość po tygodniach choroby, wymykającymi się teraz ze skórzanego rzemyka, którym je przewiązywał. Chciałaby zanurzyć w nich palce, aby zobaczyć, jak kontrastują z jej śniadą skórą. Lucien – to miękko brzmiące imię pasuje do kapitana.

Wzdrygnęła się, przywołując się do rzeczywistości.

– Przyślę panu dzisiaj wieczorem Constanzę. Jest zielarką i zna się na leczeniu ran.

Odgarnął włosy z czoła, błysnęły w słońcu.

– Jeśli przyniesie maści, sam je sobie wetrę.

– Jak pan sobie życzy.

Zostawiła go, choć deszcz mógł spaść lada chwila, bo bardzo silnie wiało. Niech sobie radzi, jak potrafi, zdecydowała. Przy stajniach odwróciła się i spostrzegła, że ją obserwuje.

## Rozdział trzeci

Luciena obudził niepokojący dźwięk. Potrafił ocenić zagrożenie związane z różnymi odgłosami. Im były głośniejsze, tym mniej prawdopodobne, że ktoś, kto je wywoływał, przyszedł zabić. Ten był ledwo słyszalny. Drugiego wieczoru po przywiezieniu go na hacjendę Lucien dostał od Alejandry nóż. „Na wszelki wypadek” – powiedziała. „Przypuszczam, że wie pan, jak go użyć. Jeśli nie, to może nawet lepiej”. Wziął go bez słowa, ale zapamiętał złośliwą uwagę. Wsunął nóż pod poduszkę w taki sposób, by w razie potrzeby móc po niego sięgnąć w każdej chwili. Teraz sprawdził, czy jest na swoim miejscu, i położył na nim dłoń.

Drzwi otwały się, zamigotało światło świecy, do pokoju wszedł ojciec Alejandry. Usiadł na stołku postawionym obok łóżka i wyciągnął przed siebie nogi. Lucienowi wydawało się, że z grymasem bólu.

– Ma pan lekki sen, kapitanie.

– Lata praktyki, *señor*.

– Niech pan zostawi nóż. Przyszedłem porozmawiać. – Ojciec Alejandry sprawiał wrażenie zmęczonego i zamilkł na dłużej.

– Dowiedziałem się, że jest pan angielskim parem, kapitanie Howard – odezwał się wreszcie, a na jego dłoni załśnił herbowy sygnet Rossów.

Lucien był przekonany, że rodowy klejnot bezpowrotnie utracił na polu bitwy.

– Lord Lucien Howard, szósty hrabia Ross – dodał El Vengador. – Tak brzmi pański tytuł. Jest pan głową rodziny mającej wpływy pośród angielskiej arystokracji.

Lucien słuchał, spodziewając się, że to nie koniec.

– Z tego, co mi wiadomo, pański rodzinny majątek jest zrujnowany wskutek nieudolności pańskiego ojca i dziadka. W kufrach Howardów prześwituje dno, a wkrótce nic w nich nie zostanie .

To żadna tajemnica, pomyślał z goryczą Lucien. Ubóstwo hrabiów Ross było dobrze znane. Każdy mógł się o tym dowiedzieć. Zwrócił uwagę na gazetę, którą trzymał w dłoni ojciec Alejandry. Był to numer „The Timesa” z jego podobizną na tytułowej stronie, czarno-białą kopią portretu zamówionego niegdyś przez matkę. Uśmiechał się na nim swobodnie i szczerze. Od tamtych beztrudnych lat upłynęła cała wieczność.

– Ma pan liczne rodzeństwo i matkę, która pana oplakuje, gdyż został pan uznany za poległego.

Matka była drobna i niezbyt silnego zdrowia. Lucien wyobraził sobie jej rozpacz. Niewykluczone, że ją zabije, zanim on zdąży wrócić.

– Mam w związku z tym dla pana propozycję, milordzie. – El Vengador wymówił ostatnie słowo z dość widocznym przekąsem. – Mógłbym poderznąć panu gardło i nikt nigdy by się nie dowiedział, co się panu przydarzyło, ale...

Stary ma skłonność do teatralizowania, pomyślał Lucien.

– Ale... – podjął wątek.

– ...z racji swojej pozycji społecznej może pan mieć nam coś do zaoferowania – dokończył El Vengador.

Lucien zamknął na chwilę oczy, konstatuując, że ten partyzancki watażka jest niebezpiecznym przeciwnikiem i nie będzie łatwym sojusznikiem. Miał w ręku wszystkie atuty, ponieważ od niego zależało życie Luciena. Gdyby postanowił opuścić hacjendę wbrew woli gospodarza, niewątpliwie zabrałby ze sobą na tamten świat sporo ludzi, ale nie planował walki. Był słaby, a także czuł się do pewnego stopnia dłużnikiem El Vengadora. Domyślał się, że są sprawy, których stary mu nie wyjawia.

– Czemu ja? – zapytał, patrząc mu w oczy. – Dlaczego nie ktoś dobrze uplasowany w angielskiej socjocie, ale pochodzący stąd? Przypuszczam, że w moim środowisku są wasi agenci. Czemu się nimi nie posłużycie? – Lucien przeniósł wzrok na sygnet i gazetę.

– Nie mamy dojścia do miejsc, do których pan ma nieskrępowany dostęp, milordzie. Nie moglibyśmy marzyć o znalezieniu się w pobliżu króla.

– Anglia jest demokracją – zauważył Lucien. – Parlament stanowi prawo, nie arystokracja i monarcha.

– A jedną z izb parlamentu tworzą parowie królestwa. Pańskie nazwisko widnieje w jej składzie, prawda, hrabio Ross?

Lucien zrozumiał w końcu, o co chodzi. Gdyby nie posiadał tytułu, byłoby już prawdopodobnie po nim, a dzisiejsza rozmowa to zawołane ostrzeżenie.

Z pewnością El Vengador umieścił w Londynie niebezpiecznych ludzi, których serca przepajała idea wolnej Hiszpanii, i dysponował środkami do wcielenia tej idei w życie. Anglia i Hiszpania mogły stać po tej samej stronie przeciwko Napoleonowi, ale każdy z tych krajów inaczej planował zagospodarowanie zwycięstwa. Ułomna wersja demokracji, którą byłaby skłonna zaakceptować armia hiszpańska, zresztą niejednolita, bo rozdzielana konfliktami między rozlicznymi odłamami generalicji, bardzo różniła się od tej, jaką preferowali dowódcy partyzantki. Lucien słyszał o okropnościach „małej wojenki” toczony przez bandy partyzanckie, pustoszące niedostępne i izolowane obszary północnej części kraju.

– Partyzantka sieje postrach wśród żołnierzy francuskich, ale nie cieszy się także sympatią dużej części ludności hiszpańskiej z powodu przymusowego poboru i grabieży – powiedział, powstrzymując się przed użyciem ostrzejszych słów, takich jak zdziczenie i barbarzyństwo. – Skąd pomysł, że chciałbym wam pomóc? Nie życzyłbym sobie przykładać ręki do śmierci moich współrodaków. Gdybyśmy sromotnie przegrali wojnę, byłyby wam znane dane personalne każdego dowodzącego oficera.

Słyszac ruch przy drzwiach, obaj odwrócili głowy. Weszła Alejandra. Od trzymanego przez nią w dłoni obnażonego srebrzystego ostrza odbijało się światło świecy. Musiała do tej pory spać, było to widać po jej zaróżowionych policzkach i potarganych włosach. Najwyraźniej położyła się w ubraniu i z nożem pod ręką. Lucien zdziwił się, że widząc ojca w pokoju, nie schowała noża.

– Nie przyszedłem, żeby go zabić, córko.

To oświadczenie zastanowiło Luciena. Czyżby Alejandra czuwała nad jego bezpieczeństwem? Nie patrzyła na niego, tylko na sygnet i gazetę leżące na nocnym stoliku. Odniósł wrażenie, że wiedziała o dochodzeniu przeprowadzonym przez ojca w jego sprawie i była świadoma zagrożenia.

– Weźmiesz go ze sobą, zaprowadzisz do portu i wsadzisz na łódź najpóźniej za

tydzień – dodał El Vengador.

– Dobrze.

– Znajdź kogoś, kto wyruszy z wami. Może Tomeu?

– Nie. – Przecząco pokręciła głową. – Wezmę Adana. On ma dobre kontakty na zachodnim wybrzeżu.

– W takim razie postanowione. – El Vengador wstał ze stołka. – Nie oczekuję, że wykona pan to zadanie bez nagrody, hrabio Ross. Na wskazane przez pana konto w banku wpłynie okrągła kwota, gdy zakończymy naszą współpracę, a ja będę zadowolony z uzyskanych informacji.

Być może El Vengador nigdy nie spotkał się z odmową, pomyślał Lucien, i uważa, że zawarli porozumienie. Niestety, znalazł się w paszczy lwa i drażnienie go świadczyłoby o braku rozsądku.

– Dokładnie przemyślę pańską propozycję.

El Vengador uścisnął mu dłoń energicznie i zaskakująco przyjaźnie.

– Za wolność i za zwycięstwo – powiedział i opuścił pokój.

Alejandra stanęła pod ścianą, na lewo od okna.

– Wiedziała pani o tym? – zapytał Lucien, wskazując na gazetę i sygnet. – A także o co poprosi mnie pani ojciec?

– Albo o co nie poprosi. – Podeszła do nocnego stolika i wzięła do ręki gazetę.

– Wygląda pan młodziej z uśmiechem.

– To stara podobizna.

Niski dźwięczny śmiech Alejandry wypełnił przestrzeń.

– Wie pan, co myślę, Lucienie Howard, szósty hrabio Ross? – spytała. – Mój ojciec nie mógłby pana zabić, nawet gdyby tego chciał.

– Mam nadzieję, jedyna córko El Vengadora, że się nie mylisz.

Odłożyła gazetę równie ostrożnie, jak przedtem brała ją do ręki. Nie wykonywała zbędnych ruchów. Nie było w niej cienia wahania. Kiedy wchodziła do pokoju, nie miała pojęcia, co zobaczy; równie dobrze mógł być martwy. Mimo to z wyrazu jej twarzy nie potrafił odgadnąć, czy odczuła ulgę, czy zawód.

Ważne, że przyszła. Schowała nóż do miękkiej skórzanej pochewki, którą nosiła przymocowaną do lewej kostki. Czy walczyłaby z ojcem w jego obronie? Zdumiał się, że przyszło mu to do głowy.

– Dziękuję – powiedział.

Bez słowa wyszła z pokoju. Lucien usłyszał skrzypnięcie zasuwki.

Przyśnił mu się Linden Park, rezydencja Howardów w Tunbridge Wells. Słońce lśniło w szybach okien, brzegi rzeki Teise, porośnięte płaczącymi wierzbami, pokrywała młoda wiosenna zieleń. Ojciec i brat wciąż żyli. Most jeszcze się nie załamał, a ich, sparaliżowanych paniką, nie ciągnęły na dno nasiąknięte lodowatą wodą grube ubrania i on nie musiał biec im na ratunek.

Z Christiną, jego siostrą, mknęli konno okolicznymi dolinkami szybsi niż wiatr, budząc popłoch wśród stad szpaków i strzyżyków oraz młodych owieczek pasących się na polach. Z Danielem Wylde'em i Francisem St. Cartmailem budowali szałas w lesie i polowali na króliki, strzelając z wiatrówki ojca. Gabriel Hughes, nie tak żywiołowy jak

pozostali, nie uczestniczył w polowaniach, ale przyjeżdżał konno popatrzeć, co porabiają. Od niego Lucien przyswoił sobie zasadę, żeby nie narzucać innym własnego zdania, i przyjął do wiadomości, iż należy odnajdywać ukryty sens w tym, co mówią ludzie.

W jego śnie pojawiła się też Alejandra z rozpuszczonymi włosami, połyskującą w świetle świecy karnacją, pełnymi czerwonymi ustami i ciemnymi oczami, ubrana w powiewną koszulę nocną, przez którą prześwitywało ciało. Czekał ze wstrzymanym oddechem, pałając pożądaniem, żeby do niego podeszła. Zbliżyła się do niego szybko jak wszechogarniający i nienasycony pożar. Ustami przyłgnęła do jego warg, po czym zanurzyła nóż w przestrzeń między jego obnażonymi zębami.

– Cholera! – obudził się, ciężko dysząc, z członkiem twardym niczym skała. Wciąż czuł smak jej ust i ciepło ciała. Uprzytomnił sobie, jak bardzo tej chłodnej zimowej nocy jest spragniony bliskości.

Po raz pierwszy od czasu, gdy leżał wyczerpany bólem i gorączką, był na granicy łez. Miał chęć zapłakać nad sobą i nad nią, nad wojną siejącą śmierć i cierpienie na mozolnej drodze do zwycięstwa. Alejandra, nieodrodna córka swojego ojca, nieustannie dawała mu to do zrozumienia na różne sposoby. A to zachowując dystans i okazując wzdargę albo ukazując mu się ze swoim nieodstępnym nożem i różańcem, którego paciorki przesuwiała z niezachwianą wiarą gorliwej katoliczki.

Czy coś wydarzy się w drodze na zachód, kiedy będą obok siebie podczas długich nocy rozjaśnianych księżycem, pośród tonącego w jego poświacie zimowego krajobrazu? Jak długo potrwa podróż? Ile mil przemierzą? Jeśli nie wypłynie do Anglii z Rias Altas, to może nastąpi to z bardziej na południe położonych Rias Baixas albo z ruchliwego portu morskiego w Vigo?

Uświadomił sobie, że odmienił go sen, z którego zbudził się z krzykiem. Odebrał mu pewność siebie, wywołał zamęt i jednocześnie wzbudził nadzieje, których nienawidził. Przydałoby się wypić kieliszek brandy, a jak nie brandy, to przynajmniej mocnego hiszpańskiego odpowiednika. Niestety, na nocnym stoliku stała jedynie karafka z wodą zaprawioną sokiem z pomarańczy, miodem i miętą. Zaczerpnął obfity haust i gwałtownie bijące serce zwolniło.

Wsunął na palec sygnet pozostawiony na stoliku. Nosił go od czasu, kiedy wkroczył w dorosłość, i był szczęśliwy z odzyskania rodowego klejnotu. Wziął do ręki gazetę, ciekawy daty wydania. Pierwszy lutego. Urodziny matki. Mógł sobie wyobrazić, jak się poczuła przygwożdżona wiadomością z pierwszej strony.

Lucien zdawał sobie sprawę, że może się znaleźć za linią nieprzyjaciela i walczyć o przeżycie. Nie wyobrażał sobie jednak, że ocali go obca dziewczyna, nawet jeśli uparcie nie będzie się do tego chciała przyznać. Wyjął spod poduszki nóż, wsunął go do skórzanego futerału i położył na stoliku nocnym. Pokój wypełniało głośne tykanie mechanizmu zegara wiszącego na przeciwległej ścianie. Dochodziła czwarta. Wiedział, że nie zaśnie.

Próbował przypomnieć sobie mapy, które wiozł w jukach podczas długiej drogi na północ, ku wybrzeżu morskiemu. Wraz z grupą przewodników wyrysowali wiele map, wymierzili odległości, pieczołowicie nanosili elementy topograficzne, doliny, przełęcze, rzeki i mosty, zaznaczali nawet poziom wód. Osobiście korygował dane, opatrywał mapy



własnymi uwagami i obserwacjami.

Przypuszczał, że utracił teczkę z mapami, zanim natknął się na Francuzów, bo nie widział jej koło siebie, gdy leżał ranny na pobojowisku. Prawdopodobnie mógłby spróbować odtworzyć te mapy z pamięci, niemniej strata była niepowetowana. Nie dysponując znajomością lokalnej topografii, armia brytyjska będzie narażona na uciążliwe i niebezpieczne ruchy, gdy powróci do Hiszpanii.

Hałas przy drzwiach zwiastował, że Lucien będzie miał kolejnego gościa. Tym razem w drzwiach stanął Tomeu.

– Możemy porozmawiać, *Ingles*?

Człowiek, który pomagał transportować Luciena z pola bitwy, wydawał się mu młodszy niż wówczas. Zamknął za sobą drzwi, lecz nie odchodził od nich, może chciał nasłuchiwać, co się za nimi dzieje.

– Przepraszam, że przychodzę tak późno, kapitanie, ale za godzinę wyruszam na południe, a chciałem się zobaczyć z panem. W szparze pod drzwiami zauważyłem światło, więc zaryzykowałem, sądząc, że pan nie śpi.

Lucien przyjął tłumaczenie ze zrozumieniem. Ledwo widoczny uśmiech odmienił Tomeu, który stał się prawie ładny.

– Nazywam się Bartolomeu Diego y Betancourt, *señor*. Boję się o Alejandrę – oznajmił i zamilkł, najwyraźniej chcąc sprawdzić, jakie wrażenie wywarła ta wiadomość.

– Poznaję cię. To ty umieściłeś mnie na płóciennych noszach, które ciągnął koń.

– Robiłem to wbrew sobie. Uważałem, że lepiej by było, gdyby pan umarł. Alejandra uparła się przywieźć pana tutaj. Gdyby to zależało ode mnie, wbiłbym panu nóż w serce i byłby z panem koniec.

– Rozumiem.

– Czyżby, *señor*? Naprawdę rozumie pan, jak niebezpieczny jest dla Alejandry pana pobyt w hacjendzie i jaką cenę może ona zapłacić za pańskie ocalenie? El Vengador potrafi być bezwzględny, jeśli ktokolwiek wejdzie mu w drogę.

– Nawet własna córka?

– Enrique Fernandez skończy życie jako człowiek zgorzkniały i otoczony nienawiścią. Jeśli Alejandra zostanie z ojcem, pójdzie w jego ślady, bo jest równie uparta jak on. Fernandez ma wrogów, którzy uderzą, kiedy najmniej się tego spodziewa. Otacza go też zgraja tych, którzy zazdroszczą mu władzy.

– Należysz do nich?

Młody człowiek zachnął się.

– Powiedziała, że pan jest bardzo sprytny i że potrafi odgadywać ukryte intencje. Według niej, jest pan jeszcze bardziej niebezpieczny niż jej ojciec. Jeśli zostanie pan tutaj dłużej, El Vengador zorientuje się, z kim ma do czynienia, i każe pana zamordować. Dlatego chce, żeby pan zniknął.

– Wiem.

– Zależy jej także na pana bezpieczeństwie. Ona jest mi bliska jak siostra. Jeśli pan ją skrzywdzi, to...

– Nie skrzywdzę – wpadł mu w słowo Lucien.

– Wierzę panu, kapitanie, i między innymi z tego powodu tu jestem. Być może jest

pan wystarczająco potężny, żeby ją chronić.

– Sądziś, że Alejandra przyjmie moją ochronę? – Lucien by się roześmiał, gdyby Tomeu nie był tak przejęty ich rozmową i taki młody.

– Mąż Alejandry został zabity niecały rok temu, zaledwie kilka miesięcy po ich ślubie.

– Ach tak. – Lucien wcześniej przypuszczał, że coś podobnego musiało się stać. Ludzie, którzy doświadczyli osobistych strat, często gorliwie zwracają się ku Bogu i wierze, podobnie jak Alejandra.

– Ma innych krewnych?

– Wują gdzieś na południu, ale nie łączy ich bliższa zażyłość.

– Przyjaciół poza tobą?

– To jest oddział partyzancki, którego zadaniem jest sianie terroru w szeregach wroga. Większość kobiet albo schroniła się w bezpiecznych miejscach, albo powędrowała na tamten świat. To niebezpieczne miejsce do zamieszkania.

– Dziś tu, jutro gdzie indziej?

– Właśnie.

– Czy Alejandra zraniła cię w nadgarstek?

– Tak. Chciałem, żeby została moją żoną, ale odmówiła.

– Przekonująca odmowa – zauważył Lucien.

– Siniak na jej twarzy powstał przypadkowo. Ściągnąłem ją ze schodów, bo straciłem równowagę. Ona mi powiedziała, że nigdy nie wyjdzie powtórnie za mąż, a nawet prośbę o rękę będzie traktowała jak osobistą obrazę.

– Kochała męża?

– Niech pan sam ją o to zapyta, *señor*.

- Zapytam. Uważasz, że ojciec ją skrzywdzi?

– Nierozmyślnie. Pańska obecność jest dla obojga trudna. Alejandra wolałaby, żeby pan dostatecznie wyzdrowiał przed podróżą, a Enrique chce się pana pozbyć jak najprędzej. Tytuł hrabiowski trochę panu pomógł. Kiedy jednak oddział zostanie zaatakowany, będzie trzeba opuścić hacjendę i się rozproszyć. Lepiej nie mieć na głowie kogoś, o czyje zdrowie i bezpieczeństwo trzeba się troszczyć. Prościej wysłać pana do domu.

Słowa Tomeu uświadomiły Lucienowi, że chłopaka cechuje niemała inteligencja. Na pewno ktoś taki jak El Vengador nie rozpowiada na lewo i prawo o swoich zamysłach, a Tomeu miał dobre rozeznanie w zamiarach starego. Spostrzegł, że zauważył on sygnet na jego palcu. Domyślił się tego, czego tamten nie dopowiedział. Na pewno należał do podejmujących decyzje w grupie. Uśmiechnięta miła twarz niewątpliwie stanowiła maskę, bo to brutalność i brak skrupułów były cechami zapewniającymi przetrwanie w ruchu partyzanckim.

Czy ojciec Alejandry przysłał Tomeu na przeszpiegi? A może ona to zrobiła? Możliwe również, że wizyta była podyktowana dobrymi chęciami chłopaka, który chciał go ostrzec. W ciągu trzydziestu dwóch lat spędzonych na tym świecie Lucien nauczył się podawać wszystko w wątpliwość i dzięki temu ciągle żył.

– Co z rodziną jej męża? Nie mogłaby tam poszukać schronienia?

– To moi kuzyni. Są spragnieni krwi Fernandezów bardziej niż ktokolwiek inny w Hiszpanii. Bardziej niż krwi Francuzów, a to chyba coś panu mówi.

Winna jest wojna. Rozdarła tkankę społeczną, zniszczyła więzi rodzinne. Lucien pomyślał o swojej najbliższej rodzinie pozostawionej w Anglii i jej rozgałęzieniach, licznych wujkach, ciotkach i kuzynach. Nagle dojmująco zatęsknił za domem.

– Przykro mi... – Wiedział, że to żadna odpowiedź, ale nie miał innej.

Młody człowiek chyba zrozumiał. Skierował się ku drzwiom.

– Niech pan nikomu nie ufa podczas podróży na zachodnie wybrzeże.

– Dobrze.

– I proszę czuwać nad Alejandrą.

Zniknął w ciemnościach. Tymczasem w wilgotnym powietrzu dały się słyszeć pierwsze głosy ptaków, zwiastujące nowy dzień.

## Rozdział czwarty

Tomeu wyruszył na południe, a Anglik uczył się chodzić w gaju oliwnym. Od rana mozolnie i powoli, lecz uparcie i wytrwale przemierzał ścieżkę między drzewami. Pocił się z wysiłku, chociaż dzień był dość chłodny.

Alejandra musiała przyznać, że robił postępy. Już nie kulał i się nie garbił, tylko trzymał prosto niczym żołnierz podczas musztry. Pokonywał dystans między dwoma drzewami trzykrotnie, po czym siadał, żeby odpocząć i wyrównać oddech.

Jest tak samo uparty i zdeterminowany jak ona. Wiedziała, że trzyma przy sobie nóż, który mu podarowała, gdyż przeszukała jego pokój i stwierdziła, że tam go nie ma. Tak nisko upadła podczas tej wojny, że grzebała w cudzych rzeczach. Matka powiedziała by jej kilka przykrych słów na ten temat, ale nie żyła, a nikt inny nie dbał o maniery Alejandry. Od śmierci matki nie miała nikogo bliskiego oprócz ojca. Robiła wszystko, żeby się mu przypodobać. Ubierała się po męsku i zdobywała informacje wywiadowcze.

Lucien zauważył ją i pozdrowił gestem dłoni. Pomyślała, że Anglicy dbaliby o dobre maniery nawet na łożu śmierci.

– W nocy odwiedził mnie pani przyjaciel Tomeu – zagadnął.

Zszokowana, milczała.

– Sądziłem, że za pani wiedzą, a widzę, iż jest pani zaskoczona.

– O czym rozmawialiście? – zapytała po chwili, mocno zaniepokojona tym, co Tomeu mógł ujawnić Anglikowi.

– Powiedział mi, że przez miesiąc była pani żoną jego kuzyna. Przyznał się też, że poprosił panią o rękę, ale spotkał się z odmową.

– Okazał się gadatliwy, jak słyszę.

– W przeciwieństwie do pani. Dawał do zrozumienia, że nie jest tu pani bezpieczna.

– Dawał do zrozumienia? – Alejandra się roześmiała. – To przecież fakt, kapitanie. Otacza nas trzy tysiące nieprzyjacielskich żołnierzy z wojowniczymi generałami na czele i cesarzem, który chciałby zawładnąć całą Europą.

– Odniosłem wrażenie, iż miał na myśli bardziej osobiste zagrożenie.

– Osobiste?

Lucien skinął głową. Alejandra dobrze wiedziała, o czym mówił Tomeu, bo wówczas, gdy zraniła go w nadgarstek, używał takich samych argumentów.

– On za dużo gada. Nie prosiłam pana o pomoc, to pan mnie potrzebuje, żeby się stąd wyrwać – zauważyła z przekąsem.

Lucien pominął milczeniem tę uwagę i powiedział:

– Uprzedzał, że podróż na zachodnie wybrzeże może się okazać niebezpieczna.

Władza pani ojca budzi zazdrość i są tacy, którzy chcą go jej pozbawić. Zresztą, włącznie z Tomeu.

Uśmiechnęła się.

– Kiedy mój ojciec ponownie poprosi pana o wsparcie jego walki o niepodległość Hiszpanii, niech pan się od razu zgodzi, nawet gdyby nie zamierzał pan podejmować

współpracy.

– Ponieważ zabije mnie, jeśli tego nie zrobię?

– Zostało mu niewiele czasu na wykonanie wszystkiego, co uważa za konieczne.

Dla niego jest pan albo środkiem do celu, albo nikim. Pana życie zależy od tego, jak bardzo jest pan przywiązany do zasady honorowania danego słowa. Moja rada brzmi: lepiej się do niej nie przywiązywać.

– U was słowo nic nie znaczy?

– Mniej niż nic. Honor jest pierwszą ofiarą wojny.

– Za życia pani matki...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Za trzy dni wyruszamy. Pójdą z nami jeszcze dwie osoby. Ojciec zaopatrzy pana w ciepły płaszcz i solidne buty.

Zdaniem Alejandry, obuwiu angielskich żołnierzy było bardzo liche. Widocznie wojskowy dostawca chciał się zanadto wzbogacić, nie brał pod uwagę, że od jakości umundurowania mogło zależeć życie żołnierzy.

„Honor”. To słowo wcisnęło się w przestrzeń między nimi jak wąż i torowało sobie drogę na powierzchnię, manewrując pomiędzy pragmatyzmem a chciwością.

– Najpierw czeka nas przeprawa przez góry, będzie pan musiał znaleźć siłę do wspinaczki.

Alejandra machinalnie spojrzała na niewielką płaską odległość między drzewami oliwnymi. Trudno ją porównywać z przestrzeniami, jakie przyjdzie Anglikowi pokonać w górach. Była bliska zwątpienia w sens własnego planu. Nie chciała, żeby kapitan Lucien Howard spadł z przełęczy lub zamarzł przemoczony lodowatym deszczem. Będzie mogła mu trochę pomagać, ale Adan i Manolo nie zgodzą się na nic, co narażałoby na szwank ich bezpieczeństwo. Będzie musiał sobie poradzić albo umrze, uznała w duchu. W tym momencie zauważyła, że Anglik się uśmiechnął. Musiał się zorientować, o czym pomyślała.

Był jeszcze piękniejszy, gdy się uśmiechał. Taki sam jak na rycinie umieszczonej w angielskiej gazecie. Był nie tylko urodziwy, lecz także inteligentny. Co gorsza, miał zdolność odgadywania myśli i motywacji innych ludzi i potrafił obracać tę umiejętność na swoją korzyść.

– Będę w formie w dniu rozpoczęcia podróży. Już teraz czuję się o wiele silniejszy

– zapewnił.

Pochylił się do przodu, a przy tym ruchu osunął się bandaż na karku. Alejandra dostrzegła świeżo zabliznioną czerwoną skórę. Blizna pozostanie na zawsze, pomyślała, będzie mu przypominała to miejsce i ten czas.

Lucien wyobraził sobie, że wrócił do rodzinnego domu, do niedotkniętego okrucieństwami wojny świata, w którym się niegdyś obracał. Naznaczony bliznami ukrytymi pod wytwornym ubraniem, nie będzie już tym samym człowiekiem, co dawniej. Czy jednak kogoś będzie obchodziła historia zapisana na skórze jego grzbietu? Czy ktoś zrozumie koszty, jakie poniósł? Ilu będzie skłonnych okazać mu współczucie z powodu poniesionej ofiary?

Zupełnie inaczej czuł się tutaj, w pobliżu Alejandry, w świetle bladego zimowego

poranka, pod szarozielonymi gałęziami drzewa oliwnego, rzucającymi cętkowate cienie. Tutaj nie musiał udawać, że jest kim innym niż w rzeczywistości. Chociaż Alejandra była mistrzynią w ukrywaniu emocji, Lucien zauważył, że w związku z czekającą ich wyprawą martwiła się jego kiepskim stanem fizycznym.

Gdyby nie ona, prawdopodobnie nie starczyłoby mu hartu ducha, by wciąż na nowo próbować, padać i się podnosić. Całe ciało go bolało, nie do końca zabliznione świeże rany piekły, utrata wagi zabrała mu siły. Obecność Alejandry mobilizowała Luciena i zachęcała do wytrwałości, tym bardziej że nie użalała się nad nim ani nie okazywała współczucia. Załamałby się, gdyby było przeciwnie.

Ciężko sapiąc, wstał z siedzenia, zdziwiony, że tak znacznie ją przewyższa.

– Jutro dojdę stąd do domu.

– To więcej niż dwieście kroków – zauważyła obojętnie.

– Do domu i z powrotem – dodał z uśmiechem.

Nieoczekiwanie się uśmiechnęła. Zielone oczy poweselały, na policzkach pojawiły się urocze dołki. Wyobraził ją sobie w londyńskiej sali balowej, kunsztownie uczesaną, wykwintnie ubraną. Kolor sukni powinien być śmiały, najlepiej czerwony. Wśród londyńskich piękności nie miałyby sobie równych.

– Jeśli pan pokona taki dystans, *Ingles*, przyniosę panu butelkę najlepszej *aguardiente de orujo*.

– Wody ognistej? Słyszałem o niej, ale nigdy jej nie próbowałem.

– Jak pan za dużo wypije, następny dzień przeleży pan w łóżku do zmroku, zwłaszcza jeśli nie jest pan do niej przyzwyczajony. Natomiast jak jej pan skosztuje, wstąpią w pana nowe siły.

– Weźmie pani udział w tym święcie?

– Może – odparła, przechylając głowę na bok i patrząc mu w oczy.

Lucien spędził wieczór na podłodze w swoim pokoju, próbując ćwiczeniami wzmocnić górne partie ciała. Wyczerpany wysiłkiem i zarazem sfrustrowany własną kiepską kondycją, zaległ na wyłożonej płytkami ceramicznymi podłodze. Odpoczywał i planował, jak nazajutrz pokona dystans z ogrodu oliwnego do domu. Będzie szedł osłoniętą od wiatru ścieżką, wysadzaną po obu stronach nisko przyciętym lawendowym żywopłotem, który nie posłuży mu za podporę w razie utraty równowagi. Ścieżka kończyła się trzema stopniami prowadzącymi na kryty ganek. Dwieście kroków w jedną stronę i dwieście z powrotem po płaskim, nie licząc stopni. Musi wierzyć w to, że da radę.

Leżąc na podłodze, miał okazję lepiej się przyjrzeć znakom wyrytym na murze pod parapetem okiennym. Zauważył, że jest ich więcej, niż mu się wydawało. Pomędzy większymi kreskami znajdowały się mniejsze, niewidoczne z łóżka. Dwadzieścia dziewięć małych kresek pomiędzy pierwszą a drugą dużą kreską, trzydzieści jeden między drugą a trzecią i piętnaście od trzeciej do czwartej dużej kreski. Czyżby oznaczały dni miesiąca? Jeśli tak, to być może chodziło o luty, marzec i kwiecień, a 1808 był rokiem przestępnym. Z jakiego powodu ktoś w taki sposób zapisywał upływ czasu?

W tym momencie za ścianą dzielącą jego pokój od sąsiedniego, który zajmowała Alejandra, rozległ się stłumiony płacz. Lucien nie miał wątpliwości, kto płacze. Podniósł się z podłogi i zbliżył do ściany. W tym momencie po drugiej stronie zapanowała cisza,

jak gdyby Alejandra wiedziała, kto nasłuchuje. Lucien stał nieruchomo, prawie nie śmiejąc oddychać.

Czuła, że Anglik stanął za obrzuconą gipsową zaprawą kamienną ścianą. Tam, gdzie było jej miejsce podczas miesięcy poprzedzających śmierć Juana, więźnia jej ojca, zdrajcy ich sprawy. Była przekonana, że nie ocali kapitana Luciena Howarda, jeśli ojciec uzna, że należy się go pozbyć. Dlatego jak najszybciej musi wyprowadzić go z hacjendy i zmierzać wraz z nim na zachód.

Dzień się kończył, rozśpiewane przed zmrokiem ptaki umilkły.

Juan nie mógł mówić i stracił lewe ramię, ale zdołał przeżyć dwa i pół miesiąca. Codziennie modliła się o jego śmierć i znaczyła na ścianie dni przedłużającej się agonii. Te kreski wciąż tam są na pamiątkę i jako ostrzeżenie. Niech nikt, kto zdradzi El Vengadora, nie czuje się bezpieczny, nawet jeśli jest mężem jego jedynej córki. Juan umarł z różańcem w dłoni, bo w końcu ojciec wyraził na to zgodę. Działo się to dokładnie rok temu, zanim wojna wkroczyła w najokrutniejszą fazę. Ilu ludzi straci życie w ciągu najbliższego roku, licząc od dziś?

Alejandra wyciągnęła ze schowka mapy, które znalazła na polu bitwy przy Lucenie Howardzie. Szczegółowe i bardzo dokładne. Byłyby bezcenne dla każdej armii szukającej przejść przez Góry Kantabryjskie. Ciekawe, że Francuzi nie przeszukali jego juków i nie zabrali takiego skarbu. Prawdopodobnie za bardzo się spieszyli. Przypuszczała, że dlatego nie dobili kapitana.

Wiedziała, że powinna oddać mapy ojcu, ale coś ją przed tym powstrzymało. Bez względu na to, co myślała o inwazji Francuzów, nie chciała dostarczać ojcu powodu do zabicia kapitana. To były angielskie mapy i powinny służyć Anglikom. W drodze na zachód odda je kapitanowi, żeby mógł je zabrać do kraju. Może będą dla Luciena pewną rekompensatą za trudy udziału w wojnie po stronie Hiszpanii i otrzymane rany.

Była wstrząśnięta nieprzyjaznym stosunkiem ojca do Anglika i zmęczona koniecznością nieustannego czuwania nad jego bezpieczeństwem. Od tygodni nie dosypiała z obawy, że znajdzie go z poderżniętym gardłem albo że zostanie on po kryjomu wywieziony w nieznane miejsce. Wiedziała, iż nie zazna spokoju, dopóki Lucien Howard nie znajdzie się z dala od hacjendy, gdzie będzie mógł bezpiecznie odzyskiwać nadwerężone zdrowie.

Znieruchomiła, słysząc pukanie do drzwi. Spojrzała w lustro i zauważyła, że ma zaczerwienione oczy i opuchnięte powieki, świadczące o tym, iż płakała. Pukanie powtórzyło się i chcąc nie chcąc, zapytała:

– Kto tam?

– Ojciec. Mogę wejść?

Błyskawicznie ukryła mapy w szufladzie i potarła policzki. Na tle zaróżowionych policzków zaczerwienienie oczu będzie mniej rażące. Dopiero wtedy odciągnęła zasuwkę.

Enrique Fernandez y Castro wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Alejandra zorientowała się, że zauważył jej zdenerwowanie.

– Gdyby twoja matka tu była... – zaczął, ale zamilkł, widząc smutek, który pojawił się na twarzy córki.

Łączyła ich jedynie pamięć o Rosalie Santo Domingo y Giminez. Oboje kochali tę

dobrą i dzielną kobietę, ale każde z nich inaczej radziło sobie z jej brakiem. Enriquego nie opuszczało uczucie gniewu, Alejandra zamknęła się w sobie do tego stopnia, że trudno było nieraz nawiązać z nią kontakt. Obecnie rzadko rozmawiali o zmarłej. Tak było łatwiej znieść ból i próbować nadal żyć, chociaż centrum, wokół którego obracał się ich świat, zniknęło.

– Angielski hrabia odzyskuje siły. – Było to stwierdzenie, nie pytanie. – Słyszałem, że to człowiek obdarzony rozumem i intuicją. Co o nim sądzisz?

– To porządny człowiek, ojciec. Może wykonać dla ciebie dobrą robotę w Londynie, o ile mu na to pozwolisz.

– Ale również stanowić dla nas zagrożenie, a zwłaszcza dla ciebie. Inne grupy partyzanckie mogą zechcieć go przejąć.

Alejandra dobrze знаła ojca i wolała udawać obojętność. Gdyby zaczęła nalegać na swój udział w wyprawieniu Luciena Howarda na zachód, ojciec mógłby zmienić plany. Zachowała milczenie i czekała, co jeszcze ojciec powie.

– Tomeu twierdzi, że on umie czytać w myślach.

– Wierzysz mu? – spytała ze śmiechem.

– Wierzę, że Anglik potrafi znacznie więcej, niż sobie wyobrażamy, Alejandro, musimy więc się postarać, by wiedział o nas jak najmniej.

– Masz na myśli dom i jego zabezpieczenia oraz mieszkańców i załogę?

– Zawiążesz mu oczy, gdy będziesz go wyprowadzała. Nie chcę, żeby zobaczył bramy i mosty, a także zabudowania w dole nad rzeką.

– Dobrze.

– Zostaw go w Corcubion, nie prowadź dalej. Znajdziesz tam dla niego łódź, która zabierze go do Anglii.

– Adan ma rodzinę w Pontevedrze.

– To prawie dodatkowy tydzień górkimi drogami. Chcę, żebyś wróciła szybciej.

– Jak sobie życzysz, ojciec. – Alejandra zaczęła się zastanawiać nad implikacjami wyprawienia Luciena na morze z miejscowości, nad którą ich ludzie nie sprawowali kontroli.

– Dużo kosztuje mnie ten brytyjski szpieg. Jeśli kiedykolwiek uznasz, że nie jest wart narażania się i podejmowania ryzyka, to go zabij. Te same instrukcje wydałem Adanowi i Manolowi. Pozbądźcie się go w razie najmniejszych kłopotów. Wyruszyście za trzy dni. Masz tu sakiewkę.

– On jeszcze dostatecznie nie wydobrzał, ojciec – odparła Alejandra, biorąc do ręki ciężki skórzany woreczek.

– Jeśli w ciągu trzech dni nie wyjdzie stąd o własnych siłach, to nigdy nie będzie chodzić. Zrozumiałaś, córko?

– Zrozumiałam.

Ojciec definitywnie chciał się pozbyć Anglika, uznała w duchu Alejandra, i jeśli nie uda się przeprowadzić tego z zachowaniem pozorów poprawności, zrobi to inaczej.

– Wyruszymy, jak się ściemni, tak będzie bezpieczniej – powiedziała. Chciała dać kapitanowi Howardowi czas na przyzwyczajenie się do trudności. Wiedziała, że im później wyruszą, tym mniej godzin czeka ich pierwszego dnia marszu.



– Zgoda. Nie zobaczę go przed opuszczeniem hacjendy, gdyż jutro przed świtem wyjeżdżam do Betanzos i będę tam tydzień. Obiecuj mu w moim imieniu, że ktoś się z nim skontaktuje. Wkrótce.

– Dobrze.

Enrique uśmiechnął się i przez moment wyglądał jak dawny kochający ojciec. Od dłuższego czasu Alejandra nie czuła z nim takiej bliskości jak w tej chwili.

– Z Bogiem, córko.

Ojciec wyszedł z pokoju, a ona nasłuchiwała jego oddalających się kroków, gdy szedł korytarzem. Miała trzy dni na przygotowanie angielskiego kapitana do wyczerpującego marszu, co prawda, nie przez góry, ale wzdłuż wybrzeża. Będzie mu łatwiej, ale prowadzącym go trudniej, bo będą pozbawieni osłony. Poza tym ten teren zamieszkiwała rodzina Juana i w związku z tym będą musieli unikać zwracania na siebie uwagi.

Dzisiaj kapitan pokonał dystans co najwyżej pięciuset kroków, po czym mógł odpocząć. Za trzy dni nie będzie miał tego luksusu. Alejandra wyciągnęła różaniec z kieszeni i zaczęła się modlić do Boga, żeby podczas wyprawy dał kapitanowi siłę, odwagę i wytrzymałość. Poprosiła o to samo dla siebie.

Nazajutrz wprawdzie było bezchmurnie, lecz zimno. Alejandra stała obok Luciena. Z pola przyglądała im się grupka ludzi.

– Niech pani nie idzie ze mną – powiedział, widząc, że zamierza mu towarzyszyć.

– Proszę poczekać, aż wrócę. – Nie uszły jego uwagi cienie pod oczami Alejandry.

– Alkohol pana rozgrzeje – odparła.

Był zadowolony, że nie użalała się nad nim ani nie starała się dodać mu odwagi. Nie męczyły go nudności, nie miał zawrotów głowy. Po raz pierwszy od tygodni zjadł obfite śniadanie. Postawił pierwszy krok, po nim kolejne. Szedł wzdłuż lawendowego żywopłotu, czując odurzający ostry zapach. Doszedł do trzech stopni prowadzących na ganek. Zatrzymał się i wziął głęboki oddech. Był spocony. Opuściła go śmiałość, z jaką wyruszył. Wejście na schody wymagało o wiele większego wysiłku niż chód po płaskim. Nie było poręczy, nie miał się czego przytrzymać, kiedy podniósł stopę i przeniósł na nią ciężar ciała. Pokonał pierwszy stopień, potem drugi, trzeci i stanął na zadaszonym ganku. Obejrzał się za siebie. Alejandra tkwiła nieruchomo pod drzewami oliwnymi. Chyba spodziewała się, że on zaraz upadnie.

Lucien uśmiechnął się do niej, na co odpowiedziała uśmiechem. Droga powrotna wydała mu się łatwiejsza. Zejdzie ze stopni, przejdzie ścieżką wzdłuż lawendowego żywopłotu, dojdzie do drzew, pod którymi czeka Alejandra. Wprowadził zamiar w czyn, a kiedy dotarł do celu, nie potrzebował usiąść, żeby odpocząć. Przystanął, zdjął z głowy kapelusz i wziął z jej rąk ozdobny kielich.

– *Salud.*

– Na zdrowie – odpowiedział po angielsku.

Stuknęli się kielichami. Był rozgorączkowany postępowaniem, jakiego dokonał, i o wiele mniej zmęczony, niż przypuszczał. Nazajutrz spróbuje pokonać dłuższy dystans, a następnego dnia jeszcze dłuższy.

– Pojutrze wyruszamy na zachód.

Tak szybko? Alkohol palił gardło, zebrało mu się na nudności, ale nie zamierzał tego okazać. Pociągnął drugi łyk. Dzisiaj rano mu się powiodło, lecz nie wyobrażał sobie wspinaczki po górach i udawania, że nie brak mu energii i siły.

– Jeśli nie będzie pan nadążał, zostanie zastrzelony. Ojciec wydał taki rozkaz.

Lucien dopił resztę zawartości kielicha, wyciągnął go przed siebie, żeby Alejandra go ponownie napelniła.

– Pozostaje mi liczyć na to, że woda ognista ma taką moc, o której mnie pani zapewniała.

– Ojciec ma wrogów, a Francuzi się nie wycofali. Na szczęście znamy ten teren jak własną kieszeń i będziemy uzbrojeni.

– My?

– Adan, Manolo i ja. – Rozejrzała się, jak gdyby chciała sprawdzić, czy nie ma nikogo w pobliżu. – Ma pan nóż, kapitanie. Gdyby ktokolwiek panu zagroził, niech pan go użyje.

– Ktokolwiek? – Zajrzał w ciemne oczy Alejandry.

– Ktokolwiek – potwierdziła. – Dostanie pan nowe ubranie na drogę. Constanza ufarbuje panu włosy na ciemno, bo jasne zdradzałyby, że jest pan obcy.

– Mam iść w przebraniu?

Lucien zauważył, że się zawahała. Znał opowieści o tym, jak przebrani w cywilne ubrania żołnierze kończyli na gałęzi. Czułby się bezpieczniej w płaszczu nałożonym na swój biało-niebieski mundur, ale miał świadomość, że mógłby sprowadzić poważne kłopoty na tych, którzy będą go eskortować.

– Mówi pan po hiszpańsku jak ktoś, kto pochodzi z tego terenu. To musi wystarczyć.

– Spodziewa się pani problemów?

Parsknęła śmiechem.

– Czy mogę panią o coś zapytać?

Alejandra skinęła głową, więc dodał:

– Co stało się z pani mężem?

– Zdradził nas, więc umarł – odparła.

– Jak?

– Jak zdradził czy jak umarł?

– Jedno i drugie.

– Zdarzyło się to prawie rok temu, zimą. Doszło do walki i mój mąż przegrał. Umierał powoli.

– Przez trzy miesiące? Mieszkam teraz w jego pokoju?

– Skąd taki pomysł? – Alejandra się cofnęła.

– Świadczą o tym znaki na ścianie w pokoju, który zajmuję, a przypuszczam, że pani mąż w nim przebywał. W zeszłym roku luty miał dwadzieścia dziewięć dni, marzec ma trzydzieści jeden. Przypuszczam, że zmarł piętnastego kwietnia. Moim zdaniem, pani wyryła znaki na ścianie.

– Tak, ja to zrobiłam. – Tym razem nawet nie starała się ukryć irytacji. – Każdej nocy, gdy stałam w jego pokoju i życzyłam mu śmierci, dodawałam jeden znak. Zdradził

nas dla pieniędzy. Czy tego też się pan domyślił? Za pokaźną kwotę w pesos i za karabiny, którymi zamierzał uzbroić własną grupę partyzancką i usunąć mnie oraz mojego ojca.

– Przyznał się?

– Nie. Strzał w głowę nie sprzyjał jakimkolwiek wyjaśnieniom. Ojciec pozwolił mi żyć tak długo, by zrozumiał swój błąd, a poza tym chciał się dowiedzieć, kto jeszcze był zamieszany w spisek.

– Dowiedział się?

– Juan umarł, nie wypowiedziawszy słowa, potrafił jednak pisać, o czym nie wiedziałam. – Z tymi słowami Alejandra odeszła.

Lucien wcześniej domyślił się, że wyrazy napisane węglem drzewnym na karcie Biblii wyszły spod ręki trzymanego w pokoju więźnia. Teraz poznał jego tożsamość. Zastanawiał się, czy Alejandra znenawidziła męża tylko za zdradę ich partyzanckiego oddziału, czy za coś jeszcze.

## Rozdział piąty

Nawet zimą pogoda w atlantyckiej części Hiszpanii bywa bezwietrzna i sucha, jednak tej nocy, w pierwszym tygodniu marca, północny wiatr szalał z taką siłą, że Lucien musiał mocno się pochylić do przodu, żeby ją zrównoważyć. W dodatku ostro zaciął lodowaty deszcz.

Ubranie, które dostał od Alejandry, skutecznie chroniło od przemoczenia i wyziębienia. Był zdumiony, jak wygodne okazały się nowe buty, a kapelusz z szerokim i dobrze ustawionym rondem osłaniał od deszczu twarz i ramiona. Tylko dłonie zmarzły mu tak, że stracił czucie w palcach.

Maszerowali od dobrych dwóch godzin i wciąż udawało mu się dotrzymać kroku pozostałym. Adan i Manolo szli na przedzie, torując drogę przez zarośla.

– Wkrótce się zatrzymamy. – Przez plusk deszczu dotarły do Luciena słowa idącej za nim Alejandry.

– Rozbijemy obozowisko?

– Raczej nie. Nie zaryzykujemy rozpalenia ogniska, lecz drzewa powinny dać wystarczającą osłonę, żeby się ułożyć do snu.

Lucien uniósł głowę. Księżyc był częściowo przesłonięty chmurą, ale oświetlał powierzchnię ziemi wystarczająco jasno, by dało się zauważyć ciemną linię iglastego zagajnika, jakieś ćwierć mili przed nimi. Ucieszył się na ten widok. Czuł się zmęczony, chociaż plecak, który niósł, nie był ciężki, a poza tym przed wyjściem z domu nie najadł się do syta. Wiedział, że Alejandra zwalnia kroku, żeby dostosować się do jego możliwości, i był za to wdzięczny, ale z jej miny wywnioskował, że nie powinien o tym wspominać.

Adan zatrzymał się nagle i zaczął nasłuchiwać. Lucien uczynił to samo, ponieważ wiatr przyniósł dźwięki mowy ludzkiej. Przed nimi przemieszczała się grupa ludzi najwidoczniej przekonanych, że są na szlaku sami. Lucien przypadł do ziemi na znak wykonany przez Adana.

– Są jakieś ćwierć mili przed nami, ale zmierzają na północ. – Alejandra podczołgała się do Luciena. – Dziewięć lub dziesięć osób i konie.

Zaciągnęła kaptur brązowej peleryny na głowę i skuliła się w zagłębieniu gruntu. Adana i Manola też nie było widać. Najwidoczniej skryli się w zaroślach. Lucien spojrzął na liście widoczne nad głową. Wskazywały, że wiatr dał od czoła. Nawet gdyby tamci mieli psy, nie wywąchałyby ich obecności. Zauważył, że Alejandra trzyma w gotowości pistolet oraz nóż i sięgnął po swój nóż. Szkoda, że nie dała mu również broni palnej. Nie mógł odżałować utraty wspaniałego egzemplarza, z którym dotarł do La Coruñy.

Deszcz osłabł. Kropelki wody lśniły na policzkach i długich pasmach włosów Alejandry, które wymknęły się spod kapelusza. Lucien zastanawiał się, czy już kogoś zabiła. Postacie tych, których on wyprawił na tamten świat, zlewały się w jego pamięci w korowód bezcielesnych duchów, snujących się nad polami bitew. Dawno już przestał ich żałować.

Przymusowy odpoczynek dobrze mu zrobił. Serce przestało walić, oddech się

wyrównał, nawet zmęczenie uleciało. Tamci nie są Francuzami, uznał z przekonaniem. Było ich za mało i zbyt pewnie zachowywali się na szlaku. Mogli być zatem partyzantami, podobnie jak El Vengador i jego podkomendni. Wiatr przyniósł z ich strony kilka hiszpańskich słów.

– To ludzie z rodziny Belasio – powiedziała Alejandra. – Wracają na swoją ziemię.

– Zobaczyła ich pani?

– Poczułam. – Uśmiechnęła się i pociągnęła kilkakrotnie nosem.

Rozbawiła Luciena; nieco humoru w momencie zagrożenia podnosi na duchu.

– Partyzanci? Są uzbrojeni?

– Tak.

– Chyba raczej nie potraktowaliby nas jak wrogów, prawda?

– W tej wojnie nie ma jasnych reguł. Mamy broń, którą oni chętnie by przejęli, a pańska obecność też by nam nie sprzyjała.

– Moja?

– Za jeńców dostaje się duże pieniądze, a trudno ukryć pańskie niebieskie oczy. Nie wygląda pan na Hiszpana, chociaż doskonale posługuje się pan naszym językiem.

– Cholera. Dokąd zmierzamy?

– Do Corcubion. To niewielki port o dwa dni drogi stąd.

– Wydawało mi się, że była mowa o Muros?

– Ojciec i Adan uznali, że w pańskim stanie lepiej iść tam, gdzie bliżej. Ruszajmy, tamci odeszli. Do zagajnika już niedaleko.

Pół godziny później zatrzymali się pod sosnami. Ściemniło się, deszcz przestał padać, ale kapało z konarów drzew.

– Wyruszmy o brzasku – zapowiedział Adan, starszy z dwóch przewodników.

Ułożył się pod krzakiem, po chwili dołączył do niego Manolo. Alejandra pozostała z Lucieniem w odległości dobrych dwudziestu kroków od tamtych. Wyjął z plecaka chleb, odłamał kawałek i zaczął jeść, wiedząc, że nazajutrz będzie potrzebował sporo energii. Żałował, że nie miał przy sobie srebrnej flaszki z dobrą angielską brandy, ale, podobnie jak resztę jego rzeczy, prawdopodobnie zabrali ją Francuzi wtedy, kiedy go pochwycili. Sięgnął po

skórzany bukłak z hiszpańskim czerwonym winem. Napił się i poczuł, że dobrze mu zrobiło. Podał bukłak siedzącej obok Alejandrze, która wzięła go w ręce i przechyliła. Po napiciu się otarła rękawem ustnik i oddała Lucienowi bukłak.

– Zje pani chleba?

Pokręciła przecząco głową. Owinęła się szczelnie peleryną i ułożyła do snu, wykorzystując plecak w charakterze podglówka.

Nad ich głowami odezwał się ptak. W czasie przemarszu wojsk angielskich Górami Kantabryjskimi Lucien bardzo rzadko słyszał ptaki. Dopiero w okolicach Lugo udało mu się ustrzelić sporą sowę. Wypił z niej krew, ponieważ nie mieli drewna na ognisko, zresztą niebezpiecznie byłoby je rozpalić, a on nie jadł od trzech dni. Potem oskubał ją i piórami wypchał podarte buty, żeby zapobiec odmrożeniu stóp. Odgonił wspomnienie i głęboko odetchnął. Położył się na wznak i popatrzył w górę. Pod drzewami było względnie ciepło, a on zjadł, napił się i było mu wygodnie. Gruba warstwa sosnowych igieł stanowiła

swoisty materac. Nóż umieścił w fałdach płaszcza, w zasięgu dłoni.

– Jest pan przezornym człowiekiem – usłyszał szept Alejandry.

– Nauczyłem się, że warto być przygotowanym na kłopoty.

– Tej nocy będziemy bezpieczni. Słyszał pan ptaka? To jeden z puchaczy. Są jak strażnicy. Zamilkną, jeśli coś poruszy się w promieniu tysiąca kroków od nas.

– Dobrze wiedzieć – odparł i zauważył, że w mroku błysnęły białe zęby Alejandry.

– Hiszpania jest jak kochanka, *señor* Howard, łaskawa dla tych, którzy się tu urodzili. Nie skąpi nam śpiewu ptaków, jagód, wody ze strumieni i wygod na materacu z igliwia. Tę równowagę zakłócają obcy, którzy tu przybywają, przepełnieni chciwością i żądzą władzy.

Wiedziała, że jest zmęczony. Idąc, milczał, jakby szkoda mu było energii na zbędny wysiłek. Wszystkie siły, całą wolę skoncentrował na mozolnym posuwaniu się do przodu. Wino złagodzi zapewne ból, który musi odczuwać, pomyślała, a w każdym razie miała nadzieję, że tak będzie.

Zdjął kapelusz. Na tle ufarbowanych na ciemno włosów jego oczy wydawały się jeszcze jaśniejsze. Każdy, kto spojrzałby na niego z bliska, rozpoznałby w nim cudzoziemca, którego należy się strzec.

– Dalej będziemy szli przeważnie w dół – powiedziała.

Chciała wlać w Anglika trochę otuchy. Wciąż nie był zdrowy i poruszał się z trudem. Wiedziała, że nie będzie narzekał, i była mu za to wdzięczna. Najbardziej brakowało jej snu. W hacjendzie drżała o jego bezpieczeństwo. Świadoma, że ojcu zależało na pozbyciu się kłopotu, nie dosypiała przez kolejne noce. Dobrze, że Manolo i Adan ulokowali się w pewnej odległości, a nóż Luciena Howarda był bardzo ostry. Ptaki pohukiwały, insekty brzęczały – rozlegała się muzyka uspiętego lasu, wolnego od zagrożenia ze strony obcych armii i zbrojnych band. Alejandra przytuliła się do ciepłego ramienia kapitana Howarda i usnęła.

Luciena obudził poranny ptasi chór. Alejandra spała lekko przytulona do jego ramienia, jakby mimowolnie przed zaśnięciem szukała źródła ciepła. We śnie wyglądała młodziej, miała lekko zadarty nos i piegi na aksamitnych policzkach. Jeden z palców dłoni znaczyła brzydka blizna, drugi był pozbawiony paznokcia. Wcześniej zauważył białe nitki zabliznionych ciętych ran na prawym nadgarstku. Niewątpliwie ta młoda kobieta zaznała cierpienia i bólu. Pomyślał o dłoniach kobiet z jego sfery, wypielęgnowanych i z pomalowanymi paznokciami. Nagle zawładnęła nim przemożna chęć dotknięcia jej dłoni, ale się pohamował. Na ramię wpełzł jej pająk. Lucien strzepnął go delikatnie i chociaż było to tylko lekkie muśnięcie, Alejandra obudziła się i w mgnieniu oka oprzytomniała.

– Dzień dobry.

Nie odpowiedziała. Usiadła. Gęste włosy spłynęły do pasa falą rzucającą czerwonawe i czarne refleksy. Spojrzała w niebo, jakby chcąc ustalić porę dnia. Stalowa rękojeść noża odcisnęła się na skórze jej przedramienia, tak blisko trzymała go przy sobie podczas snu. Zauważyła, że są sami.

– Gdzie Adan i Manolo?

– Poszli do strumienia, tego, który szumi w pobliżu. Chyba zaraz wrócą.

Wstała, spakowała swoje rzeczy, nogą wygładziła wierzchnią warstwę igliwia.

– Lepiej, żeby nikt się nie zorientował, że tu byliśmy. Oczywiście, dobry tropiciel znajdzie ślady, ale ktoś przypadkowy... – Urwała i z niepokojem rozejrzała się wokół. – Hiszpania to nie jest kraina szczęśliwości, to ziemia o rozdartym sercu.

– A jednak pani tu mieszka i chyba nie zamierza jej opuścić.

– To mój dom – stwierdziła po prostu, podając mu suchar posmarowany na wierzchu syropem z cukru. – Na drogę – dodała, widząc, że nie miał apetytu na taki poczęstunek. – Jeśli nie będzie pan jadł, zabraknie sił do wędrówki.

Tego ranka Lucien był w o wiele lepszym nastroju niż poprzedniego dnia, jakby odzyskał dawną energię i poczucie sensu istnienia. Być może stało się to także z powodu zmiany scenerii i nadziei na rychły powrót do Anglii. Nie bez znaczenia był też uśmiech jego towarzyski. Kiedy nie chmurzyła się i nie gniewała, Alejandra Fernandez y Santo Domingo była piękna. A byłaby zdumiewająco piękna w wytwornej sukni i z domytą do czysta twarzą, a nie ubrudzoną ziemią jak teraz.

Co za myśli płaczą mu się po głowie? Lepiej się przestawić na bieżące problemy.

– Wie pani cokolwiek o ruchach wojsk francuskich?

– Całkiem sporo. Marszałek Soult zajął Porto w Portugalii, a marszałek Victor z Józefem Bonapartem kontrolują centrum Madrytu. Żadne mniejsze oddziały nie zapuszczają się do tej części kraju.

– Boją się partyzantów?

– Pan by się nie obawiał, kapitanie?

Adan i Manolo wrócili znad strumienia. Alejandra dała im znak, że teraz ona chce zejść nad strumień. Pozostawiony sam na sam z dwoma Hiszpanami, Lucien stał się czujny. Coś było nie w porządku, czuł to w kościach, a nie na darmo był żołnierzem, by zignorować to wrażenie. Instynktownie sięgnął po nóż.

– Ktoś jest w pobliżu – powiedział.

Manolo i Adan także wyciągnęli noże i zbili się wokół Luciena.

Czterech mężczyzn pojawiło się jakby znikąd. Jeden z nich wystrzelił z karabinu prosto w Adana, który padł martwy, z szeroko rozwartymi oczami, jakby zdziwiony. Lucien rzucił się z nożem do gardła temu, który strzelił, i rozplątał je jednym ruchem, zanim tamten zdążył przeładować broń. Po chwili tak samo potraktował kolejnego napastnika. W tym momencie znad strumienia wróciła Alejandra z nożem w dłoni. Ciężko oddychała, jakby biegła. Lucien osłonił ją własnym ciałem przed ewentualnym strzałem. Pozostało jeszcze dwóch bandytów. Manolo unieszkodliwił jednego z nich, lecz sam padł rażony kulą, którą zdążył wystrzelić ostatni pozostający przy życiu. Lucien rzucił się w jego stronę, ale napastnik odwrócił się i puścił biegiem. Lucien momentalnie schylił się po kamień i cisnął nim w uciekającego. Ucieszył się, słysząc z oddali jego skowyt. Chętnie posłałby za uciekającym nóż, lecz nie chciał pozbywać się jedynej broni.

Na polankę powrócił spokój tak szybko, jak przedtem pojawili się na niej napastnicy, zakłócany jedynie przejmującym zawodzeniem Alejandry przyklękającej najpierw przy Adanie, a potem przy Manolu.

– *Dios mio. Dios mio. Dios mio.*

Manolo kurczowo uchwycił jej rękę i chciał coś powiedzieć, ale słowa były

urywane i niezrozumiałe. Alejandra trzymała jego umazaną krwią i ziemią dłoń, czekając, aż wyda on ostatnie tchnienie. Kiedy to się stało, skrzyżowała mu ramiona na piersi i zamknęła oczy. Potem zajęła się Adanem. Osłoniła połami jego płaszcza krwawiącą ranę na brzuchu, a na oczach położyła mu swoją haftowaną w fioletowe i niebieskie kwiatki chusteczkę. Lucien pomyślał, że kunsztownie wyhaftowana chusteczka, z którą się teraz rozstawała, musiała być jedną z jej ostatnich pamiątek z przeszłości.

– Adan i Manolo zostaną pomszczeni. To byli Betancourtowie. Widywałam ich w przeszłości. Ojciec im nie odpuści.

Zebrała porzuconą przez napastników broń i butelki z wodą napełnione przez Adana i Manola. Przykryła ciała zabitych igliwem, odmawiając po cichu modlitwę. Po jej policzkach spływały łzy.

– Nie mamy czasu pochować ich, jak należy – powiedziała. – Betancourtowie wrócą, kiedy dowiedzą się o zabiciu ludzi z klanu, żeby ich pomścić. Adan i Manolo nie chcieliby umierać nadaremno, więc powinniśmy jak najszybciej obrać zachodni kierunek przez góry, bo tylko ta droga będzie dla pana bezpieczna.

Odbili w głąb lasu. Wiatr od morza wiał im teraz w plecy. Doszli do górskiego strumienia. Więcej jak ćwierć mili szli jego korytem. Co kilka minut Alejandra przystawała i nasłuchiwała, czy wiatr nie niesie niepokojących odgłosów. Była przekonana, że Betancourtowie będą próbowali ich wyśledzić. Na szczęście znowu zaczął padać deszcz. Pomyślała, że woda rozmyje odciski stóp, gdyby je gdzieś nieostrożnie pozostawili.

– Robiła już to pani kiedyś? – zapytał, gdy Alejandra zarządziła przerwę w marszu.

– Może tyle samo razy, co pan, kapitanie. Kto nauczył pana takiej walki nożem?

– Pewien wytwórca rumu w Kingston na Jamajce. Byłem młodym, świeżo upieczonym oficerem, aroganckim jak każdy w takim wieku. Pewien człowiek nazwiskiem Sheldon Williams wziął sobie za punkt honoru utrzyć mi nosa i wyzwiał mnie do walki.

Lucien zauważył, że słucha z zainteresowaniem, więc ciągnął.

– Panował gorąc nawet jak na połowę lipca i nie odczuwało się najłżejszego powiewu wiatru. Powietrze było przesycone solą. Widzów nie brakowało, w porcie stało sporo statków. Mógł mnie zabić ze dwadzieścia razy albo i więcej, a jednak tego nie uczynił, tylko pokazał mi, jak wyjść cało z takiej walki.

– Walczy pan jak mój ojciec.

– To komplement?

Alejandra nachmurzyła się i nie odpowiedziała.

Po śmierci Adana i Manola nie mogła wrócić z kapitanem do domu. Ojciec uznałby, że przyczyną ich śmierci była jego obecność, i od razu rozkazałby go zabić. Ponownie dosięgła ją groza sytuacji, w jakiej się znaleźli. Nie ma innego wyjścia, będzie musiała przeprowadzić go przez Góry Galicyjskie do Pontevedry, w nadziei że tam uzyska pomoc ze strony rodziny Adana. To dłuższa droga niż ta, którą zaplanowała. Przemierzała ją kiedyś, lecz zawsze z przewodnikiem.

Alejandra była poruszona tym, co widziała. Brutalność i wprawa, z jaką Lucien Howard poderznął gardła napastnikom, mocno ją zaniepokoiły. Ktoś taki jak on byłby



niebezpiecznym przeciwnikiem. Po śmierci Adana i Manola musi zachować daleko idącą ostrożność, bo jednak nie mogła porzucić kapitana. Skazany na samotną wędrówkę, marnie by skończył i na pewno nie dotarłby do Anglii.

Wciąż był osłabiony długotrwałą chorobą, a ponadto zauważyła krew, którą był przesiąknięty jego żakiet. Domyślała się, że sączyła się z nie w pełni zabliźnionej rany na karku. Żaden samotny Anglik nie miałby szansy ucieczki z Hiszpanii przez którykolwiek z portów w okolicy La Coruñy. Ludzie byli tam z natury podejrzliwi, a panoszący się Francuzi rozbudzili nienawiść do każdego obcego. Kapitan mówił dobrze po hiszpańsku, ale nawet z ufarbowanymi włosami nie wyglądał na miejscowego. Zdradzały go jasnoniebieskie oczy, a w przedziałku na głowie pojawiły się jasne odrosty, co tym bardziej upewniło ją, że nie może zostawić go własnemu losowi. Sięgnęła do plecaka, wyjęła mapy, które znalazła pod czaprakiem jego martwego konia.

– To należy do pana.

Otarł dłonie o żakiet, zanim wyciągnął je po plik map.

– Myślałem, że zginęły bezpowrotnie.

– Były pod pańskim koniem, zauważyłam je, gdy go unieśliśmy, żeby pana spod niego wydostać. Pan je rysował?

– Częściowo. Wędrowałem wraz z grupą przewodników. Wszelkie uzyskane od nich informacje były konfrontowane w miarę pokonywania terenu. Takie mapy mają bezcenną wartość.

– Dla tych, którzy chcieliby grabić Hiszpanię?

– Albo jej bronić.

Roześmiała się, po prostu nie mogła się powstrzymać. Kiedyś może by uwierzyła w szlachetne zamiary żołnierzy.

– Między dobrem a złem jest bardzo cienka granica, kapitanie. Niewinni ludzie umierają z powodu obecności tylu armii na naszej ziemi. Są granice, po których przekroczeniu ziemia nie jest w stanie wykarmić ludzi swoimi płodami i zaczyna się głód, a zwłaszcza zima. Na północy osiągnęliśmy tę granicę. Jeszcze jeden sezon wojenny i w Galicji nie pozostanie nam nic innego jak wolność umierania z głodu.

Alejandra nie zamierzała do tego stopnia odkrywać myśli przed kimś tak inteligentnym jak ten Anglik, jednak już dawno przestała wierzyć, że wojna nie kosztuje i że jest czymś chwalebny.

– Wolność i bezpieczeństwo mają swoją cenę – zauważył Lucien.

– Adan i Manolo zapłacili dzisiaj tę najwyższą. Francuzi przyjdą i odejdą, ponieważ jest niemożliwe, żeby tu się utrzymali. Takich ludzi jak Betancourtowie zje gorycz i nienawiść i także znikną. To będzie prawdziwy koszt tej wojny. Nikt nie będzie wygrany nawet na krótką metę.

– Czy akceptacja podboju nie jest równoznaczna z poddaniem się obcej władzy?

Kiedyś Alejandra właśnie tak myślała. Dopóki żyła matka, mąż i przyjaciele, była przekonana, że opór jest wart ceny, jaką trzeba zań zapłacić, iż jest honorowy, uzasadniony i słuszny. Zmieniła zdanie wiele miesięcy temu, dużo wcześniej, nim Juan zdradził ją i jej ojca, skuszony opętańczą wizją złota i władzy. Obecnie dostrzegała nadzieję dla Hiszpanii jedynie w pokoju, położeniu kresu wojnie i przelewowi krwi.

Ciągle miała przed oczami zdziwioną nagłą śmiercią twarz Adana. Odpędzała od siebie ów niechciany obraz, bo nie była w stanie go znieść. Równie dobrze ona albo Lucien Howard mogli być martwi, mogli leżeć z twarzami przysypanymi igliwiem na zimnej ziemi.

– Anglia to zupełnie inny kraj, kapitanie, tam nie toczy się wojna. Gdybym była kobietą w Anglii, nigdy bym z niej nie wyjechała.

– W takim razie niech pani popłynie ze mną. Będzie tam pani bezpieczna.

Te słowa zrobiły na niej wrażenie.

– To bardzo poważna propozycja, *señor*. Zbyt poważna, bym mogła wziąć ją pod uwagę. Gdybym miała wybór pomiędzy walką tutaj a tęsknotą za krajem tam, wybrałabym walkę.

Nieoczekiwanie Lucien sięgnął po dłoń Alejandry. Zawstydzila się pobrudzonych paznokci oraz lekko spierzchniętej skóry. Skarciła się w duchu za niepotrzebny wstyd. Przecież ten brud za paznokciami to krew Adana i Manola, a oni nie są w salonie, tylko na górskich bezdrożach, którymi będą musieli przewędrować ze sto mil albo i więcej.

– Naprawdę doceniam pani pomoc w odnalezieniu drogi do domu – powiedział cicho.

Po raz pierwszy Alejandra usłyszała w jego słowach ślad cudzoziemskiego akcentu.

Dawno nikt nie dotykał jej z taką wdzięcznością i delikatnością. Zakręciło się jej w głowie z wrażenia. Zapragnęła złaczyć z nim dłonie i podążyć do Anglii. Absurdalność tego pomysłu szybko ją otrzeźwiła. Odsunęła się i odrzekła:

– Każdemu bym pomogła.

Wiedziała, że mówi nieszczerze. Od pierwszej chwili, w której znalazła Luciena Howarda na pobojowisku pod La Coruña, z włosami czerwonymi od krwi, poczuła, że łączy ich niewytłumaczalne i zarazem niepokojące podobieństwo.

Lucien uniósł kąciki ust w uśmiechu i odgarnął opadające na oczy włosy. W drugiej ręce trzymał mapy. Spojrzał w las rozciągający się za plecami Alejandry. Znajdowali się już dosyć wysoko i poza zasięgiem rzeczywistego niebezpieczeństwa. Noce na tej wysokości będą zimne. Tu i ówdzie leżały łachy śniegu. Jeśli spadnie deszcz, ścieżka pokryje się lodem. Oddech zmieniał się w obłoczki pary. Alejandra z niepokojem pomyślała o nocy pod gołym niebem.

– Mamy co najmniej pięć godzin do zmroku.

Chyba czytał w jej myślach, bo usłyszała z jego ust dokładnie to, co sama chciała powiedzieć. Nic dziwnego, uznała w duchu, przecież był przewodnikiem generała Moore'a. Rozpoznawał teren i sporządzał mapy, posuwając się w awangardzie przed głównymi siłami angielskiej armii. Teraz z zadziwiającą łatwością wtapiał się w krajobraz niczym kameleon. Nawet ranny i wyczerpany był niebezpieczny.

Schylił się, podniósł suchy liść dębowy, rwał go na strzępki, które unosił wiatr.

– Północno-wschodni odchylający się ku północnemu. Za dzień przyniesie ulewny deszcz, a jeśli temperatura spadnie, deszcz ze śniegiem. Zna pani drogę?

Alejandra nie odpowiedziała. Gdyby zabłądziła, oboje przyplaciliby to życiem. Stąd do Pontevedry nie spotykało się często ludzkich siedzib. Zadrzała nie tylko z zimna,

również ze złości na siebie, że troska o tego mężczyznę przesłoniła jej zdrowy rozsądek.

Mogłaby wejść między drzewa i z łatwością zniknąć w otaczającym lesie, zostawić go, by sobie radził, jak potrafi. Dostrzegła jednak przymglone gorączką oczy, kiedy na nią spojrzał, zdziwiony brakiem odpowiedzi. Przyspieszył, wysunął się naprzód i wtedy zauważyła, że plamy krwi na żakiecie powiększają się i co jakiś czas czerwona kropla pada na ziemię i liście paproci, wśród których wiodła ich ścieżka.

## Rozdział szósty

Po godzinie marszu Lucien poczuł, że potrzebuje odpoczynku. Rana na karku dawała się we znaki, ponieważ otworzyła się wskutek wysiłku związanego z odparciem napaści czterech mężczyzn. Żakiet przesiąkł sączącą się z rany krwią i przestał go chronić od chłodu, na skutek czego Lucien dostał dreszczy.

– Możemy zatrzymać się na noc – usłyszawszy głos Alejandry, rozejrzał się wokół.

Niewielka polanka była nieskażona ludzką stopą. Roztaczał się z niej widok na wiodącą w dół ścieżkę, którą przyszli. Luciena zaciekawiło rosnące na zboczu nad polanką drzewo, którego korzenie tworzyły coś na kształt szalasu, i podzielił się swoim spostrzeżeniem z Alejandrą.

– Moim zdaniem, przypomina dom – powiedziała. – Są ściany i dach. Spałam już kiedyś w czymś takim.

– To dąb?

– Hiszpańska odmiana. Różni się od dębu angielskiego, prawda?

Lucien usiadł na ziemi, zsunął plecak i oparł się na nim. Gdyby był sam, zamknąłby oczy i się zdrzemnął, nie chciał jednak, żeby Alejandra jeszcze bardziej martwiła się jego stanem niż do tej pory. Ból karku był nie do zniesienia. Powinien zdjąć ubranie i przemyć ranę wodą, co przyniosłoby pewną ulgę, ale ściemniło się i spadła temperatura. Nie było warunków do takich zabiegów.

– Ma pan dreszcze – stwierdziła Alejandra.

Spojrzał na nią bez słowa, nie potrafił dłużej ukrywać, jak bardzo cierpi. W tym momencie nie mógłby się poruszyć, choćby zza drzew zaatakowała ich nieprzyjacielska wataha i od jej odparcia zależało jego życie.

– Niech mnie pani zostawi i wraca do domu – powiedział.

– Nie przypuszczałam, że zabraknie panu wytrwałości, kapitanie – odparła gniewnym tonem. – Nie po raz pierwszy jest pan poważnie ranny. Widziałam pańskie blizny, kiedy transportowaliśmy pana z pola bitwy. A skoro wyszedł pan z tamtej opresji, przeżyje pan kolejne przeciwności choćby i tysiąc razy.

Zastanowiły go słowa Alejandry. Zdejmowała z niego mundur pocięty francuskimi szablami? Kiedy po przyniesieniu z pobojowiska ocknął się w pokoju na hacjendzie, był nagi pod przykryciem.

– Kto mnie wtedy rozebrał?

– Och, zapomniałam, jacy wy, Anglicy, jesteście pruderyjni. Wojna sprawiła, że przestaliśmy zwracać uwagę na takie rzeczy – odrzekła Alejandra zajęta przeszukiwaniem swojego plecaka.

Lucien nie widział jej twarzy, lecz w głosie usłyszał wesołą nutę.

– Niech pan zdejmie żakiet i koszulę, zobaczę, jak wyglądają pańskie obrażenia – dodała.

Nie wykonał najmniejszego ruchu, żeby zrobić, o co prosiła.

– Mam. – Wyciągnęła z plecaka słoiczek. – Constanza dała mi tę maść i przykazała, żeby ją zastosować, gdyby rana na karku zaczęła krwawić i wróciła gorączka.

Lucien marzył, żeby się położyć, ale podejrzewał, że z bólem, jaki mu sprawiała rana na karku, łatwo nie zaśnie. Zesztywniałymi palcami zabrał się do rozpinania guzików żakietu, a następnie koszuli. Ściągnął żakiet, ale koszula przykleiła się do ciała. Alejandra obeszła go od tyłu i położyła mu dłonie na barkach, po czym ostrożnie oderwała przyklejony do rany materiał. Obwiodła palcem wokół rany.

– Nie wygląda to aż tak źle – zauważyła. – Cięcia są głębsze pośrodku, płytsze po bokach. Zropiały i krwawią tylko środkowe części, boki są niemal zrosnięte.

Lucien zapamiętał, że ciosy dosięgły go od tyłu, bo wtedy padł Guy. Zawrócił konia, żeby się bronić, ale było ich zbyt wielu i za blisko. Nie potrafił sobie przypomnieć, co nastąpiło potem. Z omdlenia ocknął się nad ranem i zorientował, że leży przywalony ciężkim łbem martwego konia. Obok klęczała młoda kobieta, której imię poznał później, gdy zabrała go z pola bitwy do swojego domu. Teraz Alejandra przemyła mu kark zimną wodą i na oczyszczoną z zakrzepów ranę nałożyła pachnącą czosnkiem, lawendą i kamforą maść, która przyjemnie chłodziła. Potem podała mu do picia ziołowy napar ze szklanego naczynia wyjętego z plecaka. Wieczko naczynia było uszczelnione czerwonym woskiem.

– Niech pan się nie rusza, zabezpieczę ranę bandażem.

Czuł jej gorący oddech na karku, gdy wsuwała mu dłonie pod pachy, żeby skrzyżować na piersiach płócienny bandaż.

– Miał pan szczęście, że rana nie jest nieco wyżej, boby pan nie przeżył. Naprawdę niewiele brakowało, a byłoby po panu.

Z bliska Lucien zauważył, że jej tęczęwki nie są jednolicie zielone, tylko oznaczone brązowymi, złotymi i żółtymi cętkami. Przyszło mu do głowy, że wcześniej nie prowadził takich rozmów z kobietą. Stał się chwiejnie i zaczął się ubierać.

Tymczasem Alejandra znowu grzebała w swoim plecaku, o wiele większym niż ten, który on dźwigał, na co dopiero teraz zwrócił uwagę. Po chwili zdjęła kapelusz. Długie, gęste włosy odgarnięte na jeden bok, opadały aż do biodra. Odwrócił wzrok, myśląc, że ona nie potrzebuje objawów podziwu ze strony Anglika, który za kilka dni odpłynie do kraju. W tym momencie zerknęła na niego w taki sposób, że gdyby chodziło o inną kobietę, mógłby uznać, że posłała mu zalotne spojrzenie. Podała mu kawałek suszonego mięsa. Przyjął poczęstunek z wdzięcznością.

– Nareszcie przestało padać. Nawet jeśli bezdeszczowa pogoda się utrzyma, będziemy potrzebowali jeszcze dwóch dni, żeby dotrzeć do portu w Pontevredze. A kto wie, czy nie więcej, jeśli pan się rozchoruje.

– Czy ojciec nie zacznie się niepokoić o panią?

– Ojciec udał się na tydzień do Betanzos. Droga powrotna do domu zajmie mi mniej czasu, gdyż pójdę szlakiem nad wybrzeżem.

– Beze mnie będzie pani szybsza.

– Czy jest pan bogaty, kapitanie Howard? – spytała, marszcząc czoło.

Lucien był zaskoczony. Alejandra Fernandez y Santo Domingo nie wyglądała na kobietę, którą interesowałby czyjś majątek.

– Pani pytanie przypomina mi angielskie debiutantki, które z reguły wybierają najbogatszego spośród kandydatów na męża.

– Zastanawiałam się tylko, czy z naszego punktu widzenia nie byłoby korzystniej zająć za pana okupu, niż odsyłać do Anglii. Ruch partyzancki bardzo potrzebuje pieniędzy.

– Mam stary dwór w hrabstwie Kent i miejską rezydencję w Londynie. Przypuszczam, że są coś warte, ale trudne do spieniężenia i obciążone długami. Poza tym... – Rozłożył bezradnie ręce.

– Jest pan bez pensa przy duszy?

Śmiech Luciena odbił się echem od drzew otaczających polankę.

– Może nie dosłownie, ale coś w tym jest.

– Ma pan szczęście. Gdyby nie kwestie majątkowe, nie zostałabym mężatką. Ojciec wybrał mi Juana na męża, gdyż był ode mnie starszy i miał majątek oraz władzę.

– I co się stało?

– Wysłałam za niego zimą, a na wiosnę już nie żył.

– Dlatego, że zdradził pani ojca?

– I dlatego, że mnie zdradził.

Lucien był przekonany, że nie wyjawiała mu wszystkiego i że coś ukrywa.

– El Vengador rozprawił się z nim, a pani zaznaczyła na ścianie datę jego śmierci?

– Wydrapywałam te znaki dzień po dniu, by zapamiętać, czym było moje małżeństwo.

– I nigdy ponownie nie wyjść za mąż?

– Może mi pan nie uwierzyć, ale podobam się mężczyznom, kapitanie. Po śmierci Juana dostałam propozycje małżeńskie.

Nie wątpił w to; twarz Alejandry z dołeczkami w policzkach i błyszczącymi oczami wyglądała szczególnie pięknie o zmroku.

– Mężczyźni nie zapominają jednak, że jestem córką swojego ojca, i zachowują dystans.

– Grozi pani samotność?

– Bardziej, niż się panu wydaje.

Złożone w innych okolicznościach tego rodzaju wyznanie stanowiłoby podniecie dla męskiej ambicji Luciena, ale osłabiła go choroba, z czego Alejandra zdawała sobie sprawę.

Na niebie pojawił się księżyc w pierwszej kwadrze. Ptaki zamilkły. Świat zamarł w ciszy i bezruchu, spowity w ciemnych barwach sepii, zieleni i szarości. Daleko na północnym zachodzie, było morze, a za nim Anglia. O dziwo, Lucien wcale nie myślał o ojczystym kraju. Wzmocniony odpoczynkiem, z mniej bolejącą raną posmarowaną maścią, czuł się o wiele lepiej niż wtedy, kiedy tu dotarli. Zdziwiająco szybko odzyskiwał utracone siły.

Była świadoma, że Lucien Howard bacznie się jej przygląda. Gdyby nie był taki chory, przysiadłaby się do niego i przytuliła ze zwykłej ciekawości, jak by to było poczuć jego fizyczną bliskość. Juan najpierw działał, a dopiero potem myślał. Angielski arystokrata, kapitan brytyjskiej armii, był inny. Wszystko, o czym mówił, było poparte rozumowaniem, logiką i obserwacją. Starannie dobierał słowa i swobodnie posługiwał się językiem, zresztą nie tylko angielskim.

– Jest pan żonaty? – pytając, nie wiedziała, z jaką reakcją spotka się jej śmiałość. Ucieszyła się, widząc jego uśmiech.

– Nie.

– A był pan?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Mądrze pan postępuje. Małżeństwo bardzo ogranicza, a zawarte z niewłaściwą osobą staje się pułapką bez wyjścia.

Wcześniej z nikim nie podzieliła się tą myślą. Dlaczego zrobiła to teraz i tutaj? Właściwie zna odpowiedź na to pytanie. Po pierwsze, odczuwa przymus dania upustu wciąż dławiającemu wstydowi i gniewowi oraz poczuciu poniżenia, o których nie zdołała zapomnieć. Po drugie, zwierza się Anglikowi, bo imponuje jej odwagą. Palcami wymacała złoty krzyżyk, który nosiła na szyi.

– Niewiele osób dobrze radzi sobie w małżeństwie – zauważył Lucien.

– Zdarzają się takie przypadki, ale z mojego doświadczenia wynika, że nie za często – odparła.

Śmiech, z jakim przyjął te słowa, całkiem rozproszył jej obawy. Żałowała, że nie może rozpaść ogniska, gdyż lepiej widziałaby twarz Anglika, lecz bała się ryzykować. Żołądek burczał po zjedzeniu suszonego mięsa, domagał się solidniejszego posiłku, który przydałby się zwłaszcza teraz, kiedy czeka ich pokonanie zdrażliwych górskich ścieżek.

Zauważyła, że Lucien znieruchomiał, nasłuchując z przechyloną na bok głową. Nagle uniósł się i rzucił przed siebie nożem. Ostrze błysnęło w świetle księżyca, zakreśliło łuk i upadło. Anglik zniknął w ciemnościach, lecz zaraz wrócił, niosąc okazałego królika przeszytego na wylot nożem.

– Upieczemy go – powiedział. – Rozpalę ognisko, ale nie tutaj.

Nazbierał suchych gałęzi, wykopał jamę w ziemi około dziesięciu kroków za pniem dębu i zaczął rozniecać ogień.

Alejandra nie mogła wyjść z podziwu. Nigdy nie widziała, żeby ktoś polował w ten sposób. Nawet ona, przyzwyczajona do życia w lesie i umiejętnie posługująca się nożem, nie potrafiłaby tak celnie trafić w ciemnościach. Ucieszyła się, że najedzą się do syta i ogrzeją przy ogniu. Niech Anglik nie myśli, że ona jest gorsza. Wyjęła nóż i zręcznie oskórowała królika, po czym tuskę położyła na wyschłych, ale czystych liściach dębu.

– Dziękuję. – Lucien nadział tuskę na patyk, który położył na rozwidlonych gałęziach, służących za podpórki.

– Jest pan szczęśliwy, że wraca do domu, kapitanie?

Skinął głową, obracając tuskę nad ogniem. Zapach pieczonego mięsa sprawił, że Alejandra zaczęła jeszcze bardziej burczeć w brzuchu. Miała nadzieję, że on tego nie słyszał.

– Czy mąż panią krzywdził?

Nie była przygotowana na tego rodzaju pytanie i milczała.

– Fizycznie, miałem na myśli – dodał, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Nie! – rzuciła gniewnie, uciekając się do kłamstwa.

– Naprawdę? Potrafię poznać, kiedy ludzie nie mówią prawdy. Tak jak pani teraz. W blasku ognia oczy Anglika wydawały się niezgłębione. Nigdy wcześniej nie

spotkała bardziej urodziwego i niebezpiecznego mężczyzny, na dodatek cudzoziemca i szpiega. Co za los, że właśnie z nim znalazła się sam na sam z dala od hacjendy! Nie chciała ujrzeć litości na jego twarzy, a na pewno by się pojawiła, gdyby zrzuciła z siebie to wszystko, co jej ciążyło. Nawet ojciec nie zdołał ukryć reakcji, kiedy znalazł ją pobitą i związaną, zamkniętą na klucz w małżeńskiej sypialni, w rodzinnym domu Juana. Była niczym niewolnica zależna od humorów i widzimisię pana męża.

– Lepiej niech pan pilnuje własnych spraw, kapitanie.

Zapadło między nimi milczenie potęgowane odgłosami nocnego życia, jakie toczyło się w otaczającym ich lesie.

Lucien odezwał się dopiero po dobrej półgodzinie.

– Może łatwiej będzie nam się rozmawiało po jedzeniu.

Zdjął znad ognia upieczone mięso, odkroił kawałek i położył na czystym liściu.

Alejandra uśmiechnęła się mimowolnie, myśląc, że ten mężczyzna nigdy nie daje za wygraną i nie sposób go zignorować. Okazało się, że królik jest soczysty i dobrze upieczony. Lucien obserwował ją i czekał.

– Czy myślał pan kiedyś o tym, że gdyby dane było panu cofnąć miniony czas, w niektórych przypadkach zachowałby się pan zupełnie inaczej?

Milczał, ale cierpliwość była cechą, którą od dawna w sobie doskonaliła. W końcu odparł:

– Mój ojciec i najmłodszy brat utonęli wskutek wypadku, do którego doszło na moście, na terenie naszej posiadłości ziemskiej. Stało się to na przedwiośniu. Było zimno, poziom wody w rzece był wysoki, a nurt szybki. Nie zdołałem dobiec w porę, aby ich uratować.

– Ile pan miał lat?

– Piętnaście. Byłem duży i silny, ale źle wyliczyłem dystans. Rzeka poniżej mostu zakręcała. Mogłem próbować wyciągnąć ich w tamtym miejscu, gdybym o tym zawczasu pomyślał. Niestety, nie przyszło mi to do głowy.

Z natury odznaczał się zimną krwią i potrafił logicznie myśleć, a tamtego feralnego dnia zawiódł, nie zachował się tak, jak powinien, pomyślała Alejandra. Poczucie nieustającego wstydu wywołanego własną słabością znała z doświadczenia.

– Gdybym mogła cofnąć czas, zabiłabym mojego męża wtedy, kiedy pierwszy raz mnie uderzył. Zawsze miałam przy sobie ukryty w bucie nóż. – Nie potrafiła spokojnie o tym mówić, a mimo to kontynuowała: – „Nie zabijaj”, powtarza wielokrotnie Pismo Święte w Nowym i w Starym Testamencie. Zawsze starałam się przestrzegać nakazów Biblii, ale... piekło po śmierci nie jest czymś najgorszym, co może człowieka spotkać. O wiele gorsze jest codzienne życie przypominające piekło.

Anglik skinął głową ze zrozumieniem, czym ją ujął.

– Nie pani pierwsza do tego doszła i nie ostatnia. Czy po tym doświadczeniu stała się pani silniejsza?

– Tak – odparła z przekonaniem Alejandra.

– W takim razie niech pani potraktuje to jako dar.

Dziwne, lecz to wytłumaczenie uwolniło ją od nagromadzonej goryczy, której wcześniej nie mogła się pozbyć. Nastąpiło to tak gwałtownie, że omal się nie rozplakała.



Naruszyła nakazy Biblii. Nie przyswoiła sobie lekcji posłuszeństwa małżeńskiego, których udzielał jej mąż z pomocą kija i pięści, ale przetrwała i Bóg uczynił ją silniejszą. Otrzymała od Niego dar. Po raz pierwszy od długiego czasu oddychała z ulgą.

– Jak długo jest pan w Hiszpanii, kapitanie?

– Od sierpnia tysiąc osiemset ósmego roku. Po kilku zwycięskich potyczkach w drodze na północ znaleźliśmy się w górach, lecz śnieg nas pobił.

– Tegoroczna zima była bardzo śnieżna w Kordylierach Kantabryjskich. Cud, że ktoś przetrwał taką przeprawę.

– Wielu się to nie udało. Kładli się na drogach i przestawali ruszać, a koledzy zdejmowali z nich buty i płaszcze, aby podążyć dalej.

Znała opowieści o przeprawie Anglików przez góry. W hacjendzie ciągle je powtarzano.

– Ojciec stwierdził, że pewna Cyganka przepowiedziała, iż Francuzi zatriumfują trzykrotnie, zanim ich wygonimy. To był zapewne ich pierwszy triumf.

Lucien się roześmiał.

– Pan nie wierzy w przepowiednie?

– O losach armii decydują generałowie, a nie wróżbici.

– Myśli pan, że wrócą? Mam na myśli Anglików. Uważa pan, że znowu zechcą nam pomóc?

– Tak.

– Pan z reguły mówi z pewnością siebie. Skąd pan czerpie tę siłę przekonania, tę wiarę, że ma pan rację?

– Pani brak podobnej wiary?

Kiedyś ją miała. Zanim wojna przetrzebiła rodzinę, a ona znalazła się w centrum chaosu. Teraz nie wierzyła nawet sobie, nie wiedziała, kim tak naprawdę jest. Miała na sobie brudne i podarte spodnie i wojskowy żakiet zdarty z pozbawionego głowy huzara leżącego na poboju pod La Coruña. Wciąż widniały na nim ciemne plamy krwi, bo nie miała ani czasu, ani ochoty ich usunąć. Jeszcze jedna anonimowa ofiara, jeszcze jedno zmarnowane życie. Miała wrażenie, że funkcjonuje w miejscu bez przeszłości i bez przyszłości.

Przysiadła się do Luciena, wzięła jego dłoń, otworzyła ją i przechyliła w stronę ognia, żeby widzieć linie. Jeśli się zaniepokoił, to nie dał tego po sobie w żaden sposób poznać.

– Niektórzy potrafią czytać z ręki – powiedziała. – Juanowi, mojemu mężowi, Cygan Pepe wyczytał, że przedwcześnie odejdzie do Stwórcy nękany wyrzutami sumienia. I tak się stało. Mnie przepowiedział, że czekają mnie podróże i że będę prowadziła podwójne życie. Twierdził, iż poznam wiele sekretów i będę służyła pomocą potrzebującym. Pamiętam, jak bardzo pragnęłam, by okazało się to prawdą. Zaczęłam żyć nadzieją na coś lepszego. Juan nie był zadowolony z tych wróżb, bo jego życie miało się skończyć, a moje rozpocząć od nowa.

Anglik miał gorącą dłoń i zrogowaciała skórę na palcach. Bardzo chciała, żeby zamknęły się wokół jej dłoni, ale tak się nie stało. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy rozmawiała z kimś tak szczerze jak z nim. Tymczasem robiło się coraz później i zimniej,

a oni potrzebowali snu i wypoczynku, bo rano czeka ich wspinaczka. Nie będzie łatwa, jeśli będzie mokro i ślisko.

Jak gdyby odgadując, o czym pomyślała, Lucien zabrał dłoń i wstał.

– Najlepsze miejsce do spania to ziemianka pomiędzy korzeniami dębu. Przynajmniej będziemy osłonięci od wiatru – powiedział.

Będzie przytulnie, uznała Alejandra, a tymczasem Lucien zaniósł tam swój płaszcz, rozłożył go na ziemi, na wierzch nasypał igliwia. Plecak położył w charakterze podgłówka. Całość przykrył kocem z hacjendy.

– Nie wiem... – zaczęła, ale wpadł jej w słowo.

– Mamy do wyboru zamarznąć osobno lub przetrwać razem.

Miał rację. Już była sztywna z zimna, a jeśli zacznie padać... Wyciągnęła swój koc i rozłożyła go na wierzchu legowiska. Zdjęła buty, wsunęła się między koce i dodatkowo przykryła zapasowym ubraniem z plecaka.

Lucien nabierał naręcze wyschłych liści, które rozrzucił na wierzchu. Alejandra nie mogła uwierzyć, że jest jej tak ciepło, kiedy on do niej dołączył i ułożył wzdłuż jej pleców. Poczowała zapach potu Anglika zmieszany z wonią ziołowej maści, którą nałożyła mu na ranę. Nie ruszał się, ale nie zasnął. Zdaje się, że jak zwykle czujny nasłuchiwał odgłosów nocy, zarówno dalekich, jak i bliskich. Zaryzykowała pytanie.

– Nie da się pan nigdy zaskoczyć, kapitanie?

– Staram się.

Chyba odpowiedział z uśmiechem.

– Będzie pan spał czujnie?

– Bardzo.

Ona też się uśmiechnęła.

Wreszcie usnęła. Lucienowi było niewygodnie leżeć bez ruchu, więc nie bacząc na zimno, opuścił ciepłe legowisko i rozciągnął się w pobliżu. Rana na karku paliła żywym ogniem. Pomyślał, że gdyby posmarował ją maścią Constanzy, kamfora dałaby mu trochę ochłody i może udałoby się mu zdrzemnąć. Sięgnął do plecaka Alejandry. Wymacał różaniec i niewielką kamienną figurkę Jezusa. Nosiła to ze sobą? Zauważył, że w drodze często wkładała rękę do kieszeni, a jej usta poruszały się bezgłośnie. Modliła się. Pewnie za duszę męża, za ojca i Hiszpanię. Teraz leżała zwinięta w kłębek z dłońmi pod szyją. Drobniejsza niż na jawie i bezbronna. Była bardzo szczupła, wręcz chuda. Spod przykrycia wysunęła się stopa w pocerowanej skarpecie, nad którą widać było cienką pęcinę.

Alejandra, córka El Vengadora. Dzielna, doświadczona przez życie, lecz nieustraszona. Co z nią będzie, kiedy on odpłynie? Uda się do domu inną drogą, krótszą, lecz niewolną od niebezpieczeństw, a w dodatku będzie sama. Betancourtowie nienawidzili jej rodziny bardziej niż Francuzów. Powinien stanowczo poprosić ją, by go zostawiła i wróciła już teraz, ale wiedział, że tego nie zrobi.

Polubił jej głos, zapach, obecność i sposób bycia. Gdyby na polu bitwy pod La Coruñą znalazł go ktoś inny, na pewno by nie przeżył. Nikt nie zawracałby sobie głowy rannym Anglikiem, który po ewakuacji armii brytyjskiej stanowiłby tylko kłopot. Tymczasem Alejandra przywiozła go do domu, a w drodze położyła mu na piersi różaniec

i trzymała go za rękę, żeby ją ogrzewać swoim ciepłem. W hacjendzie czuwała nad jego bezpieczeństwem i go pielęgnowała, by powrócił do zdrowia.

Boże, czuwaj nade mną i nad nią, poprosił w duchu i wzniosł twarz do nieba.

## Rozdział siódmy

Nazajutrz nadal nie spotkali żywego ducha. Mozolnie posuwali się w górę. Deszcz, który pojawił się w połowie dnia, czynił wspinaczkę jeszcze trudniejszą. Lucien wziąłby Alejandrę za rękę, gdyby wiedział, że ona mu na to pozwoli, lecz nawet nie spróbował, a ona nie prosiła o pomoc.

Gdyby szedł sam, toby się zatrzymał, wykopał jamę w ziemi i zaczekał na lepszą pogodę. Alejandra, podpierając się sękatym kijem, parła do przodu, a jej stanowcza mina zniechęcała Luciena do sugerowania postoju. W pewnym momencie zaczęła się zatrzymywać i nasłuchiwać. Idąc jej śladem, też nadstawiał ucha.

– Spodziewa się pani kogoś spotkać? – zapytał, gdyż jego zdaniem jej zachowanie na to wskazywało.

– Mam nadzieję, że nie, ale jesteśmy blisko ziemi Betancourtów.

– Po wczorajszym incydencie zaczną nas tropić?

– Całkiem możliwe.

Nagle Luciena ogarnęła tkliwość z powodu kruchości Alejandry, rzucającej się w oczy zwłaszcza na tle dzikiego górskiego krajobrazu. Nie była tą samą hardą dziewczyną, która prowokowała go do skrywania słabości i nieokazywania, jak cierpi z bólu i gorączki. Delikatną urodą, aksamitnym wejrzeniem zielonych oczu i tajemniczym uśmiechem byłaby zdolna zapędzić w kozi róg niejedną londyńską piękność. A w dodatku miała coś jeszcze oprócz urody. Powiedziała mu, że podoba się mężczyznom, w co nie wątpił. Zły na siebie, że o tym myśli, odezwał się ostrzej, niżby chciał.

– Na pewno wiedzą, że El Vengador zastrzelił pani męża.

– To nie takie proste, kapitanie.

– Pani do niego strzelała?

– Tak, a kiedy powrócił znad krawędzi śmierci, ojciec dopilnował, żeby nie wyzdrowiał.

– Odplaciła mu pani za przemoc, jakiej od niego zaznała?

– Za dużo pan chce wiedzieć. Nic dziwnego, że Moore uczynił z pana swojego szpiega.

Zignorował tę uwagę i drażył dalej.

– Ktoś jeszcze wiedział, że to pani strzeliła pierwsza?

– W kraju pogrążonym w wojnie wszędzie otaczają nas niechętnie nam uszy i oczy.

Kuzyn Juana, ksiądz, rozpowiedział o moim uczynku. Nikt nie śmiał wątpić w prawdziwość słów duchownego, nawet jeśli podejrzewano, że mógłby być stronnicy. Jestem drobna, a mój mąż był wielki i zawsze uzbrojony w pistolet i nóż.

– Trafiła pani przez przypadek?

Spojrzała mu hardo prosto w oczy.

– Był dobrym strzelcem, ale ja byłam lepsza. Kula trafiła dokładnie tam, gdzie chciałam.

– Tym lepiej dla pani.

Początkowe zdziwienie wywołane oceną Anglika ustąpiło miejsca uldze. Alejandra wyciągnęła różaniec i zaczęła się modlić.

– Panu też zdarzało się zabijać, prawda?

– Wielokrotnie.

– Czy z czasem przychodzi to coraz łatwiej?

– Nie – odparł szczerze i spontanicznie, bo nigdy się nad tym nie zastanawiał.

– „Ktoby uderzył i zabił człowieka, śmiercią niech umrze”<sup>[1]</sup>.

– Zna pani całą Biblię na pamięć?

– Tylko te części, które odnoszą się do mnie.

– Naprawdę wierzy pani, że Bóg w swojej mądrości ukarałby panią za to, że odpłaciła pani za swoje cierpienia?

– Był moim mężem, zostaliśmy zaślubieni w domu Pana.

– Był brutalem i Bóg tego nie zmienia.

Przeżegnała się, słysząc jego bluźniercze słowa.

– W życiu nie warto za często oglądać się za siebie. Jest to równie bezproduktywne, jak karmienie się czczymi nadziejami na przyszłość. Należy żyć dniem dzisiejszym.

– To przekonanie pomaga panu w życiu?

– Jestem żołnierzem. Gdybym się zastanawiał, czy wolno mi zabić nieprzyjaciela, już dawno byłbym martwy. Przetrwalem, gdyż wiem, kim jestem i dlaczego robię to, a nie co innego.

– Z myślą o ojczystym kraju?

– Nie tylko. – Lucien się roześmiał.

Objął wzrokiem roztaczający się przed nimi piękny i groźny krajobraz, postrzępione szczyty górskie i głębokie doliny.

– Demokracja i wolność wyboru byłyby bliższym prawdy wytłumaczeniem. Pani ma w sercu Hiszpanię, ja Anglię, ale co skłania nas do oddania życia za nasze ojczyzny? Zapach ziemi i powietrza, koloryt domu rodzinnego?

Pochylił się, podniósł garść igliwia, podrzucił je w górę, by porwał je wiatr.

– Jesteśmy jak te sosnowe szpilki. Pojedynczo nic nie znaczymy, ale razem...

Oparł dłoń o pień wielkiego drzewa rosnącego na poboczu ścieżki. Szeroko rozgałęzione korzenie wrzynały się w skaliste podłoże, wykorzystując każdą szczelinę, żeby utrzymać drzewo w równowadze.

Razem jesteśmy silni? – Alejandra doskonale rozumiała, co Lucien chciał powiedzieć. W tej wojnie nie chodziło o Juana czy o jej ojca lub o nią. Walka toczyła się o demokrację, o wolność wyboru oraz inne wartości, w imię których ludzie byli gotowi przelewać krew. Czy jednak podstawą tego wszystkiego nie były osobiste wolności? Ojciec nigdy nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Poczucie winy, że nie zapobiegł zabiciu matki, dominowało nad wszystkimi jego poczynaniami i pozostawiało miejsce tylko dla zgorzknienia.

Zamyśliła się nad jałowością takiej postawy do tego stopnia, że się potknęła. Lucien natychmiast ją podtrzymał.

– Ostrożnie. Wdrapaliśmy się wysoko, jesteśmy nad przepaścią.

Splotła palce z jego palcami. Żałowała, że nie może przywrzeć do niego całym

ciałem. Czy zdarza się tak, że jedna osoba zatraci się w drugiej tak dalece, iż nie wiadomo, gdzie jedna się zaczyna, a druga kończy? W Alejandrze obudziła się nadzieja, że oto spotkała na swojej drodze mężczyznę, który zawsze jest sobą, choćby wymagało to największego poświęcenia z jego strony. Taka nadzieja uskrzydla, pozwala zrealizować marzenia...

Uprzytomniła sobie, że ma brudne ubranie, a w rękawie nosi ostry nóż. Jest kobietą naznaczoną doświadczeniami wojennymi i osobistymi stratami, skarłałą w nieudanym małżeństwie, zmuszoną do rezygnacji z marzeń pod wpływem konieczności przeżycia od rana do wieczora i od wieczora do rana. Anglik bardzo by się rozczarował, gdyby ją do głębi poznał. Lepiej niech nie poznaje.

– Musimy iść – rzuciła ostro i się odsunęła.

Nie czekając, zaczęła schodzić w dół po stromej pochyłości, w dolinę, na której dnie kłębiły się opary mgły.

Alejandra nie patrzyła na Luciena przez całe popołudnie, kiedy schodzili z górskich ścieżek na nabrzeżne pola, gdzie wąskie miedze zamieniały się w drogi. Tu, nad morzem, wiatr był cieplejszy. Spotkali się z rybakim, kuzynem Adana. Obiecał, że z samego rana przetrze Luciena do Anglii. Zaproponował im pokój w swoim domu, ale Alejandra nie skorzystała z uprzejmej oferty. W tej sytuacji wrócili na noc na bujnie porośnięte wzgórza nad plażą. Anglik nie odzywał się, kiedy rozkładali koce pod rozgwieżdżonym niebem. Dopiero po jakimś czasie zagadnął:

– Czy ten Luis Alvarez jest godny zaufania?

Lucien zauważył, że opłaciła go złotem, które wyciągnęła z kieszeni żakietu.

– Ojciec twierdzi, że ci, którzy dorabiają się na wojnie, są pozbawieni skrupułów, ale ja nie przypuszczam, żeby Luisowi przyszło do głowy wypchnąć pana za burtę na środku morza. Po pierwsze, jest pan za potężny, a po drugie, on pragnie pomsty za śmierć Adana.

– Pociuszająca wiadomość – zauważył Lucien.

Alejandra się roześmiała, a on pomyślał, że mógłby słuchać jej gardłowego śmiechu bez końca. Niestety, jutro opuści Hiszpanię i nie powtórzą się noce wypełnione rozmową i poczuciem bliskości.

– Lubię, jak śmieje się pani tak beztrzesko, Alejandro Fernandez y Santo Domingo – powiedział.

Dodałby, że lubi także brzmienie jej imienia, miękkie zgłoski tworzyły bowiem szczególnie miłą dla ucha melodię, ale poprzestał na pierwszym zdaniu. Podwinął się lewy rękaw jej żakietu i Lucien zobaczył, jaki cienki ma przegub. Spozstrzegł srebrną bransoletkę, której do tej pory nigdy u niej nie widział.

– Brakuje nam powodów do beztrzeski, kapitanie. Powiedział pan, że udało się panu przetrwać na wojnie, gdyż żyje pan bieżącą chwilą, nie myśląc ani o jutrze, ani o wczoraj.

– Ma to pewien powab. Dla kobiety, ma się rozumieć.

– Powab? – Czyżby znaczenie tego słowa w języku hiszpańskim było inne niż w angielskim?

– Przymus. Przymus nawet. Umiejętność odrzucania ostrożności i brania tego, co się pragnie, gdyż konsekwencje są odległe.

Przytrzymała jego wzrok bez najmniejszego skrępowania jak kobieta świadoma swojej wartości i atrakcyjności dla płci przeciwnej. Lucien poczuł, że budzi się z letargu spowodowanego chorobą, że pożąda i pragnie zaspokojenia. Ale czy dobrze ją zrozumiał? Czy ona chce spędzić tę ostatnią wspólną noc w jego ramionach?

– Jutro rano odpływam i... – zaczął ostrożnie.

– ...i na tym polega duża część pańskiej atrakcyjności – dokończyła. – Jestem osobą praktyczną, kapitanie, i realistką. Ledwo się znamy, ale to mi wystarcza. Nie oczekuję zobowiązań ani obietnic.

– A czego pani pragnie?

– Przeżyć. Powiedział pan, że pańska metoda polega na niemyśleniu ani o przeszłości, ani przyszłości. Chcę tego samego – żyć chwilą bieżącą, tylko teraz.

To były jego słowa, oddawały jego filozofię życiową, ale niosły inną treść. Powinien wstać, powiedzieć jej, że decyzje podejmowane w terażniejszości rzutują na przyszłość niekiedy w sposób trudny do przewidzenia. Gdyby był lepszym człowiekiem, oddaliłby się w zarośla, jak najdalej od pokusy. Jednak od roku nie był z kobietą i nie potrafił pohamować żądy.

– Nie jest pan obiecany w Anglii żadnej kobiecie? Nie chciałabym wejść jej w paradę – zapytała cicho Alejandra.

Lucien zaprzeczył ruchem głowy.

– Wobec tego podaruję to wspomnienie panu i sobie.

Zacząła rozpinąć guziki swojej koszuli, jeden po drugim. Sięgnęła po jego dłoń i położyła ją na obnażonej piersi. Takiemu wyzwaniu nie potrafił się oprzeć i objął ramionami Alejandrę.

Pachniała słodko, kwiatowo, miała jedwabistą skórę. Włosy, zazwyczaj związane skórzaną przewiązką, rozpuściła wolno na jedno ramię. Były ciemne jak nocne niebo. Na długiej białej szyi połyskiwał złoty krzyżyk na cienkim łańcuszku. Alejandra Fernandez y Santo Domingo oddawała mu się ze swoją urodą i swoimi demonami, nie żądając w zamian niczego. Mógł ją wziąć, tak po prostu.

– Psiakrew! – zaklął.

Uśmiechnęła się, zrobiła z koca coś na kształt kokonu, by chronił ich przed chłodem zimowej nocy. Dłońmi gładziła go po szyi, potem po piersi. Wiedziała, co robi. Nienawidził swojego urywanego oddechu i utraty pewności siebie, która mu zawsze towarzyszyła, gdy był z kobietą, ale teraz, przy Alejandrze, ulotniła się nie wiedzieć kiedy, bo jej bliskość nappełniała go nadzieją i energią, nawet rany mniej dawały się we znaki. Tak długo był obolały, chory i samotny, że teraz na nadbrzeżnych wzgórzach i przy kobiecie, która mu się tak bardzo podobała, poczuł się kompletny.

Zdziwiło go to odkrycie. Drażnił kciukiem jej sutek niemal machinalnie, jakby bez zaangażowania woli. Czuł, jak ona tężeje, zaciska palce na jego ramionach, a ostre końce paznokci wbijają mu się w skórę.

– Jesteś piękna, Alejandro.

Oparł ją o pień sosny. Koc izolował jej plecy od szorstkiej kory i osłaniał od chłodu. Nie zastanawiał się więcej, nie wahał. Rozpiął jej spodnie, opuścił poniżej kolan i wsunął palce w jej gorące i wilgotne wnętrze. Czuł, jak zaciskają się wokół nich jej mięśnie.

Chciała tego, i nie tylko tego.

– Lucien? – wyszeptała. – Co się dzieje? Co mi robisz?

– Kocham cię, najdroższa, otwórz się.

Zrobiła, o co prosił. Jej drzenie, początkowo ledwo wyczuwalne, stało się całkiem wyraźne. Pachniało nocne powietrze, świat mienił się w srebrzystej poświacie księżyca. Alejandra powtarzała jego imię, przytrzymywała jego dłoń, domagając się wszystkiego, co mogła od niego otrzymać. Ostatnie hamulce rozsądku puściły wraz z nadciągającą falą zaspokojenia.

Uśmiechnął się. To był jego dar, jego lekcja filozofii życia dniem dzisiejszym. Będzie im łatwiej powitać jutrzejszy ranek. Żałował, że nie może kochać się z nią inaczej, ale to byłoby niebezpieczne, a jedno z zagrożeń stanowiłaby niepożądana ciąża.

Alejandra zsunęła się i usiadła na ziemi z szeroko rozwartymi kolanami, oparta o pień plecami. Nigdy nie wydawała mu się piękniejsza niż w tej chwili, rozluźniona i zaspokojona.

– To mi się nigdy nie przytrafiło – powiedziała drżącym z emocji głosem, ze łzami w oczach.

Lucien wsunął palec głębiej, a ona zacisnęła wokół niego mięśnie.

– O tym mówisz?

– Tak. Tego potrzebowałam.

Zasnęła z głową wspartą na jego piersi. Lucien starał się zrozumieć, co się wydarzyło. Zazwyczaj nie oczekiwał od kobiet niczego więcej poza szybkim zaspokojeniem i z tego powodu pozostawało w nim niewielkie, ale wyraźne poczucie winy. Dzisiejszego wieczoru nie zaznał rozkoszy, a mimo to modlił się, by ta chwila, w której siedział pod hiszpańskim niebem ze śpiącą Alejandrą w ramionach, nigdy się nie skończyła. Pomiedzy chmurami przemknęła spadająca gwiazda, a jego serce przepęłniła dziwna, niespotykana dotychczas tkliwość.

Boże, miej nas w opiece.

Tylko tyle mógł zrobić w tym wojennym czasie w przededniu morskiej podróży, która zawiedzie go do domu. W jaskrawym świetle świtu każde z nich ruszy własną drogą do realnego życia, które jest im przeznaczone, każdemu z nich gdzie indziej. Bał się, że rano nie będzie łatwo ani jej, ani jemu.

Myśli Luciena pobiegły ku przyjaciółom, rodzinie i chylącej się w ruinę rodowej siedzibie Rossów, którą trzeba będzie odbudować, jeśli ma przetrwać dla przyszłych pokoleń. On nie może zostać w Hiszpanii. To nie jego miejsce do życia. Zacisnął ramiona wokół Alejandry.

Obudziła się nagle. Lucien obejmował ją, chociaż spał twardo. W pierwszym blasku świtu w jego włosach pokazały się liczne jasne pasma, z których zeszła ciemna farba. Starła się nie poruszyć, żeby go nie obudzić. We śnie wyglądał niemal bezbronię i młodziej niż na jawie. Na wygładzonej, pogodnej twarzy pobłyskiwał rudawo jasny zarost.

Juan był ciemny, mocno owłosiony i gruby. Angielski kapitan był smukły, gibki, lecz doskonale umięśniony. Przypominał gładkie marmurowe posągi, które widziała, kiedy matka z ojcem zabrali ją dawno temu do Madrytu. Juan nigdy nie pieścił jej tak jak



on poprzedniego wieczoru. Ciągle czuła jego dotyk. Chciała jeszcze raz przeżyć tę chwilę rozkosznego uniesienia, prawdziwej ekstazy, w którą wprowadził ją pieszczotami.

Poruszył się, zacisnął wokół niej ramiona obronnym gestem. Wymacała palcami guziki zapięcia jego spodni, wsunęła dłoń do środka. Ogarnęły ją wątpliwości, czy postępuje właściwie, naruszając bez pytania jego intymność. Urósł jej w dłoni i była w tym obietnica, której nie mogłaby zignorować. Poruszyła biodrami, rozwarła nogi w tym samym czasie, w którym on uniósł powieki. Spojrzał na nią poważnie i zapytał:

– Jesteś pewna?

Zamiast odpowiedzieć, odchyliła się i pociągnęła go ku sobie. Wypełnił ją do samego końca.

– Kochaj mnie, Alejandro.

– Kocham cię – odparła i dopiero znacznie później, kiedy już ją opuścił, zrozumiała znaczenie wypowiedzianych słów.

Nie był delikatny, nie przejawiał wahania. Był mężczyzną z krwi i kości, w którym odezwał się pierwotny instynkt posiadania. Ona nigdy nie czuła się tak piękna i kompletna. Wielbił ją całym sobą, dłońmi, ustami, ciałem, z całego serca i radośnie. W tym miłosnym akcie nie było śladu rezerwy, jaką okazywał w rzeczywistym życiu, żadnego zahamowania, niczego do ukrycia. Razem wzniesli się ku temu cudownemu miejscu, hen, w górze, gdzie stali się jednością, oniemiaли w radosnym zachwycie, wolni i nieskrępowani.

Drżenie zaczęło się tak niezauważalnie jak przedtem, najpierw w głębi brzucha, potem rezonowało w całym ciele, aż do momentu, w którym Alejandra utraciła zdolność odczuwania czegokolwiek poza czystą rozkoszą.

Nastał moment, w którym napięcie puściło, i z oczu Alejandry popłynęły po policzkach łzy, albowiem uświadomiła sobie, co przeżyła i że nigdy więcej się to nie powtórzy.

Nie mogła prosić go, żeby został. Tu nie było dla niego bezpiecznego miejsca, a ona nie dopasuje się do uporządkowanego świata, w jakim obracał się angielski hrabia. Ten zimowy poranek był jedynym czasem, jaki dane im było spędzić ze sobą, realnym, ale przejściowym. Odnalazła jego dłoń. Splotła z nim palce.

– Wrócę po ciebie. Czekał na mnie – wyszeptał.

Obietnica była miła dla uszu, ale nierealna. Mimo to odparła:

– Będę czekała.

Wiedziała, że ani on, ani ona tak naprawdę nie wierzą w to, co mówią.

## Rozdział ósmy

– Alejandra?

Wołał ją głosem przepojonym bólem, jakby nie swoim. Pojawiała się i znikła. Była przy nim czy to tylko wspomnienie, wizja zrodzona w dotkniętym gorączką umyśle?

– To ja, Daniel.

Kompres był taki zimny, że Lucien dostał dreszczy. Najpierw poczuł go na czole, potem pod pachami. Ktoś uniósł mu ramiona, delikatnie, z wyczuciem.

– Jesteś z powrotem w Anglii. Nic ci nie grozi. Doktor mówi, że gdy odpoczniesz...

Lucien otworzył oczy. Miał przed sobą twarz przyjaciela, Daniela Wylde'a, a na niej wypisane zmartwienie.

– Czy ja umieram? – zapytał bez emocji. Było mu wszystko jedno. Ból był za mocny, a on za słaby. Nie mógł swobodnie oddychać.

– Nie. Napij się, to ci sprawi ulgę.

Ktoś uniósł mu głowę. Poczuł smak goryczy na ustach. Przełknął jeden łyk, potem jeszcze dwa. Znał ten smak, lecz nie pamiętał skąd. Poznał go kiedyś w jakimś niebezpiecznym miejscu.

– Musisz walczyć. Jeśli się poddasz...

Reszta zdania zawisła w próżni niedopowiedzenia. Dzień ustępował mrokowi wieczoru, jakby stado kruków przesłoniło światło słoneczne.

– Jesteś w Anglii od sześciu tygodni. Trzy dni temu przywiozłem cię do Montcliffe, żebyś odetchnął wiosennym wiejskim powietrzem. Doktor uważa, że to ci dobrze zrobi. Od pięciu dni nie zaleca podawania ci laudanum.

– Moja matka?

– Jest w Bath u swojej siostry. Zamiast niej pielęgnuje cię Christine.

Do Luciena zaczęły powracać pojedyncze wspomnienia. Najpierw pochylonej nad nim rodziny, wsłuchanej w każdy jego oddech, jak gdyby kolejny miał być ostatnim. Potem rodzinnego lekarza Howardów, otoczonego powszechnym poważaniem dobrego człowieka, który dwukrotnie spuszczał mu krew. Lewy nadgarstek wciąż był zabandażowany. W końcu pamięć wyłoniła obraz Alejandry, klarowny aż do bólu. Pojawiła się też hacjenda, hiszpański krajobraz, wędrówka przez góry. Zamknął oczy, nie chciał jeszcze raz przeżywać tego, co nastąpiło później.

– Myślałem, że zostałeś zabity, kiedy nie pojawiłeś się na murach nadmorskich umocnień, gdzie czekaliśmy na transport do kraju. Ktoś mówił, że widział, jak padłeś na polu bitwy pod miastem, w tym miejscu, gdzie walczył pułk Hope'a. Nie mogłem po ciebie pójść z powodu mojej nogi. Przysięgaliśmy sobie, że umrzemy razem. Kiedy nie wróciłeś, myślałem...

Lucien mógł tylko kiwać głową. Nie miał siły unieść ręki i uściskać dłoni Daniela, by go pocieszyć, powiedzieć, że prawdziwa bitwa nie miała nic wspólnego z ich wcześniejszymi wyobrażeniami o kampaniach wojennych. Rozstrzygnięcie było niemal błyskawiczne, brutalne i poniżające. Zabrakło miejsca na realizację wcześniej

obmyślanych planów i strategii.

Kiedy obudził się później, na stoliku przy łóżku zastawionym niezliczonymi buteleczkami paliły się trzy świece. Daniel wciąż tkwił przy łóżku. Miał rozpięty kołnierzyk i zmęczone oczy.

– Był doktor – powiedział. – Wróci rano, by zmienić opatrunki. Przenocuje w wiosce u brata. Powiedział, żebym nie pozwolił ci spać i rozmawiał z tobą przez cały wieczór. Chce, żebyś coraz dłużej czuwał, gdyż wtedy lepiej przebiega drenaż ran. Mnie doradzano to samo.

– Tobie?

– Dostałem postrzał, opuszczałem La Coruñę z kulą w udzie. Tkwi do dziś. Lekarze boją się ją usunąć, gdyż twierdzą, że znajduje się zbyt blisko arterii. Muszę wzmacniać mięśnie, jeśli mam w przyszłości nie kuleć.

– Cholera.

– I tak mamy więcej szczęścia niż ci, którzy zamarli w Górach Kantabryjskich. Przynajmniej uszliśmy z życiem.

– Moore dostał kulą armatnią w Penasqueda. Umarł prawie natychmiast.

– Zastanawiałem się, kto cię uratował. Kto opatrzył ci rany?

– Partyzanci z oddziału El Vengadora. – Luciena opuściła chęć kontynuowania rozmowy.

– Kim jest Alejandra? – spytał Daniel. – Wielokrotnie ją wzywałeś.

Lucien nie spodziewał się w środku angielskiej nocy usłyszeć jej imienia. Nawrót bólu odebrał mu na moment mowę.

– To moja kobieta.

Schodzili ze wzgórz skąpani w porannym słońcu. Było ciepło i pogodnie. Alejandra szła pierwsza, rytmicznie odmierzając kroki. W pewnym momencie zatrzymała się i odwróciła ku niemu z dziewczęcym uśmiechem, niemal kokieterycznym.

– Zamyśliłeś się. Nad czym?

– Zastanawiałem się, czy będziesz żałowała.

– Że się kochaliśmy?

– Że kochałaś się ze mną, w gruncie rzeczy z obcym, w dodatku zaraz się rozstaniemy...

Im dłużej mówił, tym gorzej to brzmiało. Należał do mężczyzn, którzy oszczędnie używają słów, a teraz wychodziły z jego ust nieprzemyślane i niezręczne. Ona sprawiła, że utracił czujność. Zdziwił się, że do tego doszło. Poczekała na niego, a kiedy się z nią zrównał, objęła go za szyję.

– Pocałuj mnie i powtórz, że jesteśmy sobie obcy, kapitanie.

Pocałował ją, zanim rozważył sens tej kapitulacji. Nagle ogarnął go smutek, pojawił się znikąd. Było na to za wcześnie, ponieważ jeszcze się nie rozstawali, i jednocześnie za późno, bo ponieważ nie warto żałować tego, co się wydarzyło.

– Tylko teraz, Lucien – wyszeptwała. – Wiem, że tyle możemy sobie nawzajem obiecać, nie więcej, ale to wystarczy.

Rozejrzał się, wiedział, jak to się skończy. Wzięła go za rękę i sprowadziła ze ścieżki w gęste zarośla aloesowe.

– Szybko, nie wiem, czy tu jest bezpiecznie...

Nie czekał, aż skończy zdanie, sięgnął do jej paska, spodnie opadły, swoje rozpiął w następnej sekundzie, uniósł ją bez wysiłku, wsunął się w jej gorące rozedrgane wnętrze. Nie był przygotowany na taką intensywność doznania. Miał wiele kobiet i zawsze on decydował o skali intymnych relacji, jakby w obawie, by nie utracić możliwości wycofania się i ucieczki. Za każdym razem wiązał się na krótko. Odchodził na własnych warunkach, zanim znajomość miała szansę przekształcić się w coś trwałego. Tak było aż do teraz, kiedy wojna sprawiła, że na dobrą sprawę niewiele od niego zależało. Nie mógł pozostać w Hiszpanii i musiał podjąć ryzyko związane z opuszczeniem tego kraju.

Zaprzagnął naznaczyć Alejandrę jako swoją kobietę, zostawić w niej nasienie, aby wzrosło i przetrwało. Może chociaż w ten sposób część jego przeżyje, a on pozostanie w jej pamięci. Miał świadomość, że zachowywał się głupio i nieodpowiedzialnie, ale w tej chwili nie był w stanie racjonalnie myśleć, głuchy na wszelkie głosy oprócz tętniącego w żyłach zewu natury.

Alejandra zamknęła oczy. Przeżywała orgazm, dysząc ciężko. Potem próbowała coś powiedzieć, ale jej to uniemożliwił, przewidując, co by to mogło być, a on nie był gotowy tego słuchać. Nie tu, w centrum chaosu, oszołomiony bólem i przeżyta rozkoszą.

Wiedział, że powinni jak najszybciej się rozstać, gdyż jego towarzystwo było dla niej zagrożeniem. Obcy i córka El Vengadora schodzący razem ze wzgórz. Takie małe porty jak ten nie zapewniały anonimowości, możliwości roztopienia się w tłumie. Chyba domyśliła się, o czym pomyślał, bo szybko uporządkowała ubranie. Miała zaróżowione policzki i pachniała miłością.

– Musimy się pospieszyć, kapitanie. Zaraz zaczniesz się odpływać.

– Co będzie z tobą? Jak dostaniesz się do domu? – zapytał, chociaż wiedział, że on nie ma prawa wpływać na jej przyszłość.

– Tak jak zawsze, bez trudu.

Chciał wierzyć w to, że po jego wejściu na pokład łodzi, która miała przerzucić go do Anglii, Alejandra ruszy najkrótszą drogą do hacjendy przez nikogo niezatrzymywaną, niezaczepianą. A jeśli tak się nie stanie...

Odsunął od siebie tę myśl i powiedział:

– Gdybyś kiedykolwiek znalazła się w potrzebie, przyślij list i to, co ci daję, na adres londyńskiej rezydencji Howardów przy Grosvenor Square. Zapamiętasz? Adresuj do hrabiego Ross i zaznacz na kopercie, że sprawa jest pilna.

Położył na jej dłoni rodowy sygnet, jedyne, co mógł jej dać od siebie i co było czytelnym znakiem dla nich obojga.

Bez słowa zamknęła w dłoni złoty klejnot.

Alejandra zdawała sobie doskonale sprawę, że u boku angielskiego hrabiego nie ma miejsca dla córki okrytego jak najgorszą sławą watażki partyzanckiego z północnej Hiszpanii. Kobiety niefortunnie wydanej za męża, która walczyła z bronią w rękę i miała na sumieniu śmierć kilku osób. Powążyła się na to w imię wolności, jak sobie tłumaczyła, ale każdy taki czyn zubażał jej duszę i w końcu niewiele z niej pozostało. Widoczne na nadgarstku blizny były tylko zewnętrznymi znakami rys, jakie wojna pozostawiła na osobowości Alejandry. Była przekonana, że nie będzie kontaktowała się z Anglikiem, ale

postanowiła zatrzymać pierścień.

Na żeglarskim żakiecie pożyczonym od szypra, który nosił Lucien, wykwitwały ciemnoczerwone plamy – musiała się ponownie otworzyć rana na karku. Potrzebował pomocy lekarza, i to szybko. W dodatku wieczorem miał gorączkę, a czekała go kilkudniowa przeprawa. Alejandra wiedziała, że w swoim stanie Anglik bardzo nacieрпи się w podróży. Modliła się, by na morzu nie złapał ich sztorm. To ostatnie chwile, jakie spędzają razem, pomyślała, idąc za nim wąską dróżką do portu, w którego basenie lśniła szmaragdowa woda.

Luis Alvarez był gotowy do odbicia od brzegu. Ładunek został zabezpieczony, żagle postawione. Mężczyzna, którego Alejandra nie знаła, zwijał liny na rufie.

– Jest bagaż?

– Nie ma – odparł Lucien. – Moja zameżna z Anglikiem siostra zachorowała. Muszę dotrzeć do Anglii tak szybko, jak się da.

Wyglądało na to, że Alvarez przyjął tłumaczenie bez zastrzeżeń.

– W takim razie wchodzi pan na pokład.

Alejandra była zadowolona, iż rozstaną się w publicznym miejscu, że on jej nie dotknie i że za parę minut już go nie będzie. Po ostatniej nocy i po tym, co zdarzyło się o świcie, nie zniosłaby przedłużającego się pożegnania.

– Szczęśliwej podróży, Lucienie.

– Nawzajem, Alejandro.

Cofnęła się o krok, on ruszył do łodzi. Szybko zwiększyła się dzieląca ich odległość; już nie mogłaby go dotknąć, nawet gdyby chciała. Lucien znalazł się na pokładzie. Zdjął kapelusz. Złociste, pozbawione farby, pasma i te, jeszcze czarne, rozwiewał wiatr.

Dało się słyszeć skrzypienie lin, żeglarskie okrzyki, chlupanie wody o burtę. Żagle stopniowo wypełniały się wiatrem. Łódź oddalała się od brzegu.

Alejandra nie machała ręką, nie krzyczała „do widzenia”, stała milcząca, rozdarta między nadzieją a rozpaczą. Sylwetka Luciena powoli się zacierała, aż wreszcie zniknęła z jej oczu.

Następnym razem, kiedy się obudził, przy łóżku ujrzał Christine. Czerwone obwódki wokół jej oczu świadczyły o tym, że płakała.

– Jeszcze nie umieram – pocieszył ją Lucien.

– Myślisz, że siedzę tu i płaczę, gdyż spodziewam się, że wybierasz się w zaświaty? Nic podobnego! Wyzdrowiejesz, braciszku, chociaż, jak twierdzi doktor, trochę to potrwa.

– W takim razie dlaczego płaczesz?

– Joseph umarł podczas przemarszu jego regimentu do Betanzos. Doszło do tego z powodu wychłodzenia ciała. Dostałam list powiadamiający o jego śmierci na drugi dzień po twoim powrocie do domu, a potem dotarły do mnie bezpośrednie relacje – wyjaśniła Christine i uniosła dłoń. Na serdecznym palcu tkwił pierścienek z wielkim brylantem oprawionym w białe złoto. – Mieliśmy się pobrać po jego powrocie.

– Boże, Joe Burnley nie żyje? Jasna cholera! Ogromnie mi przykro.

Lucien wiedział, że siostra nie lubiła przekleństw. Teraz też zacisnęła usta tak jak zawsze, kiedy bracia ją irytowali.

– Nigdy nie klniesz, gdy nikt nie słucha, Christine? Nie buntujesz się przeciwko niesprawiedliwości losu?

W milczeniu zaprzeczyła ruchem głowy.

– W takim razie powinnaś zacząć.

– Stałeś się bardziej cyniczny niż kiedyś.

– Podejrzewam, że sprawiła to przegrana kampania militarna. Wściekają mnie wszystkie popełnione błędy oraz wielkie marnotrawstwo ludzkiej energii i zapału, o ogromnych stratach w ludziach nie wspominając. – Lucien z trudem się hamował, by nie wybuchać.

Mógłby narzekać bez końca, ale siostra nie powinna się dowiedzieć, że narzeczony zginął, bo ktoś popełnił błąd. Niech pozostanie przekonana, że poległ okryty chwałą, śmiercią bohatera. Niech uważa, iż brytyjski korpus ekspedycyjny Moore'a miał dobry plan i realistycznie wytyczone cele.

Zamknął oczy. Ucieszył się, słysząc, że wstała i wyszła z pokoju. Smutek potrzebuje samotności. Wyobraził sobie Alejandrę patrzącą na niego z góry, mobilizującą go do walki. Niestety, całkiem opuściły go siła i moc, gdy stanął na pokładzie łodzi w porcie w Pontevedrze i jedyne, co czuł, to ból osamotnienia.

Pozostała po zabiegu spuszczenia krwi blizna na nadgarstku otworzyła się i zaczęła krwawić pod bandażem. Na śnieżnobiałą pościel kapnęły krople krwi. Przypomniał sobie o bliznach, które zauważył na prawym nadgarstku Alejandry. Nie wyglądały na przypadkowe. Krwawienie z żył w tym miejscu musiało być zagrożeniem dla życia.

Czy jest bezpieczna? Przebywa z ojcem w domu czy z partyzantami gdzieś na wzgórzach okalających La Coruñę? Poprosił znajomego z wywiadu, żeby postarał się zdobyć informacje o sytuacji w tamtym rejonie. Uprzedził Daniela, że ten ktoś przyjedzie z rana. Usnął, pokrzepiony nadzieją na dobre wieści.

Cztery tygodnie później Lucien był z powrotem w Londynie i próbował chodzić, na razie ograniczając się do krótkich odległości. Brakowało mu dawnej energii i chęci życia, ale przynajmniej nie leżał w łóżku, i za to był wdzięczny losowi.

Rano w rezydencji Howardów zjawił się Daniel. Lucien od razu wyczuł, że coś jest nie w porządku. Zaprosił przyjaciela do biblioteki, żeby mogli porozmawiać z dala od uszu pozostałych członków rodziny, bo zdawał sobie sprawę, jaki mógł być powód jego wizyty.

– Są wiadomości z Hiszpanii? – spytał.

Daniel w milczeniu podał mu zapieczętowane pismo. Miał ściągniętą twarz.

– Złe wiadomości? – zaniepokoił się Lucien.

Ponieważ przyjaciel nie odpowiedział, rozpieczętował pismo.

*Z przykrością informuję, że hacjenda señora Enriquego Fernandez y Castro została zrównana z ziemią. Miało to miejsce w drugim tygodniu marca 1809 roku. Wydaje się, że wszyscy jej mieszkańcy zginęli. Byli to...*

Lucien odnalazł na liście nazwiska Alejandry i jej ojca. Spojrzał na przyjaciela.

– Wiedziałeś?

– Poradzono mi, bym upewnił się, że siedzisz, zanim podam ci pismo.

– Nie przeżyli. – Lucien ponownie przebiegł wzrokiem tekst, jakby się bał, że złe

go zrozumiał i że Alejandra nie padła ofiarą płomieni.

Daniel podszedł do mahoniowej szafki, po czym nalał brandy do dwóch kieliszków. Jeden z nich podał Lucienowi.

– Opowiedz mi o niej, czasami to pomaga.

Czy rzeczywiście coś może mu pomóc przyjąć do wiadomości tę wielką stratę? Mimo to powiedział:

– Była dzielna i piękna. Walczyła o moje zdrowie z większą determinacją niż ta, na którą sam byłem w stanie się zdobyć. Znalazła mnie rano, po ewakuacji, przygniecione martwym koniem i zabrała mnie do domu.

– Rzeczywiście odważna kobieta – przyznał Daniel.

– Zaprowadziła mnie do portu w Pontevedrze i wsadziła na łódź. Miała wrócić do hacjendy. Powinienem wziąć ją ze sobą do Anglii, tu byłaby bezpieczna, lecz ona nie chciała o tym słyszeć, nie zamierzała opuszczać Hiszpanii, a ja byłem...

Kim on właściwie był dla Alejandry?

– Kochałeś ją?

Lucien pomyślał, że nawet między przyjaciółmi bezpośrednio i wymagające odpowiedzi na tak osobiste pytanie jest dopuszczalne tylko przy brandy.

– Nie – odparł i spazm bólu skręcił mu wnętrzności.

Nie potrafił przyznać się do uczucia, dopuścić do tego, by prawda wyszła na jaw. Ze złością zgniótł pismo w dłoni. Zaczęły wstrząsać nim konwulsje i pomyślał, że umiera. Miał sposobność widzieć takie drgawki, zazwyczaj podczas ich trwania szybko następowała śmierć.

Daniel czuwał. Zaniósł Luciena na kanapę i okrył kocem.

– Zawołać doktora?

– Nie. – Lucien odzyskał głos i świadomość. Otworzył dłoń. Kulka zgnieczonego papieru upadła na podłogę. – Możesz to wrzucić do ognia?

Nie chciał patrzeć na pismo z tragiczną wiadomością. Nazwisko Alejandry znajdowało się w trzecim wierszu od dołu. Na drugie imię miała Florencia, o czym nie miał pojęcia. Tysięcy rzeczy o niej nie wiedział i nigdy się nie dowie.

Daniel spełnił prośbę. Lucien obserwował, jak papier niknie w ogniu rozpalonym w kominku. Najpierw żółknie, potem brązowieje, czernieje i zmienia się w pył.

– Czy to Alejandra ufarbowała ci włosy?

– Tak. Uważała, że z czarnymi będę bezpieczniejszy.

– Chciałbym spotkać tę twoją kobietę.

Lucien nie potrafił powstrzymać łez, które zaczęły mu płynąć po policzkach. Ogarnął go smutek tak głęboki i dojmujący, że pomyślał, iż chyba nie potrafi z nim żyć.

## Rozdział dziewiąty

*Londyn, 1813*

Margarita van Hessenberg, piękna, inteligentna i bogata wdowa, przyjaźniła się z Amethyst, żoną Daniela, którą Lucien lubił i podziwiał. Wielokrotnie widział Margaritę z daleka, ostatnio jednak często podchodziła do niego i wypytywała o opinię na temat głośnej książki, sztuki teatralnej czy świeżo wystawionego obrazu. Nikogo to nie dziwiło, ponieważ była znana z szerokich zainteresowań i dociekliwej natury.

Dzisiaj, tańcząc z nim w sali balowej Harveya, nawiązała do obrazu Turnera, który pokazano podczas ubiegłorocznej letniej wystawy zorganizowanej przez Royal Academy w Somerset House.

– Wszyscy liczący się krytycy chwalili obraz jako wspaniałe i wysublimowane dzieło, mnie jednak nie podoba się dowolność w potraktowaniu perspektywy, łamiąca tradycyjne zasady kompozycji.

Lucien wiedział, że Margarita jest artystką, i to podobno dość uznawaną. Wybrał się na wystawę, aby obejrzeć dzieło Turnera i wywarło na nim głębokie wrażenie. Obraz nękaney śnieżycami i napaściami lokalnych plemion armii Hannibala, przepływającej się przez Alpy Nadmorskie, miał dla niego bardzo osobistą wymowę. Ukazywał kruchość człowieka w obliczu natury i wojny oraz budził osobiste wspomnienia z piekła, jakim było przejście z Villafranca do Lugo oblodzonymi przełęczami górskimi, trasą znaczoną ciałami umierających z zimna i wyczerpania żołnierzy. Według niego, Turner doskonale odmalował rozpacz i ból prowadzące do rezygnacji i otępienia.

– Milczy pan. Jest pan innego zdania?

– Jestem pod wielkim wrażeniem tego obrazu. Została w nim zawarta okrutna prawda.

Margarita przyciągnęła go bliżej do siebie.

– Odwiezie mnie pan dzisiaj do domu i zostanie na noc? – szepnęła namiętnie.

Lucien dostał gęsiej skórki. Dawno nie był z kobietą. Dostrzegł tańczących obok Daniela i Amethyst – spoglądali na niego z nadzieją. Gabriel Hughes też był na sali, tańczył z Adelaide, świeżo poślubioną żoną. Oni także zachęcali go wzrokiem. Powinien odpowiedzieć „tak”.

Chcieli, żeby był tak samo szczęśliwy jak oni, by cieszył się życiem, zaznał miłości, założył rodzinę. Od dobrych dwóch lat po tym, jak wycofał się z narzeczeństwa z panną Higham-Browne, podsuwali mu jedną wartościową kandydatkę po drugiej. Na przyjęciach, balach i bardziej kameralnych wieczorkach towarzyskich stawiali na głowie, żeby wmanewrować go w znajomość, która mogłaby przerodzić się w trwały związek uczuciowy. On zaś przez cały ten czas robił uniki i mnożył przeszkody, bo nie potrafił zapomnieć tej, o której chciał zapomnieć. Alejandry Fernandez y Santo Domingo.

Prześladowała go nawet tutaj, wśród ogólnej wesołości i zabawy. Smutek był jedynym szczerym uczuciem, jakie na trwale zagnieździło się w jego sercu. Cztery lata samotności, narzuconej sobie samemu izolacji. Cztery lata żałoby, z której nie potrafił się otrząsnąć.



Nagle pojął, że czas to zmienić.

– Tak, bardzo chętnie – odparł, choć poczuł przyływ paniki.

– Dziękuję.

Margarita była mądra. Gdyby powiedziała coś więcej, pewnie by się wycofał. Ujęło go jedno ciche słowo podziękui; jej gorący oddech, który czuł na szyi, sprawiał mu przyjemność.

– Nie jestem kobietą skorą do zapraszania mężczyzn do łóżka. Byłam żoną mężczyzny, którego kochałam całym sercem, a kiedy umarł, nie potrafiłam znaleźć sobie miejsca. Ale z panem jest... – Dalsze słowa odplłynęły w przestrzeń zagłuszone muzyką.

W Luciena wstąpiła nadzieja.

\* \* \*

Okazały dom Hessenbergów tonął w ciemnościach. Tylko nieliczne świeceki paliły się w lichtarzach rozstawionych w holu, przez który Margarita prowadziła Luciena na schody wiodące na piętro, do pokoju udekorowanego ściennymi malowidłami, przedstawiającymi sceny ogrodowe.

– Tęsknię za moimi klombami kwiatowymi w Essex. W ten sposób przeniosłam je tutaj – powiedziała z westchnieniem.

– Przynajmniej nie wymagają podlewania – zauważył Lucien.

Roześmiała się.

– Mało mówisz, ale zawsze do rzeczy, i za to cię lubię.

Nieśpiesznie rozwiązała fular, kunsztownie zawiązany wokół szyi Luciena, i rzuciła go na dywan. Pomyślał o bliznach, które ona za chwilę zobaczy na jego karku i plecach, grubych, brzydkich, czerwonych.

– Może najpierw wypijemy drinka? – Przestraszył się dającego się słyszeć drzenia własnego głosu. Był pewny, że Margarita też je usłyszała.

– Naturalnie – powiedziała i odeszła, by przynieść ustawione na stoliku kieliszki i butelkę szampana.

Szampan okazał się doskonały. Nic dziwnego, skoro to Veuve Clicquot, rocznik 1811. Wypił od razu pół kieliszka. Margarita uzupełniła go do pełna.

– Pojechałam kiedyś do Francji popróbować wina w tamtejszych piwnicach. Było wspaniale.

Ma wszystko, co najlepsze, pomyślał. Suknie, domy, wina, podróże. Przypomniał sobie podarte i brudne ubranie Alejandry, kiedy razem wędrowali przez góry, smak pędzonej w domu *orujo*, schronienie w jamie pomiędzy korzeniami dębu, w której mościli sobie legowisko z igliwia, noc pod bezkresnym hiszpańskim niebem. Poczł się w tym wytwornym pokoju nie na miejscu. Odwrócił się do okna, za którym migotały światła Londynu. W szybie zauważył odbicie Margarity i zrozumiał, że z tą kobietą nie dozna bliskości, jaka połączyła go z Alejandrą.

– Muszę iść. Przepraszam.

Przyjęła to spokojnie, z godnością.

– Mam nadzieję, że wrócisz... kiedy indziej. Zawsze będziesz mile widziany – odparła.

Skinął głową, ponieważ tak wypadło i dlatego, że musiał się chwytać każdej sposobności, by wyjść z tej sytuacji z twarzą. Podniósł fular z puszystego bordowego dywanu i skierował się do drzwi.

Na ulicy przestało mu się spieszyć, bo poczuł się wolny od przygniatającej atmosfery pretensjonalnie udekorowanego pokoju i od konwenansów. Nocne powietrze, w którym dawały się odczuć pierwsze podmuchy zimy, działało uspokajająco. Powinien zostać w Pontevedrze albo zabrać Alejandrę do Anglii. Należało postąpić zupełnie inaczej. Zostać, nie wchodzić na łódź i nie dopuścić, żeby zginęła w płomieniach. Wciąż zżerała go tęsknota. Nie mógł żyć bez Alejandry.

Boże, co mam uczynić?

Klub White'a wciąż był otwarty. Lucien znalazł zaciszną wnękę, zamówił drinka i rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu.

– Lord Ross?

Lucien nie znał mężczyzny, który przed nim stanął.

– Pozwoli pan, że się przedstawię. Kapitan Trevellyan Harcourt, syn majora Richarda Harcourta. Przypuszczam, że pan go zna.

– Owszem – odparł sucho Lucien, w nadziei że młody człowiek odejdzie. Nie miał ochoty na towarzyskie pogawędki po zawodzie, jaki sprawił sobie i Margarecie.

– Może pana zainteresuje fakt, że dopiero co wróciłem z Półwyspu Pirenejskiego. Służę w Siódmej Lekkiej Dywizji pod rozkazami Wellingtona. Zostałem odesłany do kraju z powodu odniesionych obrażeń. Lekkich, moim zdaniem, ale wystarczająco poważnych, w mniemaniu mojego dowódcy.

Lucien nie miał pojęcia, dokąd ta rozmowa prowadzi, słuchał jednak, gdyż dostrzegwał w losie młodego żołnierza pewne podobieństwo do własnego. Gestem wskazał mu wolny fotel.

– Pięć lat temu, podczas pierwszej kampanii, służyłem w Hiszpanii pod Moore'em.

– Inne czasy. Chociaż ostatecznie doszło do ewakuacji, tamta kampania też była ważna. Generał Moore utorował nam drogę.

– Śmiała opinia. Wielu nie byłoby tak wspaniałomyślnych.

– Przypuszczam, że brał pan udział w przemarszu na północ przez góry, w kierunku Zatoki Biskajskiej.

Lucien zaostrzył uwagę. Potrafił wyczuć, kiedy ktoś usiłuje pociągnąć innych za język w celu uzyskania informacji. Dokładnie tym się zajmował w czasie służby wojskowej. Nawiedziło go przecucie, że zaraz usłyszy coś ważnego.

– Dlaczego pan pyta?

Harcourt sięgnął do kieszeni żakietu.

– Znalazłem ten sygnet na palcu pewnego pijaka, z którym miałem małą scysję, i zorientowałem się, co to jest. To herb Rossów. Pański herb, prawda?

W odczuciu Luciena czas nagle stanął w miejscu. To jego sygnet. Dał go Alejandrze wraz z instrukcją, jak mogłaby go odnaleźć, gdyby potrzebowała pomocy. Nie podjęła takiej próby.

Nie miał najmniejszej wątpliwości, że pierścień jest autentyczny. Nosił niezbyt głęboką rysę, jak gdyby ktoś brał go na ząb, żeby sprawdzić, czy jest ze złota i ma

jakąkolwiek wartość. Jak ten pierścień uniknął ognia?

– To mój herbowy sygnet – potwierdził, czując przyspieszone bicie serca. – Znalazł go pan u pewnego pijaka, tak pan powiedział?

– Tak. Był zwykłym złodziejaszkiem. Podejrzewam, że go ukradł. Panu?

– Gdzie dokładnie natrafił pan na ten pierścień?

– W Madrycie, w starej dzielnicy. Nie pamiętam w której. O ile wiem, nie mógł pan być w Madrycie, służąc pod generałem Moore'em.

– Faktycznie nie byłem. – Lucien nie zamierzał ujawniać szczegółów związanych z losem sygnetu. – Naturalnie, zapłacę panu za zwrot pierścienia.

– Jestem oficerem, jak pan niegdyś. Nie przyjmę rekompensaty za coś, co w sposób niezaprzeczalny do pana należy, tym bardziej że wejście w posiadanie tego przedmiotu nie kosztowało mnie nic, nie licząc lekkiego szturchnięcia owego złodziejaszka i pijaka.

– Bardzo panu dziękuję.

Wstali, Lucien uściśnął dłoń młodego Harcourta.

– Jestem pańskim dłużnikiem. Gdyby pan kiedykolwiek czegoś potrzebował... – Oficer uklonił się i odszedł, przywoływany z dala przez kolegów.

Zostawszy sam, Lucien zaczął dokładnie oglądać pierścień. W jakich okolicznościach utraciła go Alejandra, zanim znalazł się w Madrycie? Uniósł klejnot do światła. Zauważył wygrawerowane po wewnętrznej stronie litery, których nie było, kiedy dawał go Alejandrze.

„Tylko teraz”.

Zrobiło mu się gorąco. Musiał usiąść.

Czyżby Alejandra przeżyła pożar hacjendy? Przecież wykluczone, by mogła dać pierścień do wygrawerowania w drodze powrotnej z Pontevedry. Czyżby poszła inną drogą? Nie do hacjendy, tylko na południe?

Zamknął pierścień w drżącej dłoni.

Boże, spraw, by okazało się, że ona żyje.

Luis Alvarez wyglądał co najmniej dziesięć lat starzej, kiedy Lucien znalazł go w końcu przed tawerną na drodze do portu w Pontevedrze. Dzień wcześniej przyплыł z Portsmouth do Vigo i tam zaopatrzył się w konia, na którym ruszył na północ. Wojna między Francją a Hiszpanią wciąż trwała, ale działania wojenne toczyły się głównie na wschodzie, bliżej Pirenejów.

Stary poznał go od razu.

– Przewoziłem pana do Anglii. Znajomy córki El Vengadora.

Lucien potwierdził. Zamówił kolejkę dla siebie i Alvareza.

– Słyszałem, że zginęła w pożarze hacjendy ojca – zaczął ostrożnie.

– Straszna tragedia. Enrique Fernandez y Castro w gruncie rzeczy był dobrym człowiekiem, chociaż potrafił być okrutny. Krążyły plotki, że to zemsta rodziny zmarłego męża jego córki. Wie pan – oko za oko. Niekiedy zadaję sobie pytanie, czy ona zdążyła wrócić do domu przed pożarem.

– Co takiego?!

– Zastanawiam się, czy nie uniknęła śmierci. Ciała były tak mocno spalone, że nie dało się nikogo rozpoznać. Ktoś podobno widział ją w Madrycie dobre pół roku po

pożarze, ktoś inny przysięgał, że mieszkała w Almeidzie, ale do tego czasu nienawiść Betancourtów przygasła, więc nikt jej nie poszukiwał.

Lucien słuchał, obracając na palcu sygnet.

– Ludzie opowiadają różne rzeczy i niekiedy ulegają złudzeniom. Weźmy na przykład pańskie włosy. Przysięgłbym, że kiedyś były czarne, a teraz są jasne jak słońce.

W Lucienie obudziła się dawna natura żołnierza i szpiega. Wiedział, że żaden skrawek informacji nie zasługuje na zlekceważenie.

– Pamięta pan, kiedy dokładnie wydarzył się ten pożar, *señor*?

– Dziesiątego marca, w dzień moich urodzin. Świętowaliśmy je, kiedy ktoś przyniósł wiadomość o spaleniu się hacjendy El Vengadora.

Lucien szybko przekalkulował czas i odległości. Opuszczał Hiszpanię piątego marca. Alejandra miałyby pięć dni na pokonanie dystansu z Pontevedry do La Coruñy. Byłoby to możliwe, gdyby wybrała drogę nadmorską, ale wieczorem nad Zatoką Biskajską doszło do oberwania chmury. Możliwe, że padało również na lądzie. Jeśli tak, mogłoby to opóźnić jej marsz. Musiałyby szukać schronienia, by przeczekać ulewę, na dodatek drogi byłyby rozmokłe, co też nie sprzyjałoby szybkiemu pokonywaniu odległości. Zastanawiał się też, jak długo stała w porcie, patrząc w ślad za odpływającą łodzią. Ktoś mógłby ją zapamiętać.

– Gdy odpływaliśmy, pański syn pomagał odbijać od brzegu, prawda? Olbrzymi brodac. Wcześniej rozmieszczał i zabezpieczał ładunek pod pokładem.

– A i owszem. Jest tu. – Alvarez pokazał w stronę baru.

Rzeczywiście zza pleców innych gości wyłonił się wielki rudowłosy mężczyzna.

– Chciałbym z nim porozmawiać.

– Tylko nie za głośno. Lepiej, żeby ludzie nie usłyszeli, co pana interesuje. Powrót do przeszłości rodzi tutaj niekiedy problemy. Xavier! – Alvarez przywołał syna. – Chodź na słowo.

Olbrzym przysiadł się do nich, dzierżąc w dłoni kufel piwa.

– Pamiętasz córkę El Vengadora, która przyszła do portu z tym człowiekiem? – zapytał szyper.

– Tak.

– Została na długo we wsi po naszym wyjściu w morze? – przejął inicjatywę Lucien.

– Tak. Siedziała na nabrzeżu i przez kilka godzin patrzyła w morze. Była smutna. Nie płakała, ale była bliska płaczu.

– A potem?

– Wyruszyła o zmierzchu na wzgórze. Myślałem, że pójdzie drogą nadmorską, ale nad morzem lało jak z cebra i nie zanosiło się na to, że ulewa szybko ustanie.

Nagle wśród gwaru podpitych głosów i zapachu taniego wina Lucien doznał olśnienia. Alejandra żyje! Słowa wygrawerowane na pierścieniu znajdują potwierdzenie w opowieści tych dwóch żeglarzy.

Wstał, zostawił obu mężczyznom po złotej monecie i opuścił tawernę. Minął ostatnie domki, wszedł na drogę na wzgórze nad wioską. Czuł obecność Alejandry. Dotknął chropawej kory przydrożnego dębu, po czym pod nim usiadł. Musiał ochłonać,

przetrawić uzyskane informacje.

Odnajdzie ją, choćby miało mu to zająć resztę życia, postanowił, i aby to zrealizować, najpierw wróci do Anglii. Miał wciąż dobre kontakty w wywiadzie wojskowym i w służbie dyplomatycznej. Poruszy niebo i ziemię, by odszukać kobietę, która nie spróbowała nawiązać z nim kontaktu, ale która wygrawerowała wewnątrz jego pierścienia znamienne słowa: „Tylko teraz”.

– Słyszałem, że wracasz do Hiszpanii odnaleźć swoją hiszpańską ratowniczkę? – zapytał Daniel.

Szli wraz z Lucienem Regent Street po odwiedzeniu kupca zajmującego się importem wina.

– Kto ci to powiedział?

– Gabriel. On wciąż utrzymuje pewne kontakty, o których lepiej nie wiedzieć. Mówił mi, że już byłeś w ministerstwie spraw zagranicznych i że jesteś pewny, iż ona wciąż żyje.

– Zgadza się. Jestem pewny.

– Mam nadzieję, że nie rozczarujesz się tym, co odkryjesz. Gdyby ona chciała cię zobaczyć...

– ...to łatwo mnie zlokalizować. – Lucien dokończył myśl przyjaciela. – Wiem o tym, ale w tej sprawie coś się nie zgadza.

– Siostra Clary Higham-Browne pytała o ciebie któregoś dnia. Spotkaliśmy się podczas przejażdżki konnej w parku. Zatrzymała mnie. Myślę, że jej rodzina nie wybaczy ci zerwania zaręczyn tak krótko przed ślubem.

– Clara liczyła na coś, czego nigdy nie mógłbym jej dać. Któregoś dnia prawdopodobnie mi podziękuje.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale ostrzegałem cię przed nią od samego początku. Zawiązałyby cię na supeł i przytroczyła sobie do paska, nie miałbyś nic do gadania. Po wygaśnięciu pierwszego zauroczenia umarłbyś przy niej z nudów.

– Możliwe.

Lucien poprosił Clarę Higham-Browne o rękę z wielu powodów, lecz wszystkie okazały się fałszywe. Czuł się samotny i szukał swojego miejsca na ziemi. Szczerze powiedziawszy, zrobił to również dla matki. Nic go do Clary nie przyciągało. Nie kochał jej, nie pożądał, nawet mu się specjalnie nie podobała. Nie to co Alejandra. Miał w oczach jej sięgające pasa włosy, rozpiętą bluzkę, czuł dotyk jej dłoni na swoim ciele.

– Jak długo cię nie będzie? Kiedy mam zacząć się martwić, że może nie wrócisz?

– Najkrócej miesiąc, najdłużej dwa. – Lucien uśmiechnął się do przyjaciela. – Będę w Madrycie.

– Matka wie o twoim wyjeździe?

– Nie. Mama najbardziej ze wszystkich przeżyła zerwanie z Clarą i konflikt z jej rodziną. Myślała, że się ustakuję u boku córki wicehrabiego, pozostanę w Anglii, zaangażuję się w politykę i sprawy społeczne. Nie chciałaby, żebym wracał do Hiszpanii także dlatego, że wróżka przepowiedziała jej kiedyś, iż tam umrę, i ona święcie w to wierzy. Tym bardziej że już omal tam nie zginąłem. Nie opowiedziałem matce o Alejandrze i o tym, co się wydarzyło po bitwie pod La Coruña, bo chciałaby, żeby

wszystkie dzieci pozostały możliwie najbliżej niej, i ma potrzebę życia w uporządkowanym świecie. Każdego, kto ten porządek zakłóca, traktuje jako zagrożenie, które trzeba wyeliminować. Poza tym ma chorobliwą skłonność do zamartwiania się byle czym.

– Ty naprawdę myślisz, że znajdziesz tę kobietę po tylu latach? Będziesz jej szukał w całej Hiszpanii?

– Będę szukał w Madrycie. Może natrafię na kogoś, kto coś wie. Liczę na to, że dopisze mi szczęście.

– To się okaże. Dopytywała się o ciebie Margarita van Hessenberg. Wydaje mi się, że spodziewa się wkrótce twojej wizyty. Wspominała o jakiejś niedokończonych sprawie. Odniosłem przemożne wrażenie, że ma na ciebie chętkę i wiąże z tobą pewne nadzieje.

– Zawiodłem ją, to moja wina. Myślałem, że mogłoby nas połączyć coś więcej niż przyjaźń, ale... Muszę odnaleźć Alejandrę, Danielu, chociażby tylko po to, żeby zrozumieć, co było między nami, inaczej nie posunę się do przodu.

– A co z twoimi fabrykami, w które włożyłeś tyle pracy? Kto będzie ich doglądał, kiedy wyjedziesz?

– Dadzą sobie radę beze mnie. Dobrze opłacam ludzi, którzy je na co dzień prowadzą.

– Zdaje się, że to bardzo lukratywne przedsięwzięcie.

– Owszem, chociaż moja matka wciąż ma wątpliwości, czy powinniśmy zajmować się przemysłem zamiast uprawą ziemi.

– Biedacy nie mają wyboru, Luce.

Obaj się roześmieli.

Po przybyciu do Madrytu Lucien zatrzymał się w podmiejskiej rezydencji księcia Palmy. Po czterech dniach pobytu udało mu się dotrzeć do człowieka mieszkającego w dzielnicy Puerta Bonita w Carabanchel. Rozmowa z nim zaowocowała zdobyciem nazwiska kobiety, która pomagała Brytyjczykom, przekazując cenne informacje ich wywiadowi.

Nazywała się *señora* Antonia Herrera y Salazar i była prostytutką w domu publicznym przy ulicy Segovia w dzielnicy La Latina. Z pomocą zaufanego służącego księcia Palmy Lucien umówił się z nią na spotkanie, które miało się odbyć za dwa dni. Występował pod fałszywym imieniem jako *señor* Mateo.

Lucien zdążył poznać Alejandrę na tyle, że nie żywił wątpliwości, iż zaangażowała się w walkę z francuskimi okupantami Hiszpanii. Uznał, że musiała żyć pod zmienionym nazwiskiem i że starała się nie rzucać w oczy, gdyż zabójcy jej ojca byli ludźmi bardzo niebezpiecznymi i wciąż mogła obawiać się ich zemsty. Istniała możliwość, że *señora* Antonia zetknęła się z Alejandrą albo nawet ją знаła. Lucien wiedział, że będzie musiał zachować daleko idącą ostrożność w rozmowie z *señorą* Antonią. Materia była bardzo delikatna, a on nie chciał nadmiarem ciekawości nikomu zaszkodzić. Mimo wszystko liczył na uzyskanie informacji, które pomogą mu trafić na obiecujący trop.

W zamyśleniu obrócił na palcu nowo odzyskany sygnet, czując w piersi tępy ból.

## Rozdział dziesiąty

*Señora* Antonia Herrera y Salazar zawiązała pod brodą wstążki nowego kapelusza i nachyliła się nad szczelnie otuloną kołdrą starą kobietą, która spoczywała w szerokim łożu.

– Mario, wychodzę tylko na godzinę – powiedziała. – Umówione spotkanie mam o drugiej.

– Wzięłaś wszystkie dokumenty dotyczące pożyczki?

– Oczywiście. – Antonia położyła dłoń na skórzanej torbie. – Nasze księgi przedstawiają się optymistycznie. Przeglądałam je przez całą noc i porównywałam ze stanem sprzed czterech lat.

– Przeszliśmy długą drogę. Ty i ja.

Antonia ucałowała leżącą w policzek i w tym momencie usłyszała zajeżdżającą pod drzwi dorożkę. Musiała się zbierać, by się nie spóźnić.

– Jak wyglądam?

– Ślicznie jak zawsze, moja droga. Mogłabyś zostać towarzyszką królów. Młody *señor* Morales spełni twoją prośbę, jestem o tym przekonana. Nie zdoła ci się oprzeć.

Potrzebowały pożyczki na rozbudowę i unowocześnienie domu. Zdawały sobie sprawę, że bez tej inwestycji ich dom schadzek zacznie podupadać. W ostatnich latach w dzielnicy powstało wiele nowych burdeli. Konkurencja nie działała uczciwie, próbowała podkupywać pracujące u nich kobiety i odstraszać klientów. Poza tym rozpowszechniano plotki o Antonii, która jednak nie zamierzała dać się pokonać.

Prowadziła dom publiczny twardą ręką i nikomu z niczego się nie zwierzała, nawet Marii. Spłacała pożyczki, które zaciągnęła na uruchomienie całego przedsięwzięcia, a nawet zdołała coś niecoś odłożyć. Stary Alberto Morales, miejscowy lichwiarz, był wypróbowanym i nieocenionym przyjacielem. Niestety, zmarł miesiąc temu. Syn, który przejął rodzinne interesy, nie przejawiał nawet części tej życzliwości dla Antonii co ojciec.

– Tylko teraz – szeptała swoją mantrę, jadąc dorożką.

Te dwa magiczne słowa działały kojąco. Torowały jej drogę poprzez trudności i zawody, jakich nie szczędziło życie. Żadnej przyszłości, żadnej przeszłości, tylko obecna chwila.

Po powitaniu *señor* Mateo Morales z miejsca przystąpił do rzeczy.

– Prowadzi pani ryzykowny tryb życia, *señora* Herrera y Salazar. Przypuszczam, że mój ojciec często to pani powtarzał.

– Nigdy, *señor*. Obdarzał mnie zaufaniem i zwykł mawiać, że gdyby wszyscy jego klienci byli tacy uczciwi jak ja...

Mateo Morales przerwał jej machnięciem wypielęgnowanej dłoni.

– Nie ma pani męża i cieszy się wątpliwą reputacją. – Otworzył rejestr klientów. – Dwukrotnie nie dotrzymała pani terminu spłaty. W jednym przypadku opóźnienie sięgnęło miesiąca. Waham się, czy kontynuować z panią współpracę na warunkach ustalonych przez ojca.

Antonia poczuła się tak, jakby ktoś niespodziewanie i mocno kopnął ją w brzuch. Po przybyciu do Madrytu od pierwszego dnia zdawała sobie sprawę, że nie może liczyć na nikogo i musi sobie poradzić. Dzielnie stawiała czoło różnym trudnościom, tej przeszkody mimo wszystko się nie spodziewała.

– Jesteśmy dobrymi klientkami, więcej niż dobrymi – podkreśliła.

– My? Ach tak. *Señora* Maria Aguila jest jedną z osób, które wystawiły pani referencje, ale w gruncie rzeczy ona jest dla pani obciążeniem.

Antonia przemilczała uwagę, wciąż licząc na to, że mimo zastrzeżeń młody Morales nie odmówi pożyczki, a ona wróci do domu uspokojona. Malały jednak szanse na pomyślnie z jej punktu widzenia rozwiązanie problemu – nie mogła tego nie dostrzegać. Atmosfera stała się ciężka. Nagle Morales wstał od biurka i podszedł do niej stanowczo za blisko. Miał oddech przepojony brandy, ubranie pachniało lawendą.

– Gdyby pani zechciała, mogłaby mnie skłonić do spojrzenia na prośbę przychylniejszym okiem, *señora*.

Antonia podejrzewała, że usłyszy coś podobnego, jeszcze zanim się odezwał.

– Gdybym mógł odwiedzać panią, powiedzmy raz na tydzień, miałyby pani okazję przekonać mnie, że prośba zasługuje na spełnienie.

– Odwiedzać? – powtórzyła, chcąc się upewnić, jakie są jego intencje.

– Stałbym się patronem pani zakładu, *señora*, i to dobrze płacącym. Stawiam sprawę uczciwie. Jestem kawalerem i niekiedy potrzebuję... jak by tu rzec... odprężenia. Naturalnie, zależałoby mi na daleko posuniętej dyskrecji.

– Możemy spełnić pańskie oczekiwania, *señor* Morales. Jest u nas sporo dziewcząt i kobiet, które...

– Chodzi mi o panią.

– Nie zna mnie pan wcale.

– Widywałem panią, kiedy przychodziła pani do mojego ojca, i podziwiałem.

– Nie wiem...

– Proszę przemyśleć moją prośbę, *señora*, i wtedy dać mi znać. Niewykluczone, że jeśli się pani nad nią dłużej zastanowi, okaże się skłonna ją spełnić.

Antonia nie zaprotestowała, ponieważ chciała zyskać na czasie. Maria była stara i chora, a ona miała na utrzymaniu dwadzieścia kilka dziewcząt. Mimo to nie chcąc, by Morales pomyślał, że już się poddała, zauważyła:

– Są jeszcze inne miejsca, do których mogłabym zwrócić się o pożyczkę, *señor*.

– Nigdzie pani jej nie uzyska bez mojej rekomendacji, *señora*.

To był jawny szantaż. Ty mi dasz to, a ja ci tamto w zamian. Lichwiarze z natury nie byli dobroczyńcami.

– Do widzenia, *señor*.

Wychodząc, Antonia nie omieszkała trzasnąć drzwiami. Pracownik siedzący przy biurku w przejściowym pokoju spojrzał zdziwiony, ale ona odpowiedziała uśmiechem. Dawno temu nauczyła się robić dobrą minę do złej gry.

– Jak ci poszło, moja droga? Dostałyśmy tę pożyczkę? – spytała Maria.

– Syn Alberta Moralesa to łobuz. Miał śmiałość powiedzieć, że pożyczmy nam pieniędzy, jeśli ja... – Antonia wyciągnęła z szafki karafkę z winem i napełniła spory



kieliszek.

Maria się roześmiała.

– Jesteś właścicielką burdelu, moja droga, nie damą z wyższych sfer. Czego się spodziewałaś?

– Spotkania w interesach. Liczyłam na to, że okaże się zawodowcem.

– Rozwinęłam to przedsięwzięcie z niczego, Antonio. Kiedy zaczynałam, moje ciało było jedynym towarem do wymiany. Trzeba przyznać, że pierwszorzędnym. Nie unosi się dumą.

– Nie jestem na sprzedaż, Mario.

– Być może jeszcze nie. Zmienia się świat, w którym żyjemy, i jeśli zechcesz zachować dotychczasowy poziom, niekiedy będziesz musiała się zdobyć na poświęcenia. W końcu to tylko praca. Jak pomyślisz, że chodzi o bezpieczeństwo i przyszłość miejsca, które zapewnia ci jedzenie, dach nad głową i przynosi dochód, to poświęcenie nie musi się okazać tak przykre, jak sądzisz. Z pewnością są gorsze rzeczy niż jeden wieczór z mężczyzną bogatym, nieszkodliwym i czystym.

Antonia popatrzyła przez okno na ulicę. Na przeciwległym chodniku stała żebraczka z dwojgiem dzieci. Cała trójka wyglądała tak, jakby nie jedli od tygodnia. W Madrycie roilo się od biedaków przybywających z ubogich przedmieść i wiosek, skąd wyganiał ich głód spowodowany długotrwałą suszą. Stanowili istny obraz nędzy i rozpacz, zawieszenia między życiem a śmiercią.

Dawniej, kiedy nosiła inne nazwisko, miałyby zapewne jakiś wybór. Tutaj, w starej części Madrytu, był mocno zawężony. Mogłyby zacząć wyprzedawać meble i przedmioty osobiste, lecz to nie rozwiązywało problemu braku gotówki. Czynnosc za dom był wysoki, a z uzyskanych wpływów nie było co marzyć o jakiegokolwiek przebudowie. Była współwłaścicielką burdelu i wkrótce, raczej prędzej niż później, zostanie również dziwką. To nieuniknione.

– Dobrze – usłyszała własny głos jak gdyby z pewnej odległości. – Umów na pojutrze spotkanie z *señorem* Mateo Moralem. Postaram się o odnowienie umowy w sprawie pożyczki.

Wychodząc z pokoju, zatrzymała wzrok na swoim odbiciu w lustrze wiszącym nad kominkiem. Ufarbowane na rudo włosy wyglądały wulgarnie. Czy taka kobieta mogła się spodobać jakiegokolwiek mężczyźnie?

– Chciałabym, żebyś była szczęśliwa, Antonio. A tak się nie stanie, jeśli znajdziemy się na ulicy.

– W życiu są ważniejsze rzeczy niż osobiste szczęście, Mario.

– Na przykład sekrety, które wyciągasz od Francuzów?

– Skąd wiesz?

– Zauważyłam, że przeglądasz bagaże i kurtki mundurów francuskich żołnierzy, którzy do nas przychodzą. Poza tym krążą pogłoski.

– Jakie pogłoski?

– O twoich kontaktach z pewnym przystojnym arystokratą, który wspiera wojnę o niepodległość. Musisz być ostrożniejsza, Antonio. Francuzi są wszechobecni, począwszy od Józefa Bonapartego w pałacu Burbonów po francuskich urzędników

administrujących znaczną częścią ziemi hiszpańskiej. Dobrze o tym wiesz.

Antonia zamarła. Zawsze była bardzo ostrożna. Na potajemne spotkania chodziła w blond peruce, posługiwała się wytwornym kastylijskim narzeczem, starannie osłaniała twarz kapeluszem, ubierała się tak jak przed laty, kiedy mieszkała na północy kraju, nazywała się Alejandra Fernandez y Santo Domingo, i wtedy, gdy poznała kapitana Luciena Howarda.

Z tęsknoty za nim płakała całymi dniami przez co najmniej półtora roku po pożarze. Teraz odwiedzał ją w snach.

– Kto jeszcze wie? – zapytała szeptem, pośrednio potwierdzając podejrzenia Marii.

– Nikt. Jestem stara i źle sypiam. Dostrzegam to, czego inni nie widzą, i martwię się o ciebie. Jesteś taka samotna, zgorzkniała. Czy jest ktoś, do kogo mogłabyś zwrócić się o pomoc?

Kilka miesięcy po utracie ojca, hacjendy i całego swojego dziedzictwa trzykrotnie zwracała się listownie o pomoc do hrabiego Ross. Zachowała sygnet, bo nie dowierzała posłańcom, przez których wysyłała listy. Czekala na jego przybycie na wzgórzach nad niewielkim portem w Pontevedrze. Spędziła tam kilka miesięcy, aż stało się to zbyt niebezpieczne. Miała też dość bytowania w prymitywnych warunkach.

Nie przybył ani tam, ani później do Madrytu, skąd odprawiła czwarty list. Zapłaciła za jego dostarczenie swoim ulubionym nożem, wciąż mając nadzieję, że przynajmniej ta przesyłka dotrze do adresata. Wtedy poinformowała go o tym, że spodziewa się dziecka. Na czerpanym papierze z wytłoczonym rodowym herbem otrzymała odpowiedź krótką i jednoznaczną, pod którą figurował podpis Luciena.

*Nie pisz więcej. Nie będę odbierał żadnych listów od ciebie. Jeśli nadal będziesz upierała się przy swoich kłamliwych stwierdzeniach, zwrócę się do adwokata, żeby poczynił przeciwko Tobie stosowne kroki prawne.*

Kilka miesięcy później w czytelni biblioteki w Madrycie przeczytała o Lucenie w gazecie angielskiej. Było w niej zawiadomienie o spodziewanym ślubie hrabiego Ross z lady Clarą Higham-Browne, córką wicehrabiego. Z towarzyszącego zawiadomieniu artykułu wynikało, że od dawna zaprzyjaźnione rodziny narzeczonych są bardzo szczęśliwe z tego związku. Alejandra czytała artykuł tyle razy, że zapamiętała każde zawarte w nim słowo.

Bóle porodowe wystąpiły jesienną nocą. Oczekiwane z radością dziecko, pamiątka po chwili szczęścia, urodziło się małe i niezdolne do życia. Niemal natychmiast po przyjściu na świat chłopczyk przestał oddychać.

Po utracie synka Alejandra starała się zapomnieć o obietnicach angielskiego kapitana i podjęła współpracę z Marią. Rok później ktoś ukradł sygnet Luciena z jej osobistej sypialni, którą zajmowała w domu schadzek, a różaniec sama rzuciła do rzeki Manzanares, ponieważ utraciła wiarę w Boga, a wraz z nią nadzieję.

– Nie martw się, Antonio. – Do świadomości Alejandry przedarł się głos Marii. – Zawsze może być gorzej. Mogłybyśmy się znajdować na ulicy, bez dachu nad głową i widoku na posiłek. Tymczasem mamy świeżą wołowinę na obiad i fasolkę z ogrodu. Moja mama zwykła powtarzać, że trzeba żyć dniem dzisiejszym, i myślę, iż miała rację. Zachowałam na czarną godzinę swoje perły. W lombardzie dadzą mi za nie tyle, że starczy

nam przez parę miesięcy na opłacenie czynszu.

Tak tu się żyło w La Latinie, dzielnicy, która niemal z dnia na dzień powstała w miejscu dawnej cytadeli arabskiej. Alejandra przyznała w duchu słuszność Marii. Nie ma nic trwałego; dzisiaj jest tak, jutro inaczej.

*Señor* Mateo Morales, syn Alberta Moralesa, nie jest złym człowiekiem. Jeśli ona chce utrzymać i kontynuować obecne przedsięwzięcie, będzie musiała zaspokajać potrzeby, o których wspomniał. Dawno już skończyły się czasy, kiedy miała dość pieniędzy, by robić to, co jej się podoba.

Westchnęła ciężko. Moralność i wierność zasadom są luksusem bogatych. Ona nie może sobie na nie pozwolić.

Antonia z niesmakiem wkładała cienki jak pajęczyna peniuar. Eloisa ułożyła jej włosy w kunsztowne loki, twarz umalowała grubo i krzykliwie.

Pomyślała, że wygląda jak w przebraniu, ucharakteryzowana niczym aktorka przed wyjściem na scenę. Nadgarstek prawej ręki i kostkę lewej nogi zdobiło mnóstwo cienkich bransoletek, które przy najmniejszym poruszeniu wydawały dźwięki przypominające muzykę szczególnego rodzaju. Pieśń ladacznicy. Nasmarowana oliwą skóra połyskiwała w świetle świec.

*Señor* Mateo poprosił o zarezerwowanie dla niego godziny, by porozmawiać, jak twierdziła Eloisa, ale ponieważ służący, który przyszedł umówić spotkanie, zachowywał się bardzo wyniośle, nie śmiała zadawać pytań.

Służący podkreślił, że jego pan nie chce ani czekać, ani być widzianym przez kogokolwiek. Przekazał także wiele innych życzeń odnośnie do tego, czego jego pan woli uniknąć. Antonię zdziwiły te wymagania, ponieważ w jej odczuciu nie bardzo pasowały do wizerunku mężczyzny, z którym widziała się tydzień wcześniej.

Zegar stojący w rogu pokoju wskazywał za dziesięć dziesiątą. Antonia nie była młodą dziewczyną, nie była też dziewczą. Była dwudziestosześcioletnią wdową, doświadczoną przez życie, z ciałem poznaczonym bliznami. Wyzbyła się oporów. To tylko jedna noc na tydzień z mężczyzną, który nie jest ani gwałtownikiem, ani zbrojcem. Ta jedna noc w tygodniu uratuje wszystkich żyjących w burdelu na wysokim brzegu rzeki San Pedro, toczącej wody do Manzanares.

Usłyszała kroki na korytarzu i pukanie do drzwi. Wcześniej poprosiła o tę grzeczność, nie chciała być zaskoczona. Podeszła do okna, spojrzała na roztaczający się z niego widok na dzielnicę, na zabudowania starego szpitala La Latiny, odległe o dobrą milę.

„Wszyscy bowiem zgrzeszyli i pozbawieni są chwały Bożej”<sup>[2]</sup>...

Od lat nie przypominała sobie słów Pisma Świętego i nie wiedziała, dlaczego robi to teraz. Przecież dawno już utraciła przekonanie, że wiara jest źródłem zbawienia.

Na gzymsie nad kominkiem paliła się jedna świeca, reszta pokoju tonęła w półmroku. Lucien czekał, aż służąca wyjdzie i zamknie za sobą drzwi. Wzrok stopniowo przyzwyczajał się do ciemności.

Pokój był duży i dobrze umeblowany, świadczył o zamożności zamieszkującej w nim kurtyzany. W powietrzu dawało się wyczuć zapach olejku roślinnego zmieszanego z innym, bardziej słodkim. Jaśminu?

Kurtyzana, zapewne Antonia Herrera y Salazar, stała przy oknie, zwrócona do niego tyłem. Była ubrana w niewiele zasłaniający cienki peniuar. Jasnorude włosy, skręcone w loki, opadały na ramiona. Na szyi miała sznur pereł, których zameczek zaczepił się o peniuar, przez co perły wisiały krzywo.

Lucien nie odzywał się, czekał, aż kobieta się odwróci. Upłynęło dziesięć sekund, a potem drugie dziesięć, ale ona wciąż stała do niego tyłem. Była drobna i szczupła. Sprawiała wrażenie, jakby się bała.

– Zanim pójdziemy do łóżka, pragnę pana poinformować, że oczekuję, iż dotrzyma pan złożonej obietnicy, *señor* Morales – powiedziała wysokim głosem z akcentem z okolic León, który zabrzmiał sztucznie. – Nie zgadzam się na pocałunki.

– Morales? – Nie rozumiał, dlaczego tak go nazwała. – Chyba zaszła pomyłka, *señora*. Przyszedłem tylko porozmawiać.

Odwróciła się i jej zdziwienie zmieniło się w przerażenie.

– To ty? – spytała.

– Alejandra? – Lucien rzucił się ku niej i uchwycił jej drobną dłoń o aksamitnej skórze.

Wyrwała mu ją, jakby jego dotyk parzył.

– Ty... ty... jesteś...? – Właściwe słowo nie mogło Lucienowi przejść przez gardło.

– Dziwką – odpowiedziała bez skrępowania.

Ordynarny makijaż, jaskrawo ufarbowane włosy, dzwoniące bransoletki na przegubie i kostce, peniuar, który niewiele skrywał – to wszystko kłóciło się z obrazem dawnej Alejandry, jaki Lucien przechowywał w pamięci przez lata.

– Są gorsze sposoby zarabiania na życie, kapitanie, znacznie gorsze, o których nie masz pojęcia. Ten burdel to teraz mój dom.

Lucien myślał, że padnie rażony piorunem na łóżko z aksamitnym baldachimem. Zapach olejku, którym było nasmarowane ciało Alejandry, prześwitujące przez peniuar, był tak intensywny, że aż dusił.

– Dlaczego?! – zapytał wstrząśnięty. – Przecież mogłaś być kimś zupełnie innym, a jesteś zwykłą... – Urwał wciąż niezdolny do wypowiedzenia tego określenia.

– Niestety, nie mogłam i stałam się, kim jestem. – Na policzkach Alejandry wystąpiły czerwone plamy. – Przeżyłam, kapitanie, a trudności mnie wzmocniły. Teraz jestem panią Antonią Herrera y Salazar, kurtyzana, zupełnie inną kobietą niż ta, którą znałeś.

Uniosła do ust kieliszek napełniony, sądząc po kolorze, brandy i wypła do dna, starając się zlekceważyć jego obecność. Lucien nie mógł tak po prostu odejść. Musiał się dowiedzieć, jak ona znalazła się w domu schadzek przy bocznej uliczce w jednej z najuboższych dzielnic miasta.

– Miałaś wuja...

– Umarł – ucięła.

– A sygnet, który ci dałem?

– Został mi ukradziony. – Roześmiała się gardłowo. – Nie chcę cię tu widzieć, milordzie, płacącego za usługę, której kiedyś udzieliłam ci za darmo, i jednocześnie

prawiącego mi nauki, jak mogłam uniknąć tego losu. Byłoby rozsądniej, gdybyś wyszedł z mojego pokoju. Są tu inne kobiety, które zaspokoją twoje potrzeby, a na mnie na pewno czeka kolejka klientów, którzy mnie lubią taką, jaką się stałam.

Alejandra mimowolnie skierowała wzrok w okolice krocza Luciena. Wiedział, że musiała dostrzec, co się z nim działo.

– Kogo sobie życzysz? Dziewczyne czy kobietę, kapitanie? Burdel Santa Maria oferuje różnorodny wybór i w każdym wieku.

Zdruzgotany Lucien nie odpowiedział. Miała przesadnie wielkie kolczyki z taniego szkła. Piersi wylewały się z przezroczysej koronki, sutki były ciemniejsze, niż zapamiętał, i te wydęte wargi, rozbiegane oczy... Stała się karykaturą młodej kobiety, delikatnej i jednocześnie zdecydowanej, wstrzemięźliwej i zarazem namiętnej, którą kiedyś znał.

Zorientował się, skąd się wziął ziołowy zapach, który wyczuł zaraz po wejściu. Był zszokowany.

– Narkotyzujesz się? Co bierzesz?

– Laudanum. Rozluźnia napięcie ciała, wzmacnia duszę. Bardzo użyteczny środek w mojej pracy. Daję ci słowo, niekiedy nie mam go dość.

Rozchyliła poły peniuaru, wystawiła na jego widok swoją nagość. Uśmiechnęła się lubieżnie, czerwona szminka, której gruba warstwa pokrywała wargi, odbijała się na zębach.

Lucien bez słowa odwrócił się ku drzwiom.

## Rozdział jedenasty

Alejandra obudziła się i zmrużyła oczy, ponieważ jej sypialnia była zalana słońcem. Pomyślała, że dochodzi południe. Zauważyła siedzącą obok łóżka Marię, która patrzyła na nią z troską, i poczuła, że ma kompres na głowie.

– Wczoraj wieczorem przesadziłaś z laudanum, Antonio – powiedziała z lekką przyganą w głosie Maria. – Tak działa na kogoś, kto nie jest do niego przyzwyczajony. Ostrzegalam, że jeden kieliszek wystarczy, a ty wypijałaś trzy.

Mimo kompresu ból rozsadzał Alejandrę czaszkę, światło słoneczne mocno raziło w oczy. Poprosiła Marię, żeby zasłoniła okno.

– Wzięłam jeden przed przyjściem... klienta, a potem dwa po jego wyjściu.

– *Señor* Mateo nie wyglądał na lichwiarza, z jakimi zazwyczaj miałam do czynienia. Nie prezentował się też jak mężczyzna, który potrzebowałby płacić za damskie towarzystwo.

– To nie był Mateo Morales, Mario. Eloisa wpisała tylko *señor* Mateo, ale bała się zapytać o nazwisko. Wydedukowała, że chodzi o Moralesa.

– A zatem kto to był?

– Żołnierz, Anglik. Mój dawny kochanek.

– A teraz kim jest dla ciebie?

Alejandra zagłębiła głowę w poduszkę. „Mogłaś być kimś zupełnie innym, a jesteś zwykłą...”. Te słowa Luciena wykluczały wszelką nadzieję na porozumienie. Postarała się więc, by nabrał pewności, że się nie myli. Chciała go zniechęcić, a jednocześnie przytrzymać, dopóki nie zagra swojej roli do końca.

Tysiąc dni rozłąki, które każde z nich przeżyło w odmienny sposób, pozostawiło po sobie piętno, ale naznaczyło ich inaczej. O ile dawniej różnice przyciągały ich do siebie, to obecnie bezapelacyjnie dzieliły. Człowiek jest sumą utraconych możliwości, a ona utraciła ich wiele. Synowi dała na imię Ross na pamiątkę po ojcu. Żył zaledwie kilka minut, po czym wydał ostatnie tchnienie. Po jego śmierci resztką nadziei, która się w niej jeszcze tliła, nieodwołalnie zgasła. Codziennie odwiedzała go na cmentarzu.

– Nie chcę nigdy widzieć Luciena Howarda – powiedziała.

– Jak wróci, powiem mu, że wyjechałaś. Dokąd wolisz, do wuja w Almeidzie czy do kuzyna w Kadyksie? Mam rodzinę w obu tych miastach, mogę go wysłać i tu, i tam.

– Dzięki.

Następnego wieczoru Lucien przyszedł do domu schadzek przy ulicy Segovia, gdzie usłyszał, że nie zastał Alejandry.

– Wyjechała do Kadyksu – poinformowała go starsza kobieta.

Nie widział powodu, by jej nie uwierzyć.

– Rozumiem. A czy ma się tam gdzie zatrzymać?

– Oczywiście. Piękna kobieta jest wszędzie mile widziana. W naturze mężczyzn leży chęć pomagania pięknym kobietom.

– Przebywa w takim przybytku jak ten?

– Antonia nie urodziła się w czepku, proszę pana. Może lubi tę pracę, a może jej

potrzebuje.

– Proszę ją poinformować, że każdego przedpołudnia przez najbliższy miesiąc będzie mogła mnie zastać w czytelni przy bulwarze Paseo de Recoletos. Jeśli zechce ze mną porozmawiać, będę na to gotowy. Proszę także przekazać jej to. – Lucien położył sygnet na stoliku ustawionym pod ścianą.

Starsza kobieta ze zdziwieniem sięgnęła po sygnet.

– Pański?

– Tak. Jestem major Lucien Howard, hrabia Ross.

– Ross? – powtórzyła. – Na pewno przekażę jej sygnet, milordzie. Przysięgam na Boga. Mam nadzieję, że dla własnego dobra przyjdzie porozmawiać z panem do czytelni na Recoletos.

– Mogę panią jeszcze o coś zapytać, *señora*? Czy przychodzą tu francuscy żołnierze?

– Owszem, często.

– Czy pani jest zwolenniczką Napoleona i osadzenia jego brata, Józefa, na tronie hiszpańskim?

Starsza kobieta nie odpowiedziała, ale jej milczenie było wymowne. W Hiszpanii niebezpiecznie byłoby wypowiadać się szczerze w tej sprawie wobec nieznajomej osoby.

– Dziękuję.

Dzielność przybiera różne formy, pomyślał po wyjściu Lucien. Był pewny, że Alejandra nie wyjechała z Madrytu. Obejrzał się, w nadziei że zobaczy jakiś ruch w oknach, ale niczego nie dostrzegł. Nie pojawił się żaden cień, nie poruszyły firanki.

Czy możliwe, że córka El Vengadora sypia z wrogami, żeby pomagać swojej ojczyźnie? Uznał, że to wielce prawdopodobne. Spodziewała się kogoś innego, nie jego, z jej ust padło nazwisko Morales. Niewykluczone, że ten ktoś nazywa się Mateo Morales. Postanowił dowiedzieć się czegoś o tym człowieku. Lucien dopatrywał się desperacji oraz przygnębienia w zachowaniu Angeliny. Przysiągł sobie, że dowie się, jakie okoliczności skłoniły ją do zamieszkania w domu publicznym i ukrywania się pod nie swoim nazwiskiem. Instynkt podpowiadał mu, że natrafił na niebezpieczną i skomplikowaną grę.

\* \* \*

Alejandra poszła do lombardu na Calle Preciados, gdzie sprzedała sygnet, czwartego dnia po spotkaniu z Lucieniem Howardem. Dostała kwotę wystarczającą na opłacenie trzymiesięcznego czynszu z tytułu wynajmu domu.

Kupiła sobie dziewięćdziesiąt dni spokoju, przy czym wcale nie było jej przykro pozbywać się sygnetu, ponieważ nic już dla niej nie znaczył, za to przypominał fałszywe obietnice, o których wołała zapomnieć.

Sądziła, że Lucien Howard, zostawiając sygnet Marii, chciał wyrazić skruchę i jednak się ostatecznie pożegnać, mimo że ponoć był skłonny z nią porozmawiać. Musiał mieć poczucie winy z powodu tego, co się między nimi wydarzyło. Postanowiła przyjąć podarunek w takim duchu, w jakim był ofiarowany, a za uzyskane pieniądze kupić sobie trochę czasu na przemyślenie planu działania na przyszłość.

Maria nie akceptowała jej podejścia, bo nie wiedzieć czemu uległa urokowi

angielskiego arystokraty.

– Dlaczego jesteś taka uparta, Antonio? Przez upór tracisz rozeznanie w tym, co jest dla ciebie dobre. Nie rozumiem, z jakiego powodu nie przejdiesz się do biblioteki na Paseo de Recoletos i z nim nie porozmawiasz. Wydaje się rozumnym człowiekiem. Przedstawił się jako hrabia Ross. Domyślam się, że to on był ojcem twojego dziecka.

– Moje dziecko nie żyje i jest pochowane w grobie. Gdyby Lucien Howard chciał mnie znaleźć, mógł to z łatwością uczynić. Napisałam i wysłałam do niego do Anglii kilka listów, podając swój adres, ale on najwyraźniej nie życzył sobie żadnych kontaktów. Teraz jest za późno zarówno dla niego, jak i dla mnie.

– Bo on myśli, że jesteś dziwką?

– Nie. Dlatego, że nią jestem.

– Ale przecież nigdy...

– Odurzam środkami nasennymi francuskich żołnierzy, kradnę ich dokumenty i osobistą korespondencję. Nie mam żadnych oporów w oddawaniu ich tym, którzy są gotowi dobrze za nie płacić. Trzymam w swoim domu dziewczęta i umożliwiam im wykonywanie procederu, który w głębi serca uważam za naganny.

– Od samego początku, kiedy przybyłaś tu cztery lata temu, byłaś zanadto surowa dla siebie.

– Dlatego, że kiedyś byłam zupełnie inna. Kapitan Howard taką mnie znał.

– Czy on wie, że przekazujesz ważne informacje brytyjskiemu wywiadowi i że dbasz o zatrudnione dziewczęta? Czy ma świadomość, jak niebezpieczne są ulice Madrytu dla bezdomnych, bezbronnych i starych kobiet, którym pomagasz, biorąc je do siebie?

– Jest hrabią zajmującym wysoką pozycję w społeczeństwie angielskim. Byłabym mu tylko kulą u nogi. Tym bardziej że nie mógłby już nawet mnie polubić.

Nie dodała, że po urodzeniu Rossa jej ciało się zmieniło. Nie była już taka świeża i piękna jak dawniej. Upływ czasu oraz przeżycia zrobiły swoje. Nie zamierzała się nad sobą użalać. Wszystkie łzy wypłakała przed laty. Próżnością graniczącą z głupotą byłoby sądzić, że Lucien Howard przybył niczym rycerz na białym koniu, aby ją uratować od złego losu i się nią zaopiekować. Przyszedł do domu schadzek, by kupić usługi dziwki, i nic nie świadczy o tym, że było inaczej. Poza tym jest żonaty, jakkolwiek nie dostrzegła obrączki na jego palcu.

Nie zniosłaby kolejnego odrzucenia ze strony mężczyzny, o którym sądziła, że jest człowiekiem honoru, prawym i dzielnym. Poza tym jej przeszłość i tak szybko zniszczyłaby wszelką bliskość między nimi, gdyby do niej na nowo dopuściła.

Zarówno dla niego, jak i dla niej byłoby najlepiej, gdyby wyjechał.

Francuski żołnierz szybko zasnął i będzie jeszcze spał przez jakiś czas po laudanum, które mu Alejandra podała. Eloisa, jedna z najmłodszych dziewcząt w burdelu, ułożyła się przy nim i pilnowała, by się nie ocknął. Tymczasem Alejandra przeszukiwała jego ubranie za specjalnie rozwieszoną w tym celu kotarą wzdłuż jednej ze ścian pokoju. Pomyślała, jak łatwo usypiać czujność tych chłopców. Wystarczy kilka miłych gestów i kieliszek wina, żeby mogli wnieść toast za króla i imperium powołane do władzy nad całym cywilizowanym światem.



W kieszeni wojskowej kurtki znalazła tylko krótki zapisany kodem dokument. Widywała podobne już wcześniej. Dla niej były to bezsensowne sekrety wojenne, które mogły zrozumieć tylko osoby powołane do ich odbioru. Skopiowała treść dokumentu w swoim pokoju, po czym jeszcze raz sprawdziła, czy wszystkie litery i wiersze wyglądają dokładnie tak samo, jak w oryginale. Anglicy dobrze zapłacą za kopię, a żołnierz, chociaż taki młody, umieścił na kurtce munduru wiele odznaczeń.

Sporządzoną kopię wetknęła między kartki swojego dziennika i włożyła do skrytki w tylnej części biurka. Oryginał odniosła i włożyła do tej samej kieszeni, z której go wyjęła, po czym dała znak Eloisie, że skończyła. Żołnierz nadal spał, ale mógł się obudzić w każdej chwili.

Nagle drzwi otwarły się z takim impetem, że omal nie wypadły z zawiasów. Z głębi domu dochodziły płacz i krzyki. Do pokoju wtargnęło kilku francuskich żołnierzy.

– Idziesz z nami! – rozkazał Eloisie oficer.

Dziewczyna wyskoczyła z łóżka. Koronkowa koszula nocna nie osłaniała dostatecznie jej nagości – biust był dobrze widoczny.

– Ze mną powinien pan porozmawiać, *monsieur*. Dziewczynę proszę zostawić w spokoju – odezwała się Alejandra.

Oficer wymierzył jej policzek tak siarczysty, że poczuła w ustach krew. Przestraszyła się, ale i ucieszyła, gdyż oficer pozwolił Eloisie uciec z pokoju.

– Właśnie po to przyszedłem, *señora* Antonia Herrera y Salazar.

Podszedł do krzesła, na którym śpiący żołnierz starannie ułożył mundur. Znalazł w kieszeni kurtki dokument, wyjął go i podsunął Alejandrze pod nos.

– Wiemy, że szpieguje pani na rzecz Anglików. Wykrada pani informacje żołnierzom, którzy mają to nieszczęście, że zabłądzili pod ten dach. Usypia ich pani narkotykami? Tak to się odbywa?

– Nie – próbowała udawać, że nie wie, o czym on mówi. – Ja tu tylko pracuję, a on śpi.

– Obudzić go – polecił oficer żołnierzom.

Bez ceregieli wyciągnęli nagiego kolegę z łóżka, choć nadal spał. Oficer znowu mocno spoliczkował Alejandrę. Trafiał w nos i przestraszyła się, że został złamany. Dobrze, że chociaż nie wybił jej zębów. Do pokoju wpadła Maria, torując sobie drogę uniesioną w górę laską.

– Zostawcie ją! – zawołała. – Nie robi tego, o co ją podejrzewacie! To porządna dziewczyna.

Jeden z żołnierzy odepchnął Marię. Upadła, uderzając głową o kant ceglanej podmurówki kominka i znieruchomiała. Alejandra widziała, co się stało, ale nie wierzyła, że to dzieje się naprawdę. Jednak szklany wzrok Marii nie mógł mylić. Wielokrotnie patrzyła na oczy martwych ludzi i teraz zobaczyła je na tle bordowej aksamitnej kotary i wyfroterowanych desek podłogi. Lakierowana laska Marii potoczyła się w kąt w jakimś makabrycznym tańcu i tam się zatrzymała.

Alejandra zapragnęła wziąć w ramiona kobietę, która przygarnęła ją, kiedy była ciężarna i bezradna, zapewniła jej dach nad głową i bezpieczeństwo. Postąpiła krok w stronę martwej Marii, ale oficer bez słowa wyciągnął pistolet i wymierzył nim cios

w tył głowy Alejandry.

Ocknęła się w celi. Była naga. Drżała raczej ze strachu niż z zimna, chociaż na kamiennej posadzce, na której leżała, było jedynie trochę słomy.

Wiedziała, jaki był los kobiet więzionych przez Francuzów. O wielu z nich słuch zaginął, a te, które opuszczały więzienie, nie były sobą. Wojna wydobywała z ludzi najgorsze cechy, unicestwiała zasady, przyczyniała się do gwałtów i okrucieństw, jakie trudno było sobie wyobrazić w czasie pokoju. Pomyślała, że prawdopodobnie Francuzi znaleźli skopiowany przez nią dokument – jednoznaczny dowód jej winy. Los szpiegów był nie do pozazdroszczenia.

W pozbawionej okna celi panowała nieprzenikniona ciemność, czarna i gęsta jak smoła. Ściany musiały być również kamienne, podobnie jak posadzka. Wykluczone, by można było spróbować zrobić podkop. Zresztą, szkoda energii, będzie jej jeszcze potrzebowała. Bolała ją głowa i była podrapana. Nos i policzki opuchły, ale do tej pory nie została zgwałcona. Pomacała twarz, wyczuła pod palcami rozciętą dolną wargę.

Z zadziwiającą jasnością uzmysłowiła sobie, że nie boi się śmierci. Nie miała po co żyć, skoro Maria odeszła, a Ross od dawna był na tamtym świecie.

Chciałaby się pomodlić, odnaleźć słowa, które kiedyś tyle dla niej znaczyły, były przewodnikiem i wskazywały prawdę. Zaczęła odmawiać „Wierzę w Boga Ojca”, ale przestała. Bóg będzie wiedział, że nie mówi prawdy. Ona od lat nie czeka na boskie wspomnienie, nie może więc jawnie kłamać.

Alejandra zeszytywniała, słysząc ruch w lewej części korytarza. Za kratą stanął ktoś ubrany na czarno, w bezkształtnym kapeluszu na głowie. Nie odezwał się słowem. W zamek ciężkiej kłódki włożył kawałek drutu i kłódka puściła. Odsunął kratę, wyciągnął Alejandrę z celi, ramiona i głowę okrył kocem. Czowała, że miał skórzane rękawiczki na dłoniach. Rozpoznała w nim Luciena Howarda.

Nie miała pojęcia, co on zamierza, ale prowadził ją z pewnością człowieka, który zna drogę.

– Tędy – szepnął.

Stanęła na czymś ostrym i rozcięła sobie piętę. Poczwała ból, ale zmilczała.

Lucien podsadził ją w górę i wypchnął przez okno. Owionął ją nocny chłód. Spadła dobrych kilka stóp poniżej na miękką trawę i sturlała się na dno zagłębienia w gruncie. Szybko poderwała się na nogi. Biegiem przemierzali otwartą przestrzeń okalającą pogrążony w ciszy kamienny budynek. Zaczynało świtać, kiedy znaleźli się na porośniętych wysokimi zaroślami pagórkach. Zatrzymali się dopiero tam, gdzie mogli się skryć za gęstymi krzewami.

– Cholera. – Lucien zauważył krwawiącą stopę Alejandry. – Kiedy to się stało?

– W budynku – ledwie zdołała odpowiedzieć. Brakowało jej tchu.

Zdjął pelerynę, kazał jej na niej usiąść i dźwignął w górę. Niósł ją tak długo, aż natrafili na strumień.

– Stój na środku i nie dotykaj żadnych zwisających gałęzi – polecił.

Nie chciał, by zostawiła ślady w postaci urwanych liści czy ułamanych gałązek. Alejandra doskonale to rozumiała.

Upłynęła godzina, potem kolejna i następne dwie godziny. Słońce stało wysoko na

niebie. Dawno temu oddalili się od strumienia. Woda powstrzymała krwawienie, a rozcięcie zasklepiło się pod wpływem zimna. Usiedli, by odpocząć. Alejandrę dręczyło pragnienie. Lucien musiał się tego domyślić, bo podał jej flaszkę z wodą zaczerpniętą ze strumienia. Kiedy piła, patrzył na nią obojętnie. Oddała mu flaszkę, okryła wystające spod koca nogi.

– A teraz *señorita* Alejandra Fernandez y Santo Domingo opowiesz mi dokładnie, co się z tobą, u diabła, działo i dlaczego zamieszkałaś w domu publicznym i udawałaś dziwkę.

– Udawałam?

– Dość – uciał ostro.

Już nie był obojętny, tylko taki, jakim go pamiętała sprzed lat – zaangażowany, opanowany, rozumny.

– Wyprowadziłem cię z francuskiego więzienia, bo kiedyś ty uratowałaś mnie od śmierci. Wiem, że co najmniej od trzech lat sprzedawałaś informacje wywiadowcze Anglikom.

Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru. Była to ta sama kartka, na którą ona przepisała zaszyfrowany dokument, wyjęty z kieszeni uśpionego francuskiego żołnierza... wczoraj? Czy może przedwczoraj?

– Cud, że Francuzi tego nie odkryli. Skrytkę w biurku łatwo było znaleźć. Jedna z kobiet zatrudnionych w burdelu wyjaśniła mi, że byłaś jego współwłaścicielką, ale sama nie pracowałaś.

– Powiedziała ci także o śmierci Marii, tej starej kobiety, z którą razem prowadziłyśmy dom schadzek? Zabił ją francuski oficer. Co teraz? Co będzie ze mną?

– Już nie pełnię służby w wojsku, ale zaprowadzę cię do Brytyjczyków, którzy stacjonują na północy. Będziesz tam bezpieczna.

Nic więcej jej nie obiecywał. Pomógł jej, bo wcześniej ona nie zostawiła go na polu bitwy, gdzie by skonał. Teraz byli dwojgiem obcych sobie ludzi zdążających tam, gdzie nie dosięgnie jej zemsta Francuzów. Mimo wszystko chciała wyjaśnić pewne sprawy do końca.

– Chyba wiesz, że pisałam do ciebie do Anglii.

– Nigdy nie dostałem żadnego listu. Kiedy to było?

– Wkrótce po tym, jak wypłynąłeś z Pontevedry, a potem wysłałam jeszcze jeden list z Madrytu. Chciałam cię poinformować... – Urwała.

Nie będzie mówić o synku w takich warunkach, w czasie ucieczki. Nie wówczas, kiedy Lucien patrzy na nią jak na obcą. Ross zasługiwał na więcej niż przelotna wzmianka, a po niej zapomnienie. Ktoś jej odpisał. Jeśli nie on, to zapewne ktoś z jego rodziny, przestraszony, że prosta dziewczyna łamaną angielszczyzną prosi hrabiego Ross o uznanie ojcostwa jej nieślubnego dziecka.

– Bardzo długo chorowałem po przybyciu do Anglii. List mógł zaginać.

– Możliwe – mruknęła, chociaż odpowiedź, którą otrzymała z Anglii, złamała jej serce. Spaliła list wraz z woskową pieczęcią z hrabiowskim herbem.

Nagle wydało się Alejandrze, że wszystko to zdarzyło się bardzo dawno temu. Poczula się tak zmęczona, że pomyślała, iż jeśli położy się spać, to nie obudzi się

wcześniej niż za sto lat, niczym śpiąca królewna z bajki, którą opowiadała jej matka. Tyle że ona nie była królewną, lecz zbiegłą więźniarką i zdrajczynią. Kobieta złamaną, odartą z ubrania i godności.

– Powinnaś się przespać – stwierdził Lucien.

Posiadał zadziwiającą umiejętność czytania jej w myślach i znajdowania rozwiązań problemów, co odkryła już przed laty.

– W następnym miasteczku, na jakie natrafimy, znajdę ci coś do ubrania.

– Dziękuję za wszystko.

Mimo że nie powodowała nim miłość, gdy wykradł ją z francuskiego więzienia, była mu naprawdę bardzo wdzięczna. Przebiegł ją lodowaty dreszcz i jednocześnie ogarnęły mdłości na myśl, co by się stało, gdyby jej stamtąd nie wyciągnął. A gdyby jeszcze i jego pochwycili...

Zapra gnęła, żeby dotknął jej jak dawniej, wziął w ramiona i przytulił, ale to było niemożliwe. Miał surowy wyraz w oczach, kiedy na nią patrzył.

Nocą, gdy na niebie pojawił się księżyc, ruszyli w dalszą drogę. Po południu przyniósł jej z niewielkiej wioski ubranie i buty. Była przebrana za mężczyznę, bo tak mniej rzucali się w oczy. Następnego dnia udało im się znaleźć miejsca w publicznym dyliżansie kursującym gościńcem do Burgos.

Lucien nie zajmował się nią w drodze, całą uwagę koncentrował na tym, by bezpiecznie dotarli do celu. Alejandra nie rozmyślała o listach i odpowiedzi, jaką dostała, on nie wypytywał o jej pobyt w Madrycie. Zapanował między nimi swego rodzaju rozejm, delikatna młoda roślina zaufania była zbyt słaba, że nie przetrwałaby, gdyby jej dotknął. Rozmawiali wyłącznie o kwestiach praktycznych związanych z podróżą, najczęściej jednak milczeli.

Sprawa pożaru w hacjendzie wypłynęła czwartego dnia podróży. Minęli Burgos, pieszo zmierzali ku wybrzeżu.

– Myślałem, że zginęłaś w pożarze. W relacjach, jakie dotarły do mnie w Londynie, byłaś wymieniona wśród ofiar wraz z ojcem. Podobno nikt nie przeżył.

– To była zemsta Betancourtów. – Siedzieli pod konarami olbrzymiego dębu na skraju San Sebastian. Zmierzchało. – Znienawidzili nas po śmierci Juana, a kiedy nadarzyła się sposobność, zaatakowali. Zabicie Manola i Adana było wstępem do całej operacji. Czy w tej relacji, jaka do ciebie dotarła, wspomniano, co wydarzyło się po pożarze?

– Nie.

– Nie wszyscy domownicy zginęli w ogniu. Ci, którym udało się uciec, zostali zastrzeleni i ich ciała wrzucono do ognia.

– Gdzie byłaś, kiedy to się odbywało?

– Wracalam z Pontevedry drogą przez góry. Bardzo padało. Musiałam czekać, aż deszcz ustanie. To mnie uratowało.

– Skąd wiesz, co się stało w hacjendzie, skoro ciebie tam nie było?

– Tomeu udało się uciec. Znalazł mnie. Był bardzo poparzony, bo usiłował ratować z ognia mojego ojca. Umarł cztery dni później. Nie miałam przy sobie żadnych medykamentów, by mu opatrzyć rozległe rany, a bałam się zejść do wioski po ratunek. Po

jego śmierci przez całą noc obserwowałam dom ze wzgórza. Nikt nie przeżył. Ani ludzie, ani bydło. Wtedy opuściłam te tereny.

– Sama podróżowałaś?

– Tak. Dotarłam do Madrytu. Ściągam włosy i je ufarbowałam, przybrałam inne nazwisko.

Nie wspomniała, że wcześniej wróciła do Pontevedry i tam, na okalających wioskę wzgórzach, czekała na niego przez kilka tygodni, modląc się, żeby przyплыł z Anglii i ją uratował.

Lucien był pewny, że Alejandra nie mówi całej prawdy. Irytowały go ukradkowe spojrzenia, które mu rzucała. Wyraźnie unikała bezpośredniego kontaktu wzrokowego. Raziły go jej rude włosy. Nie mógł odżalować tamtych długich ciemnych splotów, które tak mu się podobały. Nie była to ta sama wyzywająco śmiała, dumna Alejandra Fernandez y Santo Domingo, której wspomnienie przechowywał w sercu, lecz zupełnie inna, zgaszona, zrezygnowana i bardzo smutna.

Nie przesuwiała palcami dłoni paciorków różańca; chyba w ogóle nie miała go przy sobie. Paznokcie były pomalowane na taki sam jaskrawoczerwony kolor, co włosy. Miejscami lakier odprysnął. W dylizansie do Burgos ukrywała dłonie w rękawiczkach, włosy i twarz osłaniała płóciennym kapeluszem z dużym rondem. Chodziła jak mężczyzna i jak on się zachowywała. Lucien nie mógł się nadziwić, że potrafiła tak doskonale wcielić się w rolę.

Nie starała się teraz ukrywać blizn na prawym nadgarstku, jak to czyniła w hacjendzie nad La Coruñą czy w górach Galicji. „Taka jestem”, wydawała się mówić całą sobą. „Zniszczona i zrujnowana. Nie obchodzi mnie, czy ci się to podoba, czy nie”. Mimo panującego gorąca koszulę zapinała pod samą szyję, wieczorami wysoko stawiała kołnierz zakietu, jakby chciała się przed nim kryć w obecnym przebraniu.

– Pochowałaś ojca?

– Nie. Zostawiłam go tam, gdzie zginął. Ciała były tak zwęglone, że nie dało się ich rozpoznać, zresztą, nie mogłam ryzykować, że ktoś mnie zobaczy. Straszliwy odór spalenizny prześladował mnie jeszcze przez długi czas.

Lucien spodziewał się, że mówiąc to, przeżegna się i odmówi modlitwę, ale tego nie zrobiła. To też różniło ją od dawnej Alejandry. W ciągu pięciu dni, które spędzili razem, ani razu się nie modliła. Było tak, jak gdyby zmiany wyglądu wynikały z przemiany wewnętrznej. Ani razu też nie spytała, co porabiał od czasu, gdy się rozstali.

– Wciąż nosisz nóż? – On sam nie mógł powstrzymać się od zadawania pytań.

– Nie.

– Nigdy?

Uśmiechnęła się po raz pierwszy od ucieczki z Madrytu. Wprawdzie nerwowo i ukradkiem, ale jednak. Zacheęcony, naciskał.

– Zapomniałaś, jak się nim posługiwać?

– Raczej utraciłam przekonanie co do celowości jego używania, kapitanie.

– Nie wiem, czy mam się cieszyć, czy martwić z tego powodu.

– Przynajmniej masz pewność, że nie dostaniesz ciosu między żebra w środku nocy.

Rozmowa zaczynała przybierać niepożądany obrót. Wstał.

Wciąż jej pragnął, choć nie powinien. Był na siebie zły, że tak się dzieje, ale nic nie mógł na to poradzić.

– Czas ruszać w drogę.

Zatarł grunt, na którym odpoczywali, podniósł swoją torbę. Siniaki na jej twarzy bladły, ten pod okiem również. Rozcięta dolna warga wciąż była opuchnięta. Szczęście, że francuski oficer nie poczęstował jej nożem. Obrażenia, które jej zadał, znikną bez śladu.

Słońce zachodziło na żółto. Najłżejszy szmer nie poruszał gałęziami drzew. Nieruchome liście lśniły pozłotą ostatnich promieni słonecznych. Lucien pomyślał, że zapamięta ten niezwykły moment. Piękny jest ten świat pomimo niebezpieczeństw, chaosu i niepewności.

## Rozdział dwunasty

Alejandra podziwiała pewność, z jaką Lucien Howard poruszał się w terenie. Wystarczyło mu rzut oka na kompas oraz spojrzenie w niebo i już wiedział, dokąd się kierować. Tak było zarówno kilka lat temu w okolicach La Coruñy i na bezdrożach Gór Galicyjskich, jak i teraz. Bez wahania wskazywał drogę wśród porośniętych gęstą roślinnością pagórków, zalanych światłem księżyca.

Nie wiedziała, dokąd ją prowadzi. Twierdził, że do obozu wojsk brytyjskich. Orientowała się, że armia pod dowództwem Wellingtona znajduje się gdzieś w pobliżu północnego wybrzeża, w jego wschodniej części.

Zapach spalenizny był początkowo ledwo wyczuwalny, wkrótce jednak zupełnie wyraźny. Lucien musiał go również wyczuć, gdyż zatrzymał się i wystawił twarz w stronę, z której dochodziły podmuchy wiatru.

– Płonie San Sebastian.

Kłęby dymu nad szczytami pagórków, które ujrzeli później, potwierdzały prawdziwość jego słów. Nie było jednak słyhać ani artylerii, ani innych odgłosów bitwy. Przyczaili się na szczycie jednego z pagórków otaczających miasto. Wschodzące słońce mieli za plecami. Z tej odległości dało się widzieć nadzwyczajny ruch na ulicach.

– Już po bitwie. Myślę, że miasto podpalili zwycięzcy.

– Anglicy? Oni wygrali bitwę?

– Gdyby nie oni, widzielibyśmy ich nadal pod ufortyfikowanymi murami od południa albo na drugim brzegu rzeki. Francuzami dowodził generał Rey. Niewątpliwie musiał wykorzystać do obrony miasta stare fortyfikacje. Jednak Wellington miał pod rozkazami dziewięć tysięcy ludzi z Piątej Dywizji Oswalda i pokaźną liczbę Portugalczyków, a Rey jedynie trzy tysiące. San Sebastian było skazane na upadek, gdyby Reyowi nie przyszedł z pomocą Soult, co nie nastąpiło, albowiem Soult znajdował się dużo dalej na wschodzie, u podnóża Pirenejów.

To szczegółowe i kompetentne wyjaśnienie upewniło Alejandrę, że Lucien Howard jest nadal związany z wojskiem. Nie odezwała się. Tymczasem on wyjął z plecaka niewielką lunetę, złożył ją i skierował ku murom miejskim.

– Idziemy – orzekł po jakimś czasie. – Zejdziemy do miasta i nie będziemy się ukrywali, jestem raczej pewny, że jest ono w rękach Anglików.

Ulicami przewalały się watahy zdemoralizowanych zwycięstwem pijanych żołnierzy brytyjskich. Wino i brandy lały się strumieniami.

Lucien pilnował, żeby Alejandra go nie odstępowała. Szczęśliwie wciąż była w męskim przebraniu. W bocznych uliczkach i zaułkach działy się rzeczy straszne – mordom i gwałtom nie było końca. Zza jednego z rogów wypadła wprost na nich na wpół ubrana dziewczyna. Goniło ją trzech pijanych żołnierzy angielskich.

– Pomocy – wyszeptała niemal bezgłośnie.

Lucien osłonił ją własnym ciałem przed napastnikami.

– To nasza hiszpańska dziwka. Jest ich tu mnóstwo. Starczy dla pana – próbowali pertraktować.

Lucien dobył pistoletu, wiedząc, że nie dotrą do nich słowne argumenty i że próba ich przekonania będzie nieskuteczna. Poza tym on był jeden, a oni byli we trójkę.

– Będziecie musieli mi ją odebrać – rzucił ostro, mierząc w najroślejszego z trójki. Widząc, że żołnierz sięga po nóż, strzelił mu w nogę powyżej kolana.

Koledzy postrzelonego obrzucili Luciena stekiem przekleństw i uciekli.

– Celny strzał – usłyszał za sobą głos Alejandry.

Był pełen podziwu, że zachowała zimną krew. Nie zamierzała się kryć, stała za nim, gotowa mu pomóc, chociaż nie miała broni. Nie okazała najmniejszego wahania, krztyny obawy. Natychmiast zajęła się nieprzytomną z przerażenia dziewczyną.

– Uciekli i nie wrócą – próbowała ją uspokoić.

Prawie natychmiast z pobliskiego domu wybiegł starszy człowiek.

– Bałem się, że cię zabiją. – Objął dziewczynę.

– Ten mężczyzna mnie uratował.

– Bogu dzięki. – Zniknęli za ciężkimi drzwiami.

Lucien miał nadzieję, że taka bariera wystarczy. W ciągu całej swojej służby wojskowej nie widział podobnego rozprężenia dyscypliny w regularnej armii i bezmiaru bezprawia.

– Musimy postarać się dotrzeć do Wellingtona i jego sztabu – powiedział do Alejandry. – Tu jest bardzo niebezpiecznie. Trzymaj się blisko mnie. – Wyciągnął z bagażu nóż. Wiedział, że ona go pozna. Zabójcze narzędzie, ostre i dobrze wysłużone. – Weź go i nie zawahaj się użyć w razie potrzeby.

\* \* \*

Kształt noża, który Alejandra ujęła w dłoń, był znajomy. Przypomniawszy jej, kim była kiedyś. Minęło zaledwie kilka lat, a zdawało się, że upłynęły wieki. Dawniej nie rozstawała się z nożem; gwarantował jej poczucie bezpieczeństwa. Podarowała go Lucienowi w pierwszych dniach jego pobytu w hacjendzie. Później, po śmierci synka i potem w Madrycie, kiedy przestało jej zależeć na życiu, nie nosiła przy sobie noża. Uznała, że ochrona przestała być potrzebna.

– Gdyby ktoś cię zaatakował, bez namysłu zabij – powiedział Lucien. – W anarchii, jaka tu panuje, nie ma żadnych reguł. Ty albo oni. Oko za oko, ząb za ząb.

– Mam tę świadomość. Przestałam wierzyć.

– W co? W Boga, niebo, piekło?

– W piekło jak najbardziej wierzę, w resztę nie.

Kiedyś religia nadawała sens życiu Alejandry, była źródłem siły. Obecnie utraciła tę moc. Doszło do tego z różnych powodów, również w wyniku świadomego wyboru.

– Rozejrzyj się, kapitanie, i powiedz, czy Bóg jest tu obecny?

– Może pozwala na to, co się dzieje, żeby ludzie wyciągnęli naukę na przyszłość.

Nie chciała podejmować tematu. Ta rozmowa najlepiej uwidoczniała prawdę o tym, kim oboje się stali, on i ona. Kusiło ją, żeby go zapytać, co porabiał w ciągu ostatnich czterech lat, ale się pohamowała. Uznała, że bezpieczniej będzie nie poruszać żadnych osobistych kwestii, ponieważ nieoczekiwanie zaczynało w niej odzywać poczucie więzi, jaka ich łączyła przed laty. Wydawało się, że w towarzystwie Luciena



opuściły ją złe emocje. Z wolna i ostrożnie rodziła się w niej nadzieja na odmianę losu, ale zdusiła ją, uznając, że niepotrzebnie się łudzi. Posłusznie ruszyła za Lucieniem do ogarniętego pożogą miasta.

– Ogromnie trudno opanować to szaleństwo. – Ian MacMillan, adiutant Wellingtona, prowadził ich do budynku przeznaczonego na oficerskie kwatery. – Ponieśliśmy wielkie straty podczas pierwszego szturm. Chociaż udało się dokonać wyłomu w murach, okazało się, że za pierwszym pierścieniem umocnień był kolejny, wewnętrzny, a to oznaczało, że nasi znaleźli się w pułapce na ziemi niczyjej. Wielu zginęło i stąd u tych, którzy przeżyli, ta wściekłość.

– Obfitość wina i brandy też ma z tym coś wspólnego, jak przypuszczam – zauważył Lucien. – Ulice były zawałone porzuconymi beczkami pełnymi alkoholu, który lał się do rynsztoków strumieniami.

– Rzeczywiście, w mieście zastaliśmy mnóstwo trunków. Żołnierze wpadli w amok. Grabili, palili, zabijali. Oficerowie próbowali ich powstrzymać, ale byli albo ignorowani, albo zastraszeni. Istne szaleństwo.

– I będzie to trwało do czasu, aż wszystko wypiją? A co robią Francuzi?

– Generał Rey wycofał się do Urgull. Jest tam niewielki garnizon okopany nad plażą. Wellington spodziewa się, że poproszą o warunki kapitulacji, są bowiem okrażeni, a on zgodzi się przyjąć ich kapitulację, gdyż po tym, co tu ma miejsce, stracił serce do dalszej walki.

– Kampania trwa bardzo długo.

– Równie długo jak pańska pod Moore'em. Słyszeliśmy, przez co przeszliście.

– Wy przynajmniej odnieśliście zwycięstwa.

Lucien Howard nie nosił munduru, lecz każdy, kto na niego patrzył, nie miał wątpliwości, że ma do czynienia z wojskowym. Świadczył o tym nie tylko jego wygląd, potwierdzało to także każde zadawane przez niego pytanie. Z zimną krwią strzelił dzisiaj w kolano pijanemu żołnierzowi, ratując przed zgwałceniem dziewczynę, lecz nikomu o tym nie wspomniał.

– Przenocujecie u nas? Tutaj na pewno będzie bezpieczniej niż w mieście.

Zrobiło się późno, od północnej strony nadciągała burza. Lucien spojrzał pytająco na Alejandrę, a ona skinęła głową.

Cztery godziny później zostali w końcu sami. Byli po zjedzonej w pośpiechu wczesnej kolacji. Wzdłuż przeciwległych ścian niewielkiego pokoju stały dwa łóżka. Mimo chłodu okna były na oścież otwarte. Na umieszczonym pomiędzy łóżkami stole paliły się świece, stała też butelka wina. Było to najbardziej luksusowe miejsce, w którym przyszło im spać od opuszczenia Madrytu.

Alejandrę ogarnęło zdenerwowanie. Na szczęście Lucien Howard ani jednym słowem czy gestem nie zasygnalizował, że chciałby wyjść poza swoją rolę. Był serdeczny, ostrożny i grzeczny. Zdjęła kapelusz, przeczesła palcami włosy, żeby odetchnęły, po czym związała je skórzaną tasiemką

– Będiesz je nadal farbowała?

Lucien po raz pierwszy zadał osobiste pytanie. Przyglądał się jej, siedząc na przeciwległym łóżku.

– Włosy?

– Tak. A może wolisz, kiedy są rude?

– Kiedyś rozjaśniałam na blond i było jeszcze gorzej.

Roześmiał się.

– Maria namówiła mnie na rude, ponieważ jej córka była rudowłosa. Podejrzewam, że byłam dla niej substytutem nieżyjącej córki.

– Jak zmarła?

– W czasie porodu. To niebezpieczna sytuacja zarówno dla matki, jak i noworodka, bo... – W ostatniej chwili ugryzła się w język.

Wiedziała z własnego bolesnego doświadczenia, że dziecko może nie przeżyć porodu albo wkrótce potem umrzeć. Tak się stało z ich synkiem, który leży w bezimiennym grobie na cmentarzu. Być może już go nie odwiedzi.

W tym ogarniętym szaleństwem wojny mieście Lucien był ostoją jej bezpieczeństwa. Scena z atakowaną przez pijanych żołnierzy dziewczyną zrobiła na niej wielkie wrażenie. Zapadły jej w pamięć słowa podziękii ojca uratowanej, rozbrzmiewające na tle krzyków przerażenia innych ofiar, którym nikt nie kwapił się pomóc.

Śmierć przychodzi niezapowiedziana, bez ostrzeżenia. Dzisiaj żyjemy, jutro nie ma nas na tym świecie. Tak odeszli Ross, jej ojciec i matka, Maria, a także Tomeu, Adan i Manolo. Śmierć nie liczy się z nikim i z niczym. Robi, co chce. Mimo to pięć dni wcześniej udało się jej umknąć przed pewną śmiercią, która czekała ją w wilgotnej i zimnej celi więziennej na przedmieściach Madrytu. Dzisiaj kładzie się spać, bezpieczna, chociaż wokół w San Sebastian panuje niekontrolowany chaos, dochodzi do gwałtów i grabieży.

Lucien Howard siedział na łóżku oparty o ścianę, bez butów i zakietu. Nóż leżał obok, schowany w skórzanym futerale.

– Wojna o wolność Hiszpanii jest już prawie wygrana – powiedział.

– Wielkim kosztem nie tylko dla San Sebastian – zauważyła Alejandra.

– Przed dwoma tysiącami lat filozof Platon napisał, że tylko dla umarłych wojna jest definitywnie skończona. Obserwacja ta wciąż jest aktualna.

Alejandra słyszała o Platonie, ale nigdy nie miała w ręku żadnego z jego pism.

– Dla ciebie, kapitanie, wojna dobiegła końca, bo już nie pełnisz służby w wojsku.

– Trzeba mieć serce do walki, żeby być żołnierzem.

– A ty je utraciłeś?

Ich spojrzenia spotkały się, zanim zgasły ostatnie światła dnia i w pokoju zapanował mrok. W tej krótkiej chwili Alejandra zdążyła dostrzec smutek wyzierający z jego oczu i zrozumiała, jak dużo kosztowała go ta wojna. Prawdopodobnie tyle samo, co ją. Zrzuciła buty, zrolowała zakiet, by służyć jako poduszka, i nakryła się prześcieradłem. Była szczęśliwa, że trafił im się wygodny i bezpieczny nocleg.

– Co teraz zrobią Anglicy, jak myślisz?

– Wellington zapewne ruszy na Soult'a i przegna go za Pireneje. Kiedy zwolennicy Napoleona wykruszą się do reszty, Józef Bonaparte zostanie odesłany z Madrytu do Francji. Jeszcze rok i mały cesarz będzie musiał wyrzec się ambicji władania Hiszpanią.

– Tylko martwi tego nie doczekają – zauważyła cicho.

Lucien z chęcią wyszedłby na zewnątrz, by pospacerować na świeżym powietrzu, nie chciał jednak zostawić Alejandry samej, leżał więc na łóżku i przez otwarte okno obserwował przesuwane się po niebie burzowe chmury, przesłaniające raz po raz księżyc.

Zastanawiał się, co z nią począć. Nie mógł tak po prostu przekazać jej dowództwu brytyjskiemu. Wojna wciąż trwała, Francuzi znajdowali się niecałą milę od San Sebastian. Przebranie Alejandry niewiele zmyli. Lucien podejrzewał, że adiutant Wellingtona, który odprowadzał ich do kwatery, domyślił się, że rzekomy młodzieniec jest dziewczyną.

Sięgnął po butelkę pozostawioną na stole. Pociągnął z niej kilka łyków. Wino było dobre, mocne, miało posmak, którego nie potrafił zdefiniować. Spojrzał w stronę Alejandry. Spała w tej samej pozycji, co dawniej na wzgórzach w okolicy La Coruñy. Skulona na boku, z dłońmi pod szyją. Spod prześcieradła wystawała stopa owinięta brudnym bandażem. Lucien pomyślał, że z samego rana postara się znaleźć medyka, żeby opatrzył skaleczenie.

Nie skarżyła się. Kuśtykała, ale zapytana, czy boli ją noga, przecząco kręciła głową. Wargi wyglądała już prawie dobrze, a siniaki niemal znikły z twarzy. Lucien nie znał innej kobiety, która z takim heroizmem znosiłaby ból i niewygody. W pokoju było małe lustro stojące na półce obok drzwi. Nie zauważył, aby chociaż raz w nie spojrzała.

Za oknem zrobiło się cicho. Lucien zaczął się zastanawiać się, do jakich wniosków może dojść Wellington, kiedy zestawia swoje triumfy z porażką, jaką był bez wątpienia wybuch bezsensownej agresji w San Sebastian. On sam był szczęśliwy, że już nie bierze w tym udziału. Pomyślał, jak bardzo zmieniło się jego nastawienie. Kilka lat temu był gotowy walczyć i oddać życie za sprawę, którą wówczas uznał za tego wartą.

Zamknął oczy, oparł głowę o nieheblowane deski. Zza stołu dochodził miarowy oddech Alejandry. Postanowił, że nie zostawi jej własnemu losowi. Jeśli Wellington nie zaofiaruje jej bezpiecznego azylu, weźmie ją ze sobą do Anglii. Uśmiechnął się, kiedy sobie wyobraził, co rygorystyczne angielskie damy mogłyby pomyśleć o Alejandrze Fernandez y Santo Domingo, a co ona o nich. Amethyst Wylde na pewno ją polubi, Adelaide Hughes również. Christine, jego siostra, również będzie wolała mieć do czynienia z kobietą, która się nie kryguje, nie flirtuje i nie udaje, że jest kimś innym niż w rzeczywistości. Matka będzie kręciła nosem, bo jest uprzedzona do wszystkiego, co pochodzi z Hiszpanii, ale to jest zmartwienie na później.

I pomyśleć, że urządza przyszłość Alejandry bez pytania jej o zdanie. Chyba częściowo ma do tego prawo. W gruncie rzeczy, gdyby nie on, byłoby już po niej, rozpląnęłaby się w powietrzu, zniknęłaby z powierzchni ziemi i on nigdy by się nie dowiedział, co się z nią stało. Uznał, że po tym, co wydarzyło się w Madrycie, i po zrównaniu z ziemią hacjendy pod La Coruñą, a także w związku z niepewną sytuacją w tej części kraju, w której się znajdowali, nie było dla Alejandry bezpiecznego miejsca w ojczystym kraju.

W tym momencie zauważył, że ona się poruszyła.

– Nie śpisz? – spytała. – Chyba jest już bardzo późno.

– Lubię nocną porę i spokój, jaki przynosi.

W panującej w pokoju ciemności rozmowa stawała się łatwiejsza, bo nie widzieli

swoich twarzy.

– Widziałam w angielskiej gazecie komunikat zapowiadający twoje małżeństwo.

– Nie ożeniłem się.

– Jak to?

– Po prostu.

– Dlaczego?

– Nie mógłbym jej dać tego, czego oczekiwała.

Alejandra usiadła.

– A co to takiego?

– Miłość i wierność. Nawet nie mogłem się zdobyć na powiedzenie jej prawdy.

Oczywiście, wziąłem na siebie całą winę i sędzę, że ostatecznie ona to przeboleła. Rodzice zabrali ją w długą podróż po Europie, z której wróciła dobry rok później wraz z włoskim księciem, bogatym i szczerze jej oddanym.

Alejandrę najpierw zdumiało, że Lucien opowiada jej o osobistych sprawach, a po chwili nawet zezłościło.

– I ciebie to nie poruszyło?

Ze śmiechem przyjął tego rodzaju sugestię.

– Ulżyło mi. Całe życie to bardzo długi czas, nie wyobrażam sobie, jak można go spędzić z kimś...

– ...kto nie może cię kochać tak, jak ty kochasz jego? – dokończyła.

– Właśnie.

Zapadło milczenie, ale tym razem było w nim o wiele mniej napięcia, a więcej ciepła. Komunikacja między nimi stała się łatwiejsza.

– Co się stało z moim sygnetem? Zostawiłem go tej starej kobiecie w burdelu i prosiłem, żeby ci go oddała.

Nie spodziewała się, że ją o to zapyta.

– Sprzedałam go, ponieważ *señor* Morales nie chciał odroczyć terminu spłaty pożyczki.

– Mateo Morales? Mężczyzna, za którego wzięłaś mnie, kiedy do ciebie przyszedłem na ulicę Segovia?

– Tak. Miejscowy lichwiarz. Zamierzał wstrzymać dalsze kredytowanie mojego interesu, chyba że... – Urwała, żałując, że nieostrożnie dała się pociągnąć za język.

– ...chyba że się z nim prześpisz? – uzupełnił jej wypowiedź Lucien.

– Doszłoby do tego, gdybyś nie przyszedł. Nie myśl, że bym się z nim nie przespała. Nie jestem taka niewinna jak dawniej, kapitanie.

Roześmiał się, czym ją zaskoczył.

– Zastrześliś męża, Alejandro. Z nożem w dłoni włóczyłaś się po pobojowiskach, byłaś córką partyzanckiego watażki El Vengadora. Jak można mówić o niewinności w twoim przypadku?

– Wtedy nie byłam prostytutką.

– Przecież nią nie jesteś.

– Wierzyłam w Boga, kochałam Jezusa. Teraz utraciłam wiarę. Różaniec wrzuciłam do rzeki – wyznała poważnym tonem, jakby spowiadała się z największej

zbrodni.

– Kupisz sobie nowy. Zacznieś od początku.

Alejandra zakłęła.

– Tutejsi ludzie, którzy doznali krzywd i przemocy ze strony domniemanych wyzwolicieli, wiedzą, że powrót do stanu poprzedniego jest często niemożliwy. Cena zachowania życia bywa za wysoka. Nie wszystko, co się zepsuje, da się naprawić.

Pomyślała o Rossie, którego rodziła w zimnym i nieprzyjaznym szpitalu w La Latinie. Wracała do domu bez swojego synka. W butach chlupała woda, tego dnia lało jak z cebra, z oczu płynęły po twarzy łzy. Na ulicy Segovia Maria rozpałała pod kominkiem, roztarła jej przemarznięte stopy, okryła w łóżku puchową kołdrą i utuliła do snu.

Kiedy Alejandra się obudziła, była zupełnie inną osobą. Pozbyła się wszelkiej wrażliwości i zapiekła w złości do świata i ludzi. Zawiedziona i rozgoryczona, nie była skłonna wierzyć w dobro.

– Ile masz lat? – zapytał.

– Dwadzieścia sześć.

– Zamierzasz trwać w swoim zgorzknieniu do końca życia? Pięćdziesiąt albo i więcej lat?

Nadstawiła ucha. To było coś nowego. Nie pocieszał jej, nie tłumaczył, że nie ponosiła winy za to, co się przydarzyło. Kazał jej wziąć się w garść i stawić czoło życiu. Niewykluczone, że ma rację. Może tajemnice, które nosiła w sercu, izolowały ją od życia, zabijały każdą radość, jaka się jej przytrafiła. Czy Maria nie powtarzała przy każdej sposobności, że należy dzielić się z innymi swoimi smutkami? Naturalnie, pod warunkiem że znajdzie się właściwą osobę.

– Mieliśmy syna, ty i ja. Dałam mu na imię Ross na pamiątkę po tobie. Żył parę minut i po prostu przestał oddychać. Akuszerka powiedziała, że to się zdarza, kiedy dziecko urodzi się przedwcześnie z niedostatecznie rozwiniętymi płucami, albowiem Stwórca pragnie je powołać znowu do siebie.

– Boże!

– Miał ciemne włosy i był przerażająco mały. Miał znamię na lewym ramionku i był jeszcze ciepły, kiedy wzięłam go na ręce, ale szybko stygł.

– Boże! – powtórzył Lucien.

– Wysłałam do ciebie list z opłaconą odpowiedzią. Przyszła po miesiącu. Zakazałeś mi do siebie pisać i groziłeś konsekwencjami prawnymi, jeśli będę nadal wmawiała ci ojcostwo. List był opieczętowany woskową pieczęcią z twoim herbem i podpisany przez ciebie.

Lucien wstał i podszedł do łóżka, na którym wyciągnęła się Alejandra.

– Przysięgam na wszystkie świętości, że nie otrzymałem twojego listu ani ci nie odpisałem. Nawet jeśli nie zasługuję na wiarę w innych sprawach, uwierz przynajmniej w to, co teraz mówię.

– Wierzę.

– Miał na imię Ross?

– Tak.

– Nieprzypadkowo tak go nazwałaś. Chciałaś zaznaczyć jego rodowód –

powiedział głosem nabrzmiałym wzruszeniem.

– Tak. Dobrze chociaż to, że nie cierpiał. Wyglądał, jakby zasnął.

W Alejandrze obudziła się chęć pocieszenia Luciena, który stracił zdrowie na wojnie, ale ciągle walczył z niesprawiedliwością i bezprawiem.

– Umarł spokojnie w moich ramionach drugiego października, sześć minut po jedenastej wieczorem – wyjaśniła. – Łało wówczas jak z cebra – dodała, bo zapamiętała najdrobniejszy szczegół z tamtego dnia.

– Sprowadzimy go do domu.

– O czym ty mówisz?

– Sprowadzimy go do domu, do Anglii, i pochowamy w Linden Park, mojej rodowej siedzibie w Tunbridge Wells. Przynajmniej nie będzie sam.

– Zrobiłbyś to?

– On jest nasz, Alejandro. Musi być razem z resztą rodziny.

„Nasz”, nie tylko jej; będzie miała z kim dzielić smutek.

Nagle długo trzymane na uwięzi i głęboko ukryte emocje wy dostały się spod kontroli i ujawniły swoją wielką siłę. Alejandra wstała, chcąc umknąć i w samotności stłamsić emocje i ponownie je schować, ale Lucien jej na to nie pozwolił. Wziął ją w ramiona, by wypłakała wszystkie żale, rozczarowania, lęki oraz gorzkie wspomnienia, żeby opłakała straconych bliskich.

I rzeczywiście Alejandra płakała z myślą o sobie, Rossie, o Lucienie, ojcu i matce, o rozdartej wojną ojczyźnie, o zmarłych i cierpiących rodakach, a także o Marii, która okazała jej autentyczną życzliwość.

Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem płakała tak rzewnie i długo. W końcu się uspokoiła i wtedy Lucien otarł jej mokre policzki rękawem swojej koszuli.

– Był ktoś wtedy przy tobie? – spytał.

– Maria. Powiedziała mi, że mam dwa wyjścia – nadal żyć albo umrzeć. Potrzebowałam kogoś młodszego do pomocy w prowadzeniu domu publicznego i ja odnalazłam się w roli sprawnej administratorki. Trzymałam w garści finanse i dbałam o utrzymanie budynku. Nawet w burdelu ktoś taki jest potrzebny, a Maria już dawno sobie nie radziła.

– Zostałaś prawą ręką Marii?

– Owszem, i jestem z tego dumna. Ona nie miała nikogo i ja także.

– W liście wysłanym do Anglii prosiłaś o pomoc?

– Nie. Chciałam tylko, żebyś wiedział, iż dziecko przyjdzie na świat i że nazwę je Ross, o ile będzie chłopcem.

Lucien zaklął tak szpetnie, że Alejandra odruchowo chciała się przeżegnać, ale jej dłoń zawisała w powietrzu. Nie ma prawa prosić Boga o wsparcie, bo dawno się od Niego odwróciła.

– Masz ten list?

– Nic mi po tobie nie zostało.

Odsunęła się, wyciągnęła na łóżku i odwróciła twarzą do ściany. Bała się fałszywych obietnic Luciena. Nie chciała, by uległ chwilowemu przeświadczeniu, że powinien okazać jej litość. Tymczasem on więcej się nie odezwał, z czego była

zadowolona.

Kiedy rano Alejandra się obudziła, po drugiej stronie stołu ujrzała puste łóżko. Plecak był starannie spakowany, koc zrolowany, ale Lucien zniknął. Za oknem było widać pogodne niebo, bezpowrotnie znikły burzowe chmury, znowu zrobiło się ciepło. A nawet gorąco, pomyślała, rozpinając kilka górnych guzików męskiej koszuli, którą dostała od Luciena.

Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła się głodna i chętnie rozpoczęłaby dzień od dobrego śniadania. Złożony żakiet schowała do torby, stopy wsunęła w buty, a twarz umyła w zimnej wodzie, którą ktoś zostawił w porcelanowej misce na stole pomiędzy łózkami. Rana na stopie bolała. Nie pomogło moczenie w rzekach i strumieniach, które spotykali podczas wędrówki – rozwinął się stan zapalny.

Wrócił Lucien. Przyniósł chleb i ser.

– Nie możemy zostać w San Sebastian. Wellington ma wiele własnych zmartwień, a w porcie nie znajdziemy żadnej łodzi, która mogłaby nas przetransportować na północ.

– Na północ? – powtórzyła ze zdziwieniem.

– Do Anglii. Na zachód, w swoje strony, nie możesz wrócić ze względu na Betancourtów, a południe i wschód wciąż kontrolują Francuzi. Powinno się nam udać bezpiecznie dotrzeć do Bilbao, a stamtąd do jednego z małych portów na Costa Vasca.

– Nie mogę popłynąć z tobą do Anglii. Jak wytłumaczyłbyś rodzinie moją obecność?

– Pomyślimy o tym po drodze. Jak zjesz, wyruszymy.

Lucienowi udało się zdobyć dwa wierzchowce i godzinę później jechali wśród pól, kierując się na wschód. Bliskość, która nawiązała się między nimi w nocy, nie ulotniła się za dnia. Alejandra wciąż była pełna obaw o swoją przyszłość, ale tego poranka lęki nie dręczyły jej tak bardzo jak podczas drogi z Madrytu. Pojawiło się światelko w tunelu. Lucien nie zostawił jej w San Sebastian, a poza tym obiecał się zająć sprowadzeniem ciała Rossa do Anglii, za co czuła do niego ogromną wdzięczność. W dodatku były jeszcze inne powody, które nappełniły ją optymizmem.

Kiedy ją obejmował i pocieszał ostatniej nocy, obudziło się w niej to samo pragnienie bliskości, które łączyło ich w drodze z La Coruñy do Pontevedry. Unikała jego wzroku, żeby nie mógł się domyślić dokonującej się w niej przemiany. Gdy teraz spoglądała w górę, na osłonięte koronami drzew niebo i sączące się pomiędzy liśćmi promienie słońca, nie potrafiła się oprzeć budzącej się w sercu nadziei, co powitała ze zdumieniem, ale i z radością. Okazuje się, że po latach życia w desperacji i zgorzknieniu nie jest całkowicie stracona dla normalnego życia.

Poruszanie się po tej części kraju bez eskorty wojskowej było ryzykowne. W zaistniałej sytuacji Wellington nie mógł dać im ani jednego żołnierza do ochrony, ale Lucien nie chciał odwlekać podróży. Dlatego teraz zachowywał wyjątkową czujność. Ani na chwilę nie przestawał obserwować drogi i poboczy, nasłuchiwać wszelkich odgłosów, które mogłyby sygnalizować niebezpieczeństwo.

Wiadomość o zmarłym synu wręcz zwała go z nóg. Gotował się z wściekłości na osobę, która, podszywając się pod niego, napisała i wysłała list, w którym zakazywała Alejandrze w przyszłości się z nim kontaktować. Zdawał sobie sprawę, że tą osobą mogła

być tylko jego matka.

– Gdzie mieszkasz, jeśli nie jesteś w Londynie? – zapytała Alejandra.

Zwolnili, żeby dać wytchnienie koniom, i mogli porozmawiać.

– W Linden Park, w Kencie. To hrabstwo w południowej części kraju – wyjaśnił, widząc, że nazwa nic jej nie mówi.

– Tam przebywa twoja rodzina? Pamiętam, że wspominałeś o licznym rodzeństwie.

– Mam dwóch braci, siostrę i matkę. Nasza posiadłość bardzo podupadła po śmierci ojca. Chcąc się nią zająć, zrezygnowałem ze służby wojskowej. Z nie najgorszym skutkiem zająłem się przemysłem.

Pozostałości rodzinnej fortuny zainwestował w produkcję tekstyliów, która stała się bardzo lukratywna dzięki zastosowaniu maszyn parowych. Wszystko wskazywało na to, że inwestycje szybko się zwrócą i zapewnią dostatni byt rodzinie.

Przedsiębiorczość, inwestycje, zyski. Dlaczego o tym rozmawiają zamiast o osobistych sprawach? Czemu nie zsiądą z koni, nie skryją się w poszyciu zagajnika ciągnącego się wzdłuż drogi i nie spróbują odnaleźć bliskości, jaka ich niegdyś łączyła? Pragnął Alejandry tak silnie, że chwilami zapierało mu dech.

Ostatnia noc zmieniła ich wzajemne nastawienie, lecz Lucien wiedział, że powinien zachować ostrożność. Najpierw musi dowieźć Alejandrę do Anglii. W Hiszpanii mogłaby mu się w każdej chwili wymknąć, zwłaszcza że wojna dogasała. Pamiętał, jak dawniej mówiła, że nie wyobraża sobie życia poza Hiszpanią. Czy zmieniłaby zdanie, gdyby, jak planował, sprowadził ciało synka do Anglii? Czy jego kraj nie stałby się wtedy dla Alejandry miejscem, w którym mogłaby zapuścić korzenie?

Miał świadomość, że nie wolno mu zniszczyć odradzającego się między nimi zaufania, co mogłoby się stać, gdyby zbyt szybko dążył do celu. Jeszcze nie czas, żeby zostali jak kiedyś kochankami. Z tego powodu zmienił temat.

– Po wypłynięciu z Pontevedry natrafiliśmy w Zatoce Biskajskiej na sztorm i podróż do Anglii trwała o wiele dłużej, niż Alvarez planował. Bałem się, że nigdy nie dopłyniemy, tylko utoniemy w odmętach.

– Twoje rany musiały porządnie dawać ci się we znaki.

– Owszem. Po wylądowaniu długo chorowałem, a potem dochodziłem do zdrowia w wiejskiej posiadłości przyjaciela, z którym razem służyliśmy w Hiszpanii, Daniela Wylde'a.

– Wzywałś go, kiedy leżałeś w gorączce w hacjendzie, a także Francisca i Gabriela. Gabriel to takie biblijne imię – zauważyła i zaczerwieniła się, bo po raz pierwszy, odkąd ponownie się spotkali, nawiązała do religii.

– Dorastaliśmy razem. Obecnie mają własne rodziny, ale wciąż się przyjaźnimy. Żona Daniela ma na imię Amethyst, a Gabriela – Adelaide. Bardzo je obie cenię, bo mają dobrze poukładane w głowach, nie są pustymi lalkami lubiącymi brylować w towarzystwie.

Zauważył, że Alejandra posmutniała. Dawniej bez trudu potrafił wyobrazić ją sobie na londyńskich salonach ubraną w elegancką suknię, pewną swojej wartości, swobodną. Czy ta istota z ufarbowanymi na rudo włosami, tak bardzo różna od tamtej Alejandry,



zdoła odnaleźć się w towarzystwie? Od rana uśmiechała się nieporównywalnie częściej, odkąd razem wyruszyli w tę podróż. Liczył każdy jej uśmiech i ten fakt dobrze rokował na przyszłość.

Nie chciał, żeby Alejandra poznała jego rodzinę, będąc onieśmiałą i niepewną siebie cudzoziemką. Zdecydowanie wolał, by śmiało patrzyła im w oczy jak dumna i harda córka El Vengadora, jaką była, gdy się poznali.

Późnym popołudniem ich oczom ukazało się nadmorskie miasteczko Bermeo. Kiedy wjechali do portu, przypływ był w kulminacyjnej fazie. Udało się im znaleźć łódź rybacką gotową do wyjścia w morze i namówić jej właściciela na rejs do Anglii. Po godzinie odbijali od brzegu.

Lucien nie poskąpił zapłaty. Na pokładzie znalazły się dwa hamaki, które rybak oddał do ich dyspozycji na czas dwudniowej przeprawy. Alejandra głównie milczała, lecz Lucien nie musiał jej pytać, dlaczego się nie odzywa. Wiedział, że obawia się spotkania z jego rodziną.

## Rozdział trzynasty

– Nie miałam pojęcia, że darzyłeś tę kobietę tak mocnym uczuciem, Lucienie. Myślałam, że jest oszustką, która chce wmanewrować cię w rzekome ojcostwo. Byłam o tym przekonana – tłumaczyła lady Howard, roniąc łzy.

– Jak mogłaś nie przekazać adresowanego do mnie listu i podjąć za mnie decyzję w ściśle osobistych sprawach?! Doprawdy nie mogę ci tego wybaczyć.

Po przybyciu do londyńskiej rezydencji i przedstawieniu z imienia towarzyszącej mu kobiety Lucien od razu zauważył zmieszanie matki, która wyszła im naprzeciw. Konfrontacja stała się nieunikniona. Zaprowadził Alejandrę do biblioteki, gdzie kazał pokojówce podać poczęstunek, po czym wrócił do matki wyjaśnić sprawę listu.

– Wiem, że źle postąpiłam, Lucienie, ale byłeś bardzo chory i bałam się, że ta sprawa pogorszy twój stan. Zamierzałam się narodzić z Danielem Wylde'em, lecz jego przez dłuższy czas nie było w Londynie. Poza tym wciąż cierpiał z powodu uszkodzonej nogi, a ponadto wynikły problemy w jego posiadłości w Ravenshill Manor. Ze wstydu nie wróciłam do tej sprawy, kiedy poczułeś się lepiej.

– Ona straciła nasze dziecko, twojego wnuka. Dała mu na imię Ross. Urodził się zbyt słaby, by żyć.

Lady Howard zalała się łzami. Lucienowi było jej żal, lecz nie wykonał najmniejszego gestu pocieszenia, ponieważ złość na matkę wciąż go nie opuszczała. Chciał, żeby cierpiała tak samo jak on i Alejandra.

– Myślisz, że moja odpowiedź spowodowała...? – Zdruzgotana lady Howard nie dokończyła.

Lucien nie potrafił odpowiedzieć. Złość powoli go opuszczała, ale wiedział, że smutek i poczucie straty pozostaną z nim na zawsze. Odwrócił się od matki i udał do biblioteki. Zastał Alejandrę siedzącą przy kominku. Chociaż nie było zimno, sprawiała wrażenie przemarzniętej. Miała na sobie suknię kupioną po zejściu na ląd w Bournemouth. Tam wyglądała na przyzwoitą, w Londynie raziła brakiem szyku. Pomarańczowy kolor sukni też Alejandrze nie służył, gryzł się z rudymi włosami.

– Twoja matka mnie nie lubi, prawda? Nie robiła wrażenia zadowolonej, kiedy przyjechaliśmy. Przykro mi.

– Nie przejmuj się. Z zasady ma dystans do nieznanomych. Potrzebuje czasu, żeby kogoś polubić. Jutro wyjedziemy do Linden Park, ale musimy znaleźć ci przyzwoitkę.

– Przyzwoitkę?

– W Anglii nie uchodzi, żeby młoda i niezamężna kobieta przebywała sama w towarzystwie mężczyzny.

– Przecież jesteśmy razem już od dwóch tygodni.

– I to jest skandaliczne. Nie opowiadaj o tym nikomu. Do Kentu pojedą z nami moja siostra Christine, a także ciotka. Mama też tam kiedyś zawita, ale nieprędko.

– To ona odpisała na mój list, prawda?

– Tak. Przyśniło się jej, że umrę w Hiszpanii, chciała więc...

– ...oszczędzić ci kłopotów – dopowiedziała Alejandra. – Każda matka zrobiłaby

to samo, żeby chronić swoje dziecko.

– Postąpiła niewybaczalnie. Gdyby była ze mną szczerą, byłbym przy tobie, kiedy rodził się Ross.

Po raz pierwszy, odkąd odnalazł Alejandrę w Madrycie, dotknęła go z własnej woli. Położyła mu delikatnie palec na ustach.

– Jesteś przy mnie teraz i to mi wystarcza.

– Naprawdę?

– Jestem z tobą i czuję się w Anglii bezpieczna.

Wziął jej dłoń i przyłożył do swojej piersi. Palcami wyczuwał na nadgarstku bijący puls.

– Obecnie, inaczej niż dawniej, nie jestem pewna niczego – wyjawiała, ale nie wyrwała mu dłoni. – Nawet tego, kim jestem i kim mogę się stać. Zimno w tym twoim kraju i szaro, a ja mogę ci być tylko ciężarem. – Ostatnie słowo wypowiedziała szeptem, po czym zamilkła na dłuższą chwilę. – Dostałam krwotoku po urodzeniu Rossa. Lekarz, który opiekował się mną w szpitalu, stwierdził... – wzięła oddech, zanim dokończyła – ...że możliwe, iż nigdy nie będę w stanie zająć w ciążę. – Z zielonych oczu wzywał smutek. – Twoja matka ma rację. Nie powinno mnie tu być. Nie będę do was pasować, nawet gdybym bardzo się postarała.

Chętnie by ją pocieszył, ale odezwał się dzwonek u drzwi wejściowych i hol wypełniły głosy.

– Gdzie on jest?

– Luce, gdzie jesteś?

Do biblioteki weszli mężczyzna i dwie kobiety. Alejandra zauważyła, że są piękni i wytwornie ubrani.

– Pani jest Alejandrą?

Pierwszy podszedł do niej wysoki mężczyzna o jasnozielonych oczach. Lekko kulał, ale w ruchach zachował sprężystość żołnierza.

– Luce jednak znalazł panią? Nie przypuszczałem, że mu się uda.

Lucien stanął u jej boku i dokonał prezentacji.

– Alejandra Fernandez y Santo Domingo, a to Daniel Wylde, hrabia Montcliffe, jego żona Amethyst i moja siostra Christine Howard.

Obie kobiety uśmiechały się i zaintrygowane czekały na jej reakcję.

– Miło mi państwa poznać – powiedziała Alejandra po angielsku, mając nadzieję, że z dobrym akcentem. Wprawdzie dawniej rozmawiała z matką w tym języku, ale jej angielszczyzna nigdy nie była doskonała.

Kobiety zrozumiały jednak bez trudu. Odezwała się Christine:

– To pani ufarbowała włosy mojego brata na czarno? Po powrocie do Anglii ostrzygł się krótko, żeby pozbyć się farby, i przez wiele tygodni wyglądał jak straszdyło.

– Straszdyło? – Alejandra nie rozumiała. – Wyglądał dobrze czy źle?

Lucien podrzucił jej odpowiednie hiszpańskie słowo.

– Zrobiłam to dla jego bezpieczeństwa – wyjaśniła, zacinając się na ostatnim słowie.

– Jesteśmy pani wdzięczni za uratowanie życia Lucienowi. Kochamy go, bez

niego... – Ze wzruszenia Danielowi Wylde'owi zabrakło słów.

– Zrobiłam, co należało. Później on uratował mnie z rąk Francuzów. To dobry człowiek.

Zapanowało milczenie. Pierwsza przerwała je Christine.

– Czy ma pani coś innego do ubrania? Mój brat źle się spisał, wybierając taką suknię.

Uśmiechnęła się życzliwie i przyjacielskim gestem położyła dłoń na ramieniu Alejandry, która spojrzała pytająco na Luciena.

– Nie wspominaj o spodniach i męskiej koszuli – powiedział bardzo szybko po hiszpańsku. – Christine obedrze mnie ze skóry, jak się dowie.

Alejandrze chciało się śmiać, że Lucien boi się siostry.

– Zostawiłam wszystkie ubrania w Madrycie – odparła i zobaczyła, że przyjął jej oświadczenie z ulgą.

– Nie mówcie o strojach, bo to działa na Christine jak czerwona płachta na byka – zauważyła Amethyst i wszyscy się roześmieli.

Alejandra nie zrozumiała, z czego się śmieją. Co mają do rzeczy walki byków? Były brutalne i krwawe; nie lubiła takiego widowiska. W tym angielskim salonie muszą się wszystkim wydawać odrażające. Znowu spojrzała pytająco na Luciena, który wyjaśnił po angielsku, o co chodzi.

– Moja siostra uwielbia modę i z wielką przyjemnością pomogłaby ci uzupełnić garderobę. To jej powołanie i jednocześnie słabostka. Nikt nie wie, do jakiego stopnia jedno, a do jakiego drugie.

– Niech pani nie zwraca uwagi na Luciena. Christine ma talent do ubierania siebie i innych – powiedziała Amethyst. – Sądzę, że pani nie będzie potrzebowała wielkiej pomocy.

– Musimy też zrobić coś z pani włosami – orzekła Christine. – Mogę? – Wyciągnęła rękę, by dotknąć włosów Alejandry.

Rozbawiona, przyzwoliła.

– To nie jest pani naturalny kolor, prawda?

– Nie. Jestem brunetką.

– Doskonale. Ciemne włosy lepiej pasują do pani oczu i karnacji. Ścinała je pani sama?

– Tak, wielokrotnie – odparła Alejandra.

Zauważyła, że siostra Luciena ma dar do wynajdywania defektów wyglądu u innych. Nawet blizny na prawym nadgarstku i resztki czerwonego lakieru na paznokciach nie uszły jej uwagi. Pewnie myśli o niej z politowaniem. Zdziornie uniosła brodę i hardo spojrzała prosto w oczy Christine. Były podobne do oczu Luciena, tylko ciemniejsze, źrenice były obramowane złotym kolorem. Czy każde z rodzeństwa Howardów ma tak piękne oczy jak ta dwójka i czy każde z nich odznacza się taką bezpośredniością jak ta dziewczyna?

– Co by pani powiedziała, gdybyśmy zaczęły od razu, Alejandro?

– Co mianowicie?

– Mój pokój jest blisko. Jestem pewna, że znajdziemy w szafie coś odpowiedniego

dla pani. Amethyst też nam pomoże, a moja pokojówka bardzo zrećźnie posługuje się igłą.

Alejandra zawahała się, wiedząc, że Lucien nie będzie jej towarzyszył. Pomyślała, że pomarańczowa suknia jest rzeczywiście okropna, a buty bardzo niewygodne. Postanowiła, że da sobie radę bez jego pomocy, o ile angielskie panie będą rozmawiały z nią powoli.

– Informacja o pożarze okazała się fałszywa? – zapytał Daniel, rozsiadając się wygodnie w fotelu ustawionym przy biurku, kiedy kobiety opuściły bibliotekę.

– Nie. Pożar naprawdę miał miejsce, tylko Alejandra w tym czasie przebywała poza hacjendą. Nie wróciła jeszcze z Pontevedry, portu, do którego mnie zaprowadziła, i dlatego uniknęła śmierci. Zginął jej ojciec, a dom został spalony do fundamentów z większością domowników.

– Podpalili go Francuzi?

– Nie. Inni partyzanci z sąsiedniego terenu. Dzielili ich dawna rywalizacja. – Lucien nie zamierzał opowiadać o pierwszym mężu Alejandry i związku pożaru z zemstą za jego śmierć.

– Bardzo ładna jest ta twoja hiszpańska pani.

– Owszem.

– Wybuchnie wielki skandal, jeśli ludzie dowiedzą się, jak długo przebywaliście ze sobą. Jak się domyślam, bez przyzwoitki.

– Właśnie dlatego nie pojechałem z Bournemouth bezpośrednio do Linden Park, tylko do Londynu. Jeśli dopisze nam szczęście, nikt się nie dowie o jej przeszłości.

– Gdzie mieszkała, kiedy ją odnalazłeś, skoro jej dom spłonął? Wrogowie musieli jej poszukiwać, więc zakładam, że musiała się ukrywać.

– Ukrywała się w Madrycie – odparł Lucien.

– Nie przyszło jej do głowy, żeby się z tobą skontaktować?

– Nie.

– Miała protektora?

Lucien zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie wątpię, że znalazłoby się wielu mężczyzn, którzy chcieliby jej pomóc. Z czego się utrzymywała, skoro nie miała domu?

– Prowadziła firmę w La Latinie, śródmiejskiej dzielnicy Madrytu.

– Nic dziwnego, że tak spodobała się mojej żonie. Jaką firmę?

– Dom publiczny.

– Cholera! Chyba nie pod własnym nazwiskiem?

– Nie, pod przybranym.

– Zmieniła tożsamość? To niebezpieczne zajęcie dla tak delikatnej i pięknej kobiety jak ona.

– Wyciągała informacje od francuskich klientów i przekazywała je Brytyjczykom. Burdel był przykrywką.

– Zatem narażała się na podwójne niebezpieczeństwo. Wiesz, co, Luce, ona wygląda mi na stworzoną dla ciebie. Nie pozwól jej odejść.

Lucien w milczeniu nalał przyjacielowi brandy. Miał nadzieję, że Christine

i Amethyst nie przerobią Alejandry na kogoś zupełnie innego, i ona nadal pozostanie sobą.

\* \* \*

Alejandra nigdy nie wstydziła się własnej nagości, więc kiedy pokojówka rozebrała ją z sukni i okazało się, że nie ma pod nią koszuli, stała spokojnie. Tymczasem Christine i Amethyst aż poczerwieniały z wrażenia.

– Och. – Christine ściągnęła koc z łóżka i okryła nim jej obnażone ramiona. – W pierwszej kolejności musimy coś poradzić na brak bielizny.

Brak. Alejandra poznała już to słowo. Lucien podpowiedział odpowiednik po hiszpańsku.

– Muszę przyznać, że przyjemnie będzie cię ubierać, masz taką doskonałą figurę. – Christine bez zmrużenia oka przeszła na „ty”.

– Opalałaś się bez ubrania? – Amethyst poszła w jej ślady.

– Dawniej, kiedy byłam młodą dziewczyną. W Hiszpanii jest bardzo gorąco.

– Zazdroszczę ci – wyznała Christine. – My w Anglii jesteśmy bardzo pruderyjni.

Lody stopniały. Alejandrę opuściło napięcie, łatwiej przypomiwała sobie angielskie słówka. Obie kobiety okazywały jej życzliwość, a w zajmującej całą ścianę pokoju szafie znalazło się mnóstwo pięknych i dobrej jakości strojów.

Christine poprosiła pokojówkę o przyniesienie gorącej wody z dodatkiem naparu z lawendy. Nieoczekiwanie Alejandra poczuła się jak w domu, wspominając lawendowe zarośla i ogrody oliwne. Z uczuciem błogości zmywała z siebie kurz i pot nagromadzone w czasie długotrwałej podróży.

Na umyte ciało nałożyła lnianą koszulę wyciągniętą z kufra, w którym spoczywała owinięta kawałkiem płótna, na koszulę bawełniany gorset podtrzymujący piersi, na gorset halkę obcisłą w talii, za to luźną dołem. Z rozkoszą wciągnęła białe jedwabne pończochy podtrzymywane nad kolanami podwiązkami ze wstążki.

– To dopiero początek. Teraz musimy się zastanowić nad suknią. Wydaje mi się, że dobrze ci będzie w jakimś zdecydowanym kolorze. Na przykład takim. – Christine wyciągnęła z szafy suknię w żywym czerwonym kolorze. – Albo takim. – Sięgnęła po ciemnoniebieską. – A co powiedziałabyś na tę, zielonożółtą?

– Wszystkie są piękne – Alejandra podziwiała jakość materiału i wykwintne ścięgi.

– Sama je uszyłam – oznajmiła siostra Luciena. – Nikt by się nie domyślił, prawda?

– Sama uszyłaś te suknie?

– Z pomocą pokojówki Jean i jej matki. Zrobiłam to z wielką przyjemnością. Wołałabym jednak, żebyś zachowała tę wiedzę dla siebie.

– Mam cię nie chwalić wobec ludzi za twoją zręczność?

– W naszej sferze uważa się, że praca przystoi tylko przedstawicielom niższych klas. Kobietom nie wypada zarabiać pieniędzy, nawet jeśli byłyby zainteresowane pracą.

Alejandra była zaskoczona tym, co słyszy z ust Christine.

– Od lat prowadzę wraz z mężem przedsiębiorstwo drzewne, a teraz zaczynamy rozwijać na szeroką skalę hodowlę koni – wtrąciła Amethyst. – Poza Londynem każdy może być tym, kim chce. Ludzie oddają się najrozmaitszym zajęciom i nikomu to nie

przeszkadza pod warunkiem, że zachowa się umiar.

– I ty go zachowujesz?

– Zdecydowanie.

Prawie tak samo było w hacjendzie. Panowały zasady, które można było łamać, i inne, których należało bezwzględnie przestrzegać. Jeśli ktoś potrafił się trzymać dozwolonych granic, mógł cieszyć się wolnością.

– Mój brat – posunęła się jeszcze dalej w szczerości Christine – nie należy do ludzi, którzy przeszkadzaliby innym robić to, co im się podoba, gdyż sam przez lata żył na granicy tego, co stosowne. Porozmawiaj z nim i znajdź swoją drogę, Alejandro, a będziesz zaskoczona możliwościami, jakie się przed tobą otworzą.

Zdjęła z wieszaka zielonożółtą suknię.

– Tymczasem musimy sprawić, żebyś wyglądała wyjątkowo. Najpierw zajmujemy się twoimi włosami.

Lucien nie mógł uwierzyć, że Alejandra jest tą samą kobietą, którą Christine i Amethyst dwie i pół godziny wcześniej wyprowadziły z biblioteki. Zielonożółta suknia z pokrytym koronką staniczkiem podkreślała krągłości figury i aksamitną karnację skóry. Ułożone w miękkie pukle wokół twarzy włosy też wyglądały inaczej niż wcześniej. Odnosiło się wrażenie, że są dłuższe i bardziej lśniące. Rudy kolor nie raził jaskrawością, wydawał się bardziej stonowany.

Najbardziej zaskoczyła go zmiana uwidaczniająca się w spojrzeniu zielonych oczu i wyrazie twarzy Alejandry, z których znikła niepewność. Miał do czynienia z piękną kobietą, świadomą swojego uroku.

Przypomniały mu się słowa, które od niej usłyszał na wysokich przełęczach Gór Galicyjskich. „Podobam się mężczyznom”. Nawet wtedy w to nie wątpił. A teraz? W takiej oprawie? Wyglądała jak rzadki i wyjątkowej piękności klejnot. Zerwał się na nogi na jej widok.

– Rano wyjeżdżamy do Linden Park.

Alejandra była przekonana, że Lucienowi nie spodobała się jej transformacja. Z zasepioną twarzą i nie patrząc jej w oczy, omawiał plany podróży do rodowej siedziby w Kencie. Może się bał, żeby nie wyszła na jaw jej mętna przeszłość, albo wstydził się jej niedoskonałej angielszczyzny? Bez względu na to, jaka byłaby przyczyna, ani słowem nie skomentował wysiłków siostry, dzięki którym ona upodobniła się do damy. Za to jego przyjaciel, Daniel Wylde, okazał się bardziej wylewny.

– Jesteś istną czarodziejką, Christine. Moja żona zawsze to powtarza i dzisiaj tego dowiodłaś. Alejandra będzie miała mężczyzn u stóp, kiedy pokaże się w towarzystwie.

– U stóp?

– Będą ci składali hołdy – objaśnił Lucien. – Uroda jest w cenie w londyńskiej socjocie, kobietom nie potrzeba niczego więcej, żeby w niej brylować.

Te słowa były podszyte irytacją, uznała Alejandra. A może po prostu był zmęczony? Bardzo mało spali po odbiciu od brzegu morskiego Hiszpanii, a ilekroć budziła się w nocy w hamaku, widziała go siedzącego i obserwującego horyzont. Zdrzemnęła się w wynajętym powozie, którym jechali z Bournemouth do Londynu. Przedtem do pokoju w gospodzie przyszedł lekarz opatrzeć jej stopę. Zabieg był bolesny.

Dla uśmierzenia bólu Lucien dał jej kieliszek brandy. Wyczerpana bólem i otumaniona alkoholem spała w jego ramionach, podczas gdy pojazd pokonywał ponad sto mil dystansu do stolicy.

Teraz stopa zdecydowanie mniej ją bolała, a wykąpana i ubrana w piękną suknię poczuła się jak dawniej, kiedy była posażną jedynaczką szlacheckiej hiszpańskiej rodziny. Chciała, żeby Lucien zauważył tę odmianę. Zaraz jednak uprzytomniła sobie, że od dawnej świetności dzieli ją przepaść zarówno ta wymierna, jak i mentalna. Tragiczne wojenne lata zabrały jej bliskich i rodzinny majątek, a ciężkie przeżycia pozostawiły trwały ślad na jej osobowości.

A może to jej nowe wcielenie jest równie fałszywe co poprzednie, w którym ukrywała pod koronkowymi rękawiczkami i tuzinem dzwoniących srebrnych bransoletek blizny na prawym przegubie? Christine i Amethyst musiały zauważyć głęboką starą szramę na jej lewym udzie, chociaż taktownie udawały, że nic nie widzą. Jest niedoskonałą, doświadczoną przez życie kobietą. Ukształtowaną w czasie wojny, zhańbioną.

Do świadomości Alejandry przebił się głos Daniela Wylde'a.

– Przyjedziemy do was w przyszłym tygodniu. Jest w waszej okolicy człowiek, który ma na sprzedaż piękną dereszowatą klacz, którą chciałbym obejrzeć, i przywieziemy Adelaide.

– Czy ona nadal prowadzi tę swoją klinikę w Sherborne? – zainteresował się Lucien.

– Tak. Gabe z powodzeniem wdraża nowe metody uprawy ziemi i są na półmetku przebudowy Ravenshill Manor. Może on da się przywieźć. Kto wie, czy i Francis się z nami nie zabierze.

Jak oni są ze sobą zaprzyjaźnieni, pomyślała Alejandra. Daniel, Amethyst, Christine, Gabriel, Adelaide i Francis. Nie potrafiła sobie przypomnieć, by miała chociaż jedną przyjaciółkę w swoim wieku. Prawdopodobnie z własnej winy. Kolejny brak, których w jej życiu było mnóstwo. W Anglii wychodzą na jaw wszystkie jej niedoskonałości.

Zauważyła, że Lucien przygląda się jej z troską, wysiliła się więc na uśmiech, udając wesołość. Czowała się tu tak samo nie na miejscu jak w Madrycie. I tak samo jak tam nie potrafiła się wyzwolić spod brzemienia przeszłości, aby z nadzieją myśleć o przyszłości. Była zadowolona, kiedy goście pożegnali się i wyszli. Zmęczyła ją rozmowa w języku, który z trudem rozumiała.

– To dobrzy ludzie, Alejandro. Autentyczni.

Uniosła ramię w obcisłym jedwabnym rękawie, na co Lucien zareagował zdziwieniem.

– Jak w takim rękawie ukryć nóż? – spytała i wysunęła spod spódnicy czubek buta.

– Jak uciekać w takich butach?

– W Londynie nóż rzadko kiedy bywa potrzebny, ale ostrzegam cię przed innym niebezpieczeństwem. To słowa. Tutaj są bronią używaną zarówno przez damy, jak i dżentelmenów, a bywają równie ostre jak nóż.

– W tym problem. Ledwo rozumiem proste zdania, jak więc rozpoznam, że ktoś



chce mnie zranić?

– Uroda będzie twoją bronią. Pozwól jej przemawiać.

– Uważasz, że jestem ładna?

Lucien skinął głową, lecz na jego twarzy malowała się ta sama troska, co wcześniej. Spojrzenie jasnoniebieskich oczu kolejno spoczęło na tych wszystkich miejscach jej ciała, które tęskniły do dotknięć i pieszczot. Obcy i kochankowie. Kiedyś także przyjaciele. Promienie słońca wpadające ukosem do pokoju otaczały jego głowę srebrzysto-złotą aureolą.

– Gdyby tutejsi ludzie dowiedzieli się, kim byłam... – nie dopowiedziała reszty.

– Jest sposób na skandale. Jeśli nie zwracasz uwagi na plotki, to po pewnym czasie wygasają.

– Ty tak postępujesz? Nie przejmujesz się tym, co inni mówią?

– Wydaje mi się, że dziewczyna, która w hacjendzie jej ojca obserwowała, jak uczę się chodzić, też by się nie przejmowała.

– Obecnie nie jestem pewna, czy ta dziewczyna kiedykolwiek naprawdę istniała, kapitanie.

– Nie?

– Kiedyś byłam odważna, ale w miarę doznawanych strat człowiek staje się tchórzliwy.

– Odwaga jest niezbędna, żeby żyć i kochać.

Zamilkła. Perfumy, którymi obficie skropiła ją Christine, były mocne. Zaczynała ją boleć od ich zapachu głowa, a ból głowy wywoływał nudności. Kiedyś nie brakowało jej odwagi, żeby kochać. Tu, w Londynie, Lucien miał w sobie więcej z hrabiego niż żołnierza i to, co było możliwe między nimi dawniej, teraz stało pod znakiem zapytania. Miłość do mężczyzny, do dziecka, do ojczyzny. Każda była obarczona ryzykiem utraty, a jej los zabrał każdą z nich.

Był jeszcze problem jego matki. Alejandra nie chciała się stać przyczyną konfliktu w rodzinie. Przeżyła dość kłopotów i sporów ze swoimi bliskimi. Spostrzegła, że Lucien patrzy na nią tak, jak gdyby rzeczywiście była piękna, nieskażona i godna szacunku, więc kiedy zbliżył się i ujął jej dłoń, odczuła to samo drzenie, które ją ogarniało pod wpływem jego dotyku.

– Zaryzykuj, Alejandro – powiedział cicho. – Zaryzykuj i zacznij żyć.

Przytuliła się do Luciena. Uniósł jej brodę i popatrzył głęboko w oczy. W panującej w bibliotece ciszy ich przyspieszone, nierówne oddechy wydawały się głośniejsze. Lucien pochylił głowę i ustami nakrył wargi Alejandry. Rozchyliła je zapraszająco. Wyłączyła myśli i spłynęło na nią poczucie, że dzieje się coś prawdziwego i właściwego, iż dotarła do celu.

Wróciła dawna magia, w niepamięć poszły cztery lata spędzone w piekle, znikły wątpliwości. Pokochała Luciena już wówczas, kiedy znalazła go nieprzytomnego na polu bitwy. Był jej drugą połową. „Zaryzykuj i zacznij żyć” – powiedział. Oderwała wargi od jego ust i zajrzała mu w oczy.

– Zawsze będę cię kochała, nigdy nie przestanę.

– W takim razie wyjdź za mnie, Alejandro. Zostań moją żoną.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło, z oczu popłynęły łzy. Nie przeszkadzała im toczyć się po policzkach i moczyć jedwab przepięknej zielonozłotej sukni.

– Dobrze – powiedziała ufnie, bez cienia wątpliwości.

Kolejny pocałunek był delikatny i spokojny. On będzie do niej należał na zawsze jak nikt inny; będzie jej mężem, kochankiem, przyjacielem.

– Jesteś tego pewny? – spytała, gdy oderwali się od siebie.

– Bardziej niż czegokolwiek w całym swoim życiu. Od samego początku byliśmy tylko my.

– My – szepnęła. Wspięła się na palce, by odnaleźć ciepło i słodycz ust Luciena.

Pragnął jej. Tylko o tym był w stanie myśleć. Odżyła w nim pasja, która właściwie nigdy go nie opuściła od czasu ich zbliżenia, do którego doszło w górach, w drodze do Pontevedry. Każda kobieta, którą od tamtego czasu poznał, była bez znaczenia, jak cień tej jednej, jedynej. Przez cztery lata tkwiło w nim pragnienie złączenia się z nią ponownie i tym razem na zawsze. Przyciągnął do siebie Alejandrę, żeby poczuła siłę jego pożądania. Rozpiął staniczek zielonozłotej sukni, wsunął dłoń w dekolt i ujął krągłą pierś.

– Jesteś moja, a ja jestem twój na wieki.

Nie odpowiedziała, w milczeniu zsunęła suknię z ramienia. Przyssał się do jej piersi tak mocno, aż jęknęła i wbiła paznokcie w jego kark. Chyba do krwi, pomyślał. Poznaczą się tak jak wtedy w górach Galicji. W miejscach, które dotykały jego usta, już było widać czerwone ślady na ciele Alejandry.

Chciałby zanieść ją na rękach do sypialni korytarzami domu, na oczach matki i reszty rodziny, ignorując ich obecność, gdyż tylko w ten sposób zdołałby uśmierzyć łomot tętna, rozsadzający mu bębenki w uszach. Jednak nie mógł sobie pofolgować i tego uczynić, ponieważ zniszczyłby jedyną szansę postąpienia właściwie. Należało okazać Alejandrze miłość i szacunek w sposób, w jaki nie zrobił tego w Hiszpanii. Poza tym wolał nie ryzykować spłodzenia kolejnego nieślubnego dziecka.

Życzył sobie i swojej ukochanej, by przyjaciele byli świadkami ich zaślubin, a obecna na uroczystości matka uświadomiła sobie, jak wielką miłość do żony jej syn nosi w sercu. Chciał, by piękna i autentyczna w swoim przesłaniu ceremonia odbyła się w rodzinnej kaplicy w Linden Park. Wiedział, że Alejandra potrzebuje tego rodzaju pojednania z Bogiem, bo dopiero wtedy znowu będzie sobą. On również tego potrzebował i chciał w tym doniosłym momencie mieć przy sobie rodzinę i przyjaciół.

Nasunął z powrotem suknię na ramiona Alejandry i przytulił ją do siebie.

– Po ślubie dokończymy to, co tutaj zaczęliśmy. Chciałbym, żeby nasz ślub odbył się w Linden Park zaraz po zapowiedziach. Zdasz sprawę sobie suknię.

– Suknię?

– Mam nadzieję, że ślub w kościele anglikańskim wyda ci się wystarczająco uroczysty, moja ukochana. Tym razem pobierzemy się w obliczu Boga. Będzie dokładnie tak, jak należy.

Owego wieczoru kolacji towarzyszyła dziwna atmosfera, mieszanina podniosłości, napięcia i zażenowania. Przy stole oprócz Luciena i Alejandry zasiadali jego dwaj młodsi bracia, siostra i matka.

Hrabina Ross przyszła zapłakana. W milczeniu przyjęła ogłoszoną przez Luciena

wiadomość o planowanym ślubie. Podekscytowana Christine natychmiast zaczęła opowiadać o sukni, jaką zaprojektuje, czerpiąc inspirację z obrazu przedstawiającego pewną piękność z Bostonu, sukni, jej zdaniem stworzonej dla Alejandry. Chłopcy ukradkiem obserwowali przyszłą bratową i czerwienili się, kiedy ona na nich patrzyła. Odzywali się z rzadka.

Lucien chwycił dłoń Alejandry i uniósł ich złączone ręce nad stołem.

– Zamierzamy się pobrać w kaplicy w Linden Park. Nie życzymy sobie wielkiego wesela. Zaprosimy tylko oboje Wylde'ów, małżeństwo Hughesów i Francisa St. Cartmaila oraz wszystkie nasze ciotki, oczywiście.

– A co z kuzynami Bigleyami i Halbergami? – zapytała Christine. – Musicie zaprosić także Kingstonów, bo się obrażą, jeśli ich pominiecie.

Lista potencjalnych gości rosła i rosła, dopóki Lucien nie pohamował siostry.

– Zaprosimy tylko tych, których wymieniłem – oznajmił stanowczo.

– Trzeba będzie zredagować treść zapowiedzi – po raz pierwszy odezwała się hrabina.

– Zajmę się tym zaraz po przyjeździe do Linden Park, jutro z rana.

Starsza pani pokiwała głową i zaczęła miętosić chusteczkę w dłoni.

– Czy jesteś anglikanką? – skierowała pytanie do Alejandry.

– Nie, milady. Byłam katoliczką.

– Byłaś? – Christine zmarszczyła czoło.

– Ostatnimi laty rzadko chodziłam do kościoła.

– Twoja wiara została wystawiona na próbę i zwątpiłaś? – zapytała bardzo cicho matka Luciena.

– Wystawiona?

Lucien przetłumaczył na hiszpański. Przy stole zapadło ciężkie milczenie.

– Kiedyś mocno wierzyłam. Mam nadzieję, że odzyskam wiarę. – Tylko tyle mogła odpowiedzieć Alejandra, jeśli nie chciała kłamać.

– Ja też mam taką nadzieję – odrzekła solennym tonem hrabina.

Alejandra uśmiechnęła się do przyszłej teściowej. Może kiedyś ułożą się ich stosunki, pomyślała. Oby jak najszybciej.

Po kolacji Lucien przeprosił rodzinę i wyszedł z Alejandrą do ogrodu rozpościerającego się na tyłach domu. Wieczór był ciepły, końcówka lata zapowiadała się pogodnie. Z dala dały się słyszeć dzwony. Szli objęci.

– Pragnę cię aż do bólu – powiedział wprost, bez owijania w bawełnę.

Zdawała sobie z tego sprawę.

– Jak długo jeszcze?

– Trzy tygodnie – odparł, wiedząc, o co jej chodzi. – W tym tygodniu będę musiał wyjechać na kilka dni w interesach. Byłem długo nieobecny w kraju.

– Oczywiście.

– Może to i lepiej.

– Mówisz o rozłące?

– O pokusie.

Pocałował ją gwałtownie. Kiedy odwracał głowę, zauważyła ślady swoich

paznokci na jego karku.

– To będzie ślub kościelny? – Zaskoczył ją, kiedy o tym informował rodzinę przy stole. Wiedział przecież, że jest, a raczej była katoliczką. – Nie jestem pewna, czy godzi mi się stawać przed Bogiem i składać przysięgę.

– Daj spokój. Rozejrzyj się wokół. Matka zdradziła mnie haniebnie, a nie ma dnia, żeby nie poszła do kaplicy. Christine spała ze swoim przyszłym mężem, niestety, on zginął. A ja zabiłem tylu ludzi, że nawet nie potrafię sobie przypomnieć ilu, i nikt nie ma mi tego za złe. Jaką ty popełniłaś zbrodnię, Alejandro? Co takiego strasznego zrobiłaś?

– Wyrzekłam się Boga – odrzekła bez namysłu.

– A jednak przyprowadził cię do mnie, abym mógł znowu cię pokochać. Być może Bóg się cię nie wyrzekł.

– Lucien?

– Tak.

– Już nigdy mnie nie zostawiaj.

– Nigdy cię nie zostawię, najukochańsza.

## Rozdział czternasty

Ławki kościelne były ozdobione girlandami białych róż. Bukiety róż przewiązane niebieskimi i żółtymi wstążkami stały w wazonach obok ołtarza. Jak domyśliła się Alejandra, dekoracje zaprojektowała Christine, żadnego szczegółu nie pozostawiając dowolności.

Wiotki jedwab jasnoniebieskiej sukni ozdobionej kwiatami falował przy każdym kroku Alejandry; jej głowę zdobił wianuszek z białych pączków różanych. Nie widziała nikogo oprócz Luciena, który ubrany na czarno stał na końcu nawy z Danielem Wylde'em u boku. Na tle tej czerni jasne włosy wydawały się jeszcze jaśniejsze i piękniejsze niż zazwyczaj. Patrzył na nią z zachwytem, gdy wolno szła ku niemu, a kiedy była blisko, wyciągnął ku niej rękę.

Przez witraże okien wdarł się do wnętrza kaplicy promień słońca i rozblęsnął kolorami tęczy. W tym samym momencie odezwały się organy i zaintonowały hymn kościelny, który znała i lubiła. Przesycone zapachem róż powietrze, życzliwość zgromadzonej rodziny i przyjaciół działały oszałamiająco. Jakby za sprawą magii, wiara wstępowała na nowo w serce Alejandry. Prawdziwie niebiańskiej, nieznanającej wytłumaczenia i pięknej. Niemal czuła obecność tych, którzy dawno ją opuścili – matki, ojca, Marii, Tomeu, Adana, Manola i Rossa. Podała Lucienowi dłoń i spojrzała w jego przepełnione miłością oczy.

To był cudowny moment; nigdy go nie zapomni. Sam Bóg go jej podarował. Wynagrodził jej wszystkie doznane smutki i cierpienia. Lucien to przewidział. Dlatego nalegał, aby ich zaślubiny dopełniły się w zgodzie z najbardziej uroczystym rytuałem religijnym Kościoła anglikańskiego.

Tutaj, stojąc przy ukochanym, poczuła się tak, jakby po tułaczce wreszcie dotarła do domu, gdzie spotkała się ze zrozumieniem, akceptacją i miłością. Kiedy umilkły organy, spojrzała w oczy Luciena, uśmiechnęła się i szepnęła:

– Dziękuję.

– Nie ma za co, kochanie.

„Tylko teraz”. Przeniosła wzrok na pastora, skinieniem głowy dała znak, że może zaczynać obrzęd.

Nagle Alejandrę ogarnął niepokój, który od pewnego czasu nie dawał o sobie znać. Uprzytomniła sobie, że do tej pory Lucien nie widział szramy, którą miała na udzie. Możliwe, że zapyta również o ślady cięć na nadgarstku i o rozstępy na brzuchu, których dawniej nie było. Poza tym nie miała pewności, czy po stracie Rossa chciałaby znowu zająć w ciążę, czy się jej wystrzegać.

Było późno. Zostawiła Luciena w rozległym salonie. W Linden Park wszystko miało imponujące rozmiary. Poszczególne pomieszczenia domu, otaczające je ogrody czy stawy. Nawet łóżko, do którego stała tyłem, teraz ich wspólne. Szerokie, z baldachimem wspartym na czterech słupkach i zasłonami.

W przeciwieństwie do otaczających Alejandrę przedmiotów, koronkowa koszula nocna, którą Christine podarowała jej na noc poślubną, była wręcz skąpa. Alejandra miała

wątpliwości, czy powinna ją włożyć, gdyż przypominała stroje dziewcząt z burdelu przy ulicy Segovia. Złękła się, żeby ta koronkowa koszula nie skojarzyła się Lucienowi z odurzoną, sprośną Antonią, z jej tanimi szklanymi kolczykami i rudymi włosami.

Spojrzenie w lustro podniosło ją na duchu. Włosy były znacznie ciemniejsze i lśniące dzięki zabiegom Adelaide Hughes. Nie bez znaczenia było również to, że znacznie lepiej jadła niż w Hiszpanii i zaokrągliła się nieco. Ostrożnie dotknęła palcem pierścionka z brylantem, który wsunął jej na palec Lucien w momencie składania przysięgi małżeńskiej. Namacalne i trwałe świadectwo ich związku, choć nie potrzebowała żadnego. I bez tego bez zastrzeżeń wierzyła ukochanemu.

Zaskrzypiały deski korytarza. Alejandra rzuciła spłoszone spojrzenie w stronę drzwi, które się otworzyły. Do sypialni wszedł kompletnie ubrany Lucien; ciemny strój kontrastował z bielą jej koronkowej koszuli. Przyniósł małe pudierko, które jej podał.

– To dla ciebie, Alejandro.

Nie pomyślała o prezencie, bo nie przypuszczała, że w Anglii panuje zwyczaj obdarzania się nawzajem prezentami przez nowożeńców. Otworzyła pudierko i wydała okrzyk zachwytu.

– Różaniec?!

– Z gagatów. Wypatrzyłem go w sklepie na Regent Street i od razu pomyślałem o tobie. Podobny do tego, którego używałaś w Hiszpanii.

– Tego, który położyłam ci na piersi, kiedy wieźliśmy cię z pola bitwy.

– I z którym się nie rozstawałaś, gdy prowadziłaś mnie do portu na zachodnim wybrzeżu. Pomyślałem, że powinnaś mieć nowy.

– Jest przepiękny.

Przesunęła czarne koraliki w palcach wyuczonym gestem, słowa modlitwy wróciły same, jak gdyby nigdy nie popadły w zapomnienie, serce wypełniła radość.

– Będę go strzegła jak największy skarb.

– Ach, byłbym zapomniał. Matka też coś ci przysłała. – Sięgnął do kieszeni, wydobyl z niej małą figurkę z wypolerowanego nefrytu.

– Co to jest?

– Chiński bożek płodności. Matka przysięga, że jego protekcja działa. Sama miała sześcioro dzieci, a jej matka siedmioro. Obie przypisywały tę obfitość tej figurce.

– To rodzinne dziedzictwo.

– Właśnie.

– Ona chce, żebyśmy mieli kolejne dziecko?

– Jak najbardziej. Jest przekonana, że przyczyniła się do śmierci Rossa, i czuje się z tego powodu winna.

– Nie powinna. Urodził się przedwcześnie. Nie sądzę, że dałoby się zapobiec jego śmierci.

– Może powiesz jej to kiedyś, kiedy uznasz za stosowne?

– Powiem.

– Mnie też to powiesz, żebym mógł...? – zaczął drżącym głosem i urwał.

Alejandra zauważyła, że po raz pierwszy zabrakło mu pewności siebie w jej obecności. Pomyślała, że musiał się poczuwać do winy, podobnie jak jego matka.

– Będziemy mieli kolejne dziecko, Lucienie, i wtedy wszyscy zaczniemy żyć od nowa.

Ależ jest dzielna! Widział, że nie było jej łatwo, a jednak gotowa była odpuścić mu winy i o nich zapomnieć. Pod cienką i krótką koronkową koszulą nocną mógł dostrzec bliznę na lewym udzie. Wyczuwał ją palcami już dawniej, kiedy na godzinę przed jego wypłynięciem z Pontevedry kochali się na wzgórzu nad wioską. Zastanawiał się, kto zranił ją tak dotkliwie, i przypuszczał, że pierwszy mąż. Generalnie rzecz biorąc, hacjenda nie była najbezpieczniejszym miejscem do życia, podobnie jak dom publiczny w La Latinie. Obiecał sobie w duchu, iż będzie postępował z Alejandrą delikatnie, poskromi narastające w nim żądze.

Miał nadzieję, że będą mieli dziecko, które zostanie ich następcą, kiedy sami odejdą. Jeśli jednak okaże się to niemożliwe, trudno. Związał się z Alejandrą do końca ich dni na mocy prawa ludzkiego i boskiego. I to mu wystarczało.

Wyciągnął rękę, pogładził ją palcami po policzku, zsunął je po szyi na ramię. Uśmiechnął się. Kiedy jej dotykał, niezmiennie ogarniała go tkliwość. Zaokrągliła się w ciągu miesiąca od przybycia z Hiszpanii. Włosy odrosły, sięgały obojczyków, pociemniały i lśniły jedwabście.

– Jesteś piękna – wyszeptał.

Przechyliła się ku niemu, pocałowała go w policzek, potem w usta. Nie był to nieśmiały pocałunek, lecz namiętne zaproszenie do dalszego ciągu. Zielone oczy lśniły pożądaniem.

– Kochaj mnie.

Rozpinała mu w pośpiechu guziki surduta, potem koszuli. Rozwiązany fular opadł na podłogę, jego śladem powędrowały spodnie. Uwolnił się z nich i podniósł Alejandrę, która oplotła go w pasie nogami. Znowu połączył ich namiętny pocałunek. Wreszcie Lucien zaniósł ukochaną do łóża. Poczuli pod sobą miękkość materaca, zaciągnęli zasłony i zamknęli się w swoim świecie, oddzieleni od pokoju oświetlonego świecą i płonącym w kominku ogniem.

Niewiarygodnie jej pragnął, a już nic go nie powstrzymywało. Rozsunął jej uda i zanurzył się w wilgotnym i gorącym wnętrzu. Kolejna fala ekstazy skuwała ich ze sobą silniej i silniej, prowadząc ku uwolnieniu nagromadzonego napięcia, które z jego strony nastąpiło prędko. Alejandra drżała w jego ramionach, gdy całował jej usta, tym razem powoli i delikatnie, niemal omdlewająco. Byli nadal złączeni, jeszcze nie skończył wypełniać jej swoim nasieniem, jeszcze nie wstrząsnął nim ostatni spazm.

Na samą myśl, że Alejandra całkowicie do niego należy, zapragnął jej ponownie.

– Znowu?

– Tak.

Wsunął dłonie pod jej pośladki i je uniósł, a kiedy ogarnięta rozkoszą wykrzykiwała jego imię, przykrył jej usta swoimi wargami i wraz z uchodzącym z płuc oddechem wchłaniał w siebie te okrzyki.

Alejandra czuła się ocieżała, obrzmiała i pełna. Kusa koronkowa koszula nocna leżała zmięta na kołdrze. Wciąż pragnęła Luciena, nadal nie miała dość nowo odkrytych doznań. Jak niewielkie miała pojęcie, czym jest seks! I jaka z niej rozpustnica! Położyła

dłoń na piersi, chwyciła między palce sterczący sutek, a jego wargi już tam były, przysane jak usta małego dziecka. Przywarł do niej ciasno, a ona przyciągała go do siebie dłońmi rozpostartymi na jego głowie i na karku.

Kiedy kąsał jej pierś, poczuła lekki ból, ale wcale jej to nie przeszkadzało, bo uprzytamniało, że żyje i jest bezpieczna pod opieką Luciena. Chciała, żeby doświadczył podobnego uczucia, ugryzła go więc delikatnie w ramię. Wtedy uniósł się nad nią, splótł swoje palce z jej palcami. Poddała mu się, a on wziął ją bardziej gwałtownie niż poprzednio, ale to się jej spodobało.

Wyzwalała się ze swojej przeszłości. W zapomnienie odchodziło nieodstępujące jej do niedawna poczucie zagrożenia, twarze tych wszystkich, których zabrała śmierć. Byli tylko on i ona. Napawała się dzielącymi ich fizycznymi różnicami, a swoim miłosnym kunsztem Lucien odkrywał przed nią świat doznań, o których istnieniu nie miała pojęcia. A potem klęczał pomiędzy jej udami i ustami uśmierzał ją, chłodził, uspakajał. Nagle uzmysłowiła sobie, że nie ma w niej już ani śladu dawnej złości i jest gotowa pogodzić się ze swoją przeszłością.

\* \* \*

Obudziła się w nocy i spostrzegła, że Lucien stoi przy oknie, zapatrzony w widok na zewnątrz. Jego ciało wyglądało jak wykute z wypolerowanego marmuru. Odwrócił się, zorientowawszy się, że ona nie śpi i go obserwuje. Na tle nocnego nieba erekcja była wyraźna.

Wstała i stanęła obok Luciena. Wziął ją od tyłu. Nie spieszył się, zmieniał rytm, gdy tylko przystosowała się do jednego, narzucał drugi. Przeciągał moment spełnienia.

– Proszę – szeptała.

– Poczekaj.

– Teraz?

– Zaraz.

Wreszcie nastąpił moment intensywnego spełnienia i zespolenia, prawdziwej jedności dwóch odrębnych bytów. Poczwała w sobie jego nasienie.

– Kocham cię, Alejandro – rozległy się w ciemności ciche słowa.

– Jak odnalazłeś mnie w tym więzieniu w Madrycie?

Prawie świtało. Pokrzepieni kilkoma godzinami snu rozkoszowali się komfortem niezakłóconej, niczym niezagrożonej bliskości.

– Wiedziałem, że Francuzi przesłuchują w nim więźniów. Dzięki przypadkowi znalazłem stare kopie planów budowli w czytelni na Paseo de Recoletos. Czekałem na ciebie. Miałem dużo czasu.

– Przewidywałeś, że mnie aresztują?

– Skoro doszły mnie plotki o kobiecie, która kradnie sekrety Francuzom i przekazuje je Anglikom, to nietrudno było przewidzieć, że bardzo szybko dotrą one również do Francuzów. W bezlitosnym świecie targanym wojną trzeba być przygotowanym na wszystko.

– Bez względu na przygotowania, podjąłeś bardzo ryzykowne działanie.

– Istotnie było ryzyko i jestem szczęśliwy, że się na nie zdecydowałem.



– Bałam się, iż nie dożyję kolejnego dnia, że zostanę zgwałcona, będę torturowana. Nie byłam pewna, czy potrafiłabym milczeć.

– Byłabyś zdziwiona, ile może wytrzymać człowiek. Od pewnego poziomu ból jest już taki sam.

– Doświadczyłeś tego na własnych plecach? Blizny są wciąż przerażające.

Roześmiał się.

– W ogóle o nich nie pamiętam, Alejandro. Tamte czasy to zamknięty rozdział.

– Liczy się tylko teraz?

– Anglia to spokojne miejsce. Tutejsi ludzi na ogół nie lubią, jak im się opowiada o chaosie, w jakim są pogrążone inne kraje. Swoich blizn nie pokazywałem nikomu oprócz lekarza.

Teraz ona się roześmiała.

– Twoja siostra i Amethyst nieszczególnie przejęły się widokiem blizny na moim udzie.

– Mają własne zmartwienia. Najwięcej dziwią się różnym sytuacjom ci, których nigdy nie dotknęła wojna.

– Juan przywiązał mnie do konia i włókł po polu. Korzeń drzewa rozharatał mi udo.

Po tym niespodziewanym wyznaniu zapadło ciężkie milczenie. Jednak Alejandra chciała opowiedzieć wszystko do końca. Lucien zasługiwał na to, żeby wiedzieć.

– Twierdził, że jestem za bardzo niezależna, robię, co chcę. A on życzył sobie, żebym była uległa i posłuszna. Ojciec znalazł mnie w domu Juana. Rana okropnie zropiała i przypuszczam, że Juan wstydził się, iż okazał się takim brutalem. Nikomu nie pozwolił się do mnie zbliżyć, a ja byłam coraz bardziej chora.

– Wobec tego cieszę się, że okazałaś się celnym strzelcem. Łotr zasłużył na to, co go spotkało.

– Tomeu dał mi pistolet. Ponieważ to ja powinnam wymierzyć mu karę, a nie mój ojciec.

– Wiem teraz, dlaczego go polubiłem.

– A ja wiem, dlaczego kocham ciebie. Pozwalasz mi być sobą.

Sięgnęła po różaniec leżący na nocnym stoliku, zamknęła go w dłoni.

– Odmówię modlitwę za duszę Juana Betancourta i przebaczę mu, albowiem w przeciwnym razie...

– Nigdy nie zapomnisz?

– Czy myślisz, że oni zaakceptują mnie jako twoją żonę? Mam na myśli twoją sferę. Nie chciałabym, byś doznał przykrości z ich strony, kiedy pojedziesz do Londynu.

Wzruszył ramionami ze śmiechem.

– Po ostatniej nocy nikt nie jest w stanie wyrządzić mi najmniejszej przykrości.

\* \* \*

Ciągle nie miał dosyć Alejandry. Nie mógł bez niej żyć, a czasami musiał ją opuszczać. Tego wymagały obowiązki związane z tytułem i prowadzone przez niego interesy. Tylko w obecnym tygodniu był zmuszony spędzić aż trzy dni w Londynie. Ich noce nadawały sens jego życiu. Zapamiętywał się, tracił poczucie czasu, a tymczasem lato

dobiegało końca, pojawiały się pierwsze jesienne chłody.

Dzisiejszego wieczoru poszli pospacerować nad staw znajdujący się w parku otaczającym rezydencję. W ustawionym na końcu pomostu domku kochali się w świetle księżycy przy akompaniamencie chlupiącej wokół nich wody. Naga Alejandra siadła mu okrakiem na kolanach, a on osłonił siebie i ją kocem, żeby ich chronił od wieczornego chłodu .

Kochali się w milczeniu, wpatrzeni w siebie. Na jej ustach igrał uśmiech. Była bardzo piękna. Piersi falowały przy każdym ruchu. Sutki były twarde jak kamyki. Za chwilę on przyssie się do nich a ona będzie mu szeptała w ucho dźwięczne hiszpańskie słowa miłości.

Pomyślał o tym, jak wyglądałyby jej piersi pełne mleka i brzuch, w którym znajdowałoby się ich dziecko. Chciałby mieć dużo dzieci, być otoczony liczną rodziną, wtedy ich miłość znalazłaby fizyczne uzewnętrznienie. Nawet gdyby jego marzenie miało się nie ziścić, i tak będzie szczęśliwy, bo będzie z Alejandrą. Uśmiechnął się.

– Szczęśliwy?

– Tak.

– A ty?

– Przy tobie nie wracam myślą do przeszłości.

– Kochaj mnie.

– Kocham.

## Rozdział piętnasty

– Jest problem, Luce.

Daniel wychylił się ze skórzanego klubowego fotela, ustawionego w zacisznej alkowie w klubie White'a przy St. James's Street. Od ślubu upłynął mniej więcej miesiąc. Lucien najpierw dopił drinka, dopiero potem zapytał:

– Jaki?

– Brat sir Marka Waltersa opowiada każdemu, kto chce słuchać, że widział ciebie i Alejandrę w dwuznacznej sytuacji podczas waszej podróży z Bournemouth do Londynu.

– A skąd on wie, że była jakaś sytuacja?

– Był w Bournemouth wtedy, gdy przyплыnęliście z Hiszpanii, i rozpoznał ciebie. Jest rysownikiem i wykonał szkic przedstawiający was oboje. Rysunek został opublikowany w pewnym brukowym piśmie i doczekał się licznych przedruków.

– Masz go?

Lucien zrozumiał, w czym problem. Alejandra była w męskim ubraniu, a on niósł ją na rękach z łodzi do powozu czekającego w dokach, ponieważ bolała ją stopa i nie mogła chodzić.

– Mam. – Daniel wyciągnął stronę pisma i ją rozłożył. Mimo śladów wielokrotnego składania nie było wątpliwości, kogo rysunek przedstawia.

– Cholera.

Lucien słusznie się domyślił, że chodziło o scenę, w której wynosi Alejandrę z łodzi na nabrzeże. O autentyczności sytuacji zaświadczał wicehrabia Radford, który nigdy nie pałał sympatią do rodziny Howardów.

– Co robić? Przyznać się czy zaprzeczyć? I tak źle, i tak niedobrze. Może lepiej poczekać, aż zainteresowanie sprawą wygaśnie?

– Każdy skandal w końcu ulega zapomnieniu – zauważył Daniel. – Weź jednak pod uwagę, że przez kilka lat możecie być traktowani w towarzystwie jak zadżumieni. Będzie to miało negatywne konsekwencje, zwłaszcza gdy przyjdą na świat dzieci.

– Amethyst widziała ten szkic?

– Owszem. Powiedziała, że w takich sytuacjach bezcenne okazuje się wsparcie przyjaciół. Wie to z własnego doświadczenia. Ją też oczerniano w związku z rozstaniem z pierwszym mężem. Pamiętaj, że jesteś otoczony możliwymi przyjaciółmi, Lucien. Spróbuj z tego skorzystać.

– I chwycić byka za rogi?

– Twoja siostra mogłaby zadbać o odpowiednią prezentację nas wszystkich. Gabriel już rozesłał zaproszenia na swój doroczny bal. Miejsce byłoby neutralne, a atmosfera życzliwa. Gabriel zadbałby o to, żeby wszyscy wątpiący byli obecni.

– Nie wiem, czy Alejandra do tego dojrzała. Gdyby mimo to nie udało się uciszyć plotkarzy...

– To będziecie dokładnie w takiej samej sytuacji, w której jesteście teraz, a przynajmniej będziecie wiedzieli, z czym przyjdzie się wam zmierzyć.

– Miałbym ochotę dołożyć temu Waltersowi, Radfordowi także.

– Dostarczyłbyś im tylko amunicji i wszyscy by pomyśleli, że oni mówią prawdę.

Daniel miał rację. Należało działać mądrzej. Powinien podważyć oskarżenia w taki sposób, by londyńska socjeta zakwestionowała ich prawdziwość. Alejandra coraz mniej przypominała wyglądem dziewczynę, którą odnalazł w madryckim burdelu, a coraz bardziej damę, którą jest z urodzenia. Jeśli wszyscy razem dobrze to rozegrają, może się udać, uznał Lucien. Pozostało jedynie przekonać Alejandrę, że gra jest warta świeczki.

Po powrocie do Linden Park zastał żonę w sypialni. Leżała w łóżku z zimnym okładem na czole, w ciemnym pokoju, przy zaciągniętych zasłonach. Nigdy wcześniej nie widział jej w takim stanie. Czyżby doszły już do niej plotki? Ucieszył się, gdy usiadła i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Stęskniłam się za tobą. Wczoraj musiałam zjeść coś, co mi zaszkodziło, nie czuję się dobrze. Jak upłynął ci dzień?

– W klubie White’a spotkałem się z Danielem.

– Coś się stało?

– To. – Na kolanach Alejandry rozłożył stronę gazety. – Frank Walters, który to narysował, jest, niestety, utalentowanym artystą. Gdyby nie oddał podobieństwa tak wiernie, sprawa byłaby bez znaczenia. Na dodatek odwołuje się do świadectwa wicehrabiego Radforda, który potwierdza jego historię, a ów Radford żywi zadawnioną niechęć do naszej rodziny, gdyż mój ojciec ograł go w interesach.

– Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

– Nie jestem pewien – odparł Lucien. – Być może, jeśli nie zareagujemy, sprawa przycichnie.

– Albo nie. – Alejandra zamknęła rękę męża w swoich dłoniach. – Ty zapewne uważasz, że atak będzie najlepszą obroną?

– Sytuacja nie jest aż tak dramatyczna. – Lucien się zaśmiał. – Nie mogą nas dosięgnąć tu, w Kencie, ale socjeta surowo karze tych, którzy naruszają panujące w niej zasady, a przedmałżeński seks jest uważany za wielkie wykroczenie.

– Ale my nie... nie wtedy w każdym razie.

– Nie miałaś przyzwoitki, a to wystarczy. Gdybyśmy jednak wzięli udział w balu wydawanym przez Gabriela, Daniel i reszta przyjaciół stanęłaby po naszej stronie.

– Czy to wystarczy?

– Dzięki pozycji i wsparciu wszystkich naszych rodzin może się uda ukreślić łeb tej aferze. Zresztą jesteśmy po ślubie, więc skandal nie jest tak pikantny, jak byłby, gdybyśmy nie zostali małżeństwem.

– Ile osób tam będzie?

– Niemal cała śmietanka towarzyska Londynu, o ile wiem. Gabriel ma szeroko rozgałęzione znajomości.

– A czy nie mówiłeś, że Gabriel nie angażuje się zbyt aktywnie w życie towarzyskie stolicy?

– Nie minąłem się z prawdą. To jest pierwszy od lat bal w londyńskiej rezydencji rodziny Hughesów, o jakim wiem.

Zaprzagnął bliskości żony, ściągnął więc buty i zakiet i położył się obok niej na łóżku. Mając jej głowę na swojej piersi, obejmując ją ramionami, poczuł się kompletny.

Pierzchły troski, jakie go wypełniały podczas dłużej się drogi z Londynu.

– Marzyłem o powrocie do domu – powiedział. – Kiedy cię opuszczam, natychmiast myślę o powrocie.

– Czekałam na ciebie, kochany. Odniosłam wrażenie, że dzień ciągnie się niemiłosiernie. Może go skrócimy? – Nie czekając na odpowiedź, zaczęła mu rozpinąć spodnie.

– Cokolwiek wydarzy się w wielkim świecie, nie zniszczy naszego szczęścia, Alejandro. Obiecuję ci to.

– Wiem – odparła.

Nazajutrz rano Alejandra czuła się nieco lepiej, chociaż wciąż nie otrząsnęła się z szoku wywołanego bezpardonowym atakiem wymierzonym w jej dobre imię. Stosunki z matką Luciena zaczynały układać się w miarę poprawnie. Co prawda, teściowa nadal milczała w jej obecności, ale od czasu do czasu kierowała w jej stronę dość przyjazne uśmiechy. Co teraz sobie o niej pomyśli? Alejandra wsunęła dłoń do kieszeni, w której nosiła różaniec, i dotknęła koralików w nadziei na wsparcie opatrznosci.

Będą musieli podjąć ryzyko i pokazać się na balu Gabriela i Adelaide. Trzeba żywić przekonanie, że osiągną oczekiwany rezultat i zapobiegą skandalowi. Jeśli nie podejmą wyzwania, nie stawiają czoła londyńskiej socjocie, to na zawsze pozostaną przedmiotem plotek i pomówień. Tymczasem ona przede wszystkim pragnęła spokoju, gdyż jej celem było harmonijne wpasowanie się w życie angielskiej rodziny, jedynej, jaką miała, i nieprzysparzanie zmartwień ukochanemu mężowi.

Lucien wciąż spał. W pierwszych promieniach świtu jego rozsypane na poduszce włosy lśniły złościście. Budzili się w nocy i kochali, osiągając niezwykły stopień bliskości. Alejandra ledwie musnęła palcem brodę męża, a on natychmiast otworzył oczy i obrzucił ja czujnym spojrzeniem.

– Przez lata, kiedy mnie nagle budzono, stawałem oko w oko z niebezpieczeństwem, teraz mam przed oczami piękno – powiedział Lucien, wsuwając palce we włosy żony. – Są śliczne, dobrze, że już nie rude.

– Nienawidziłam tego koloru, podobnie jak wszystkiego, co wiązało się z latami spędzonymi bez ciebie. Madryt kojarzy mi się z samotnością i żalobą. Gdyby wydarzyło się coś, co miałoby zagrozić nam tutaj...

– Nie martw się, ukochana. – Pogładził jej zmarszczone czoło. – Obiecuję ci solennie, że nic nas nie rozdzieli.

– Tę twoją pewność siebie pokochałam od początku, Lucienie. Przy tobie czuję się bezpieczna, a to bezcenne uczucie. Człowiek docenia je w pełni, jeśli wcześniej zaznał życia w nieustannym poczuciu zagrożenia. Poproś Christine, żeby zaprojektowała dla mnie suknię na bal u Hughesów, taką, w której na mój widok oniemiają wszyscy nasi wrogowie.

– Jesteś pewna?

– Z tobą u boku jestem gotowa na wszystko.

Przyciągnął ją do siebie. Oboje zapomnieli o wszelkich zmartwieniach. Świat przestał dla nich istnieć.

Dwa tygodnie później Alejandra siedziała w karecie jadącej do rezydencji

Hughesów. Byli spóźnieni.

– Nie martw się, poczekają na nas. – Lucien odsunął zasłonki w oknach, by móc obserwować ulicę.

Wcześniej po wyruszeniu z Linden Park obluźniła się oś w kołach pojazdu i musieli czekać w tawernie w Southborough na naprawę. Zanim dotarli do miejskiej siedziby Rossów, zrobiło się bardzo późno i przygotowaniom do balu towarzyszył niewyobrażalny pośpiech.

Alejandry nie interesował ruch uliczny. Z zamkniętymi oczami przesuwiała paciorki różańca i modliła się o pomyślne zakończenie wieczoru.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – uspokajał ją Lucien. – Za pięć minut większość obecnych pokocha cię tak mocno jak ja.

Jednak słowa męża nie rozproszyły jej niepokoju, który dał o sobie znać w ostatniej chwili, niejako wbrew jej wcześniejszemu przekonaniu, że mając przy sobie Luciena, bez lęku stawi czoło londyńskiej socjocie.

Ona, która oglądała pola bitew, wędrowała po niebezpiecznych górskich szlakach, która już jako młoda dziewczyna poznała tajniki walki na noże i na szable, Alejandra Fernandez y Santo Domingo, córka El Vengadora, była pełna obaw.

W Anglii wróg był inny, może mniej widoczny, za to bardziej wyrafinowany. Tutaj ją i Luciena mogło spotkać wykluczenie ze sfery, do której należeli, z powodu czegoś tak pozornie mało znaczącego jak plotka. Narzędzie to, raz uruchomione, działało samoczynnie praktycznie bez końca.

– A jeśli nam się nie uda?

– Mnie zawsze się udaje – oznajmił Lucien i spojrzał na nią tak samo jak w oliwnym gaju, gdzie uczył się chodzić po ciężkiej chorobie, w czasie której śmierć zaglądała mu w oczy.

Wyciągnęła rękę, chciała poczuć ciepło jego dłoni.

– Potraktuj to jak walkę, Alejandro. Dwa kroki w przód, jeden wstecz. Nie zdobędziemy przychylności wszystkich, wystarczy, jeśli przekonamy tylu, ilu trzeba.

Dobiegał ich uszu coraz głośniejszy szmer rozmów, w miarę jak wspinali się po schodach wiodących do okazałej rezydencji. Były wypełnione tłumnie przez zaproszonych gości, ubranych w eleganckie stroje, stosownie do okoliczności. Gdy dotarli do szczytu schodów, przez gwar rozmów przebił się uroczysty głos majordomusa, który ogłosił:

– Hrabia i hrabina Ross.

Po tych słowach zapadła wymowna cisza. Licznie wypełniający schody i hall goście zwrócili głowy w ich stronę. Pod obstrzałem ich ciekawskich spojrzeń hrabiostwo Ross przedfilowali do sali balowej. Zdenerwowana Alejandra potknęła się i kto wie, czyby nie upadła, gdyby nie miała przy sobie Luciena, który natychmiast ją podtrzymał.

– Uśmiechnij się, głowa do góry. Jesteśmy legalnym małżeństwem.

Podniesiona na duchu, zrobiła, jak mówił. Uniosła wzrok, śmiało patrząc w oczy mijanym kobietom i mężczyznom. Posyłała im uśmiechy, jakby się spodziewała, że usłyszy od nich jedynie komplementy oraz życzenia szczęścia i pomyślności. Zdenerwowanie nie opuściło jej całkiem, lecz nie pokazała go po sobie.

Powróciły do niej zasłyszane kiedyś słowa ojca: „Wszystko polega na pewności

siebie. Ludzie będą wierzyli w to, co chcesz, aby wierzyli”. Podobnie mama, która wieczorami, kiedy jeszcze żyła, szcztokowała jej włosy, pouczała: „Wygląd nie jest najważniejszy, moje dziecko, liczy się osobowość i charakter”. Alejandra pomyślała, że nieszczęścia, jakich los jej dotychczas nie szczędził, wydobyły z niej odwagę, wytrwałość i wolę przeżycia. Przetrwała w wojennym czasie w bardzo trudnych i niebezpiecznych okolicznościach, ma za sobą traumę związaną ze śmiercią bliskich. Nie pozwoli odebrać sobie szczęścia, na które już nie liczyła, i ukochanego mężczyzny, miłości swojego życia, którego nie spodziewała się ponownie spotkać.

Nie dba o to, czy zostanie znienawidzona przez socjetę. Nie obchodzi jej, czy spotka się z towarzyskim ostracyzmem. Najważniejsze jest to, że gorąca miłość, która połączyła ją i Luciena, znalazła szczęśliwy finał. Kochający, opiekuńczy i w pełni oddany jej mąż będzie przy niej trwał. Niczego więcej nie potrzebuje.

Wśród setek obcych twarzy znalazły się też znajome i przyjazne: Gabriela Hughesa i jego żony Adelaide, Daniela i Amethyst Wylde’ów i oczywiście Christine. W pewnym momencie podeszła do nich matka Luciena, po czym ujęła dłoń Alejandry i przytrzymała dłuższą chwilę.

– Witaj w rodzinie, moja droga. Przeprosiny to bardzo niewielka rekompensata za to, co ci uczyniłam. W tym gronie tutaj moje zachowanie znaczy dość dużo, dlatego ci je oferuję.

– Dziękuję. – Alejandra ścisnęła palce teściowej i się uśmiechnęła.

Potem poszło gładko. Zaroilo się od uśmiechów, życzeń, nowych znajomości. Lucien nie odstępował żony, a kiedy na podium zebrali się muzycy, żeby zagrać zebranim gościom do tańca, zwrócił się do Alejandry:

– Pierwszy będzie walc. Zatańczymy?

– Nigdy nie próbowałam.

– Poprowadzę cię, przekonasz się, że to proste.

Gdy stanęli na parkiecie, Lucien jedną ręką objął żonę, a drugą ujął jej dłoń i nieco przyciągnął do siebie. Alejandra z zachwytem patrzyła na jego półdlugie jasne włosy kontrastujące z czarnym frakiem, oczy o intensywnie niebieskim spojrzeniu, wokół których tworzyła się drobniutka pajęczynka zmarszczek, gdy się uśmiechał. Był tak piękny jak wtedy, kiedy go ujrzała po raz pierwszy na tle aloesowego żywopłotu, gdy opadł dym po bitwie. Naszła ją refleksja, ile zarówno dobrego, jak i złego ich od tamtej pory połączyło.

– Byłeś pewny, że się nam uda, prawda? – szepnęła.

– Kiedy zastanawiałem się nad naszą wspólną przyszłością, doszedłem do wniosku, że twoja uroda podbija serca moich ziomków. W tej czerwonej sukni wyglądasz wyjątkowo pięknie. Wiedziałem, że w czerwonym będziesz niezrównana.

– Dzięki tobie, Lucienie. Wszystko wyłącznie dzięki tobie.

Adelaide, żona Gabriela, odznaczająca się delikatnym typem urody, ujęła dłoń Alejandry i razem poszły do sali, w której podawano kolację.

– Cieszę się, że mogłaś przyjechać na nasz bal, Alejandro. Gabriel uważał, że powinniśmy wydać choć jeden wielki bal w naszym życiu, ja zaś mam nadzieję, że będzie to pierwszy i ostatni.

– Nie lubisz tańczyć?

– Ależ, lubię. Natomiast nie znoszę tego całego zamieszania i blichtru. Och, zapomniałam o czymś. – Adelaide sięgnęła do wyszywanej koralikami balowej torebki i wyjęła małą buteleczkę wypełnioną jakimś proszkiem. – Mam coś dla ciebie. Co rano przez tydzień bierz jedną łyżeczkę od herbaty. Daję to każdej młodej mężatce, bo pomaga na płodność i dobre samopoczucie. Działanie tego specyfiku opiera się na wierze, a słyszałam, że w Hiszpanii wierzy się w mądrości ludowe, więc jestem pewna, że dobrze ci zrobi.

– Dziękuję.

– Cieszę się, że Lucien jest szczęśliwy. Ewidentnie doskwierała mu samotność, chociaż nie brakowało okazji, żeby mieć towarzystwo. Tutejsze damy nie stronią od mężczyzn, a Lucien jest bardzo przystojny.

Jest piękny, pomyślała Alejandra. Potrafiła sobie wyobrazić, w jakim nastroju ranny i chory Lucien wrócił do kraju z przegranej wojny.

– Nigdy nie pozwolę, żeby znowu czuł się samotny – oznajmiła z przekonaniem.

– Amethyst zapewniała mnie, że cię polubię – odparła z uśmiechem Adelaide – i rzeczywiście tak się stało.

Pół godziny później Alejandra zmierzała do pomieszczenia przeznaczonego dla dam, które chciały poprawić strój lub makijaż albo po prostu odpocząć. Musiała ochłonąć po spotkaniach z tymi, którzy spieszyli z gratulacjami lub chcieli tylko popatrzeć z bliska na świeżo poślubioną żonę hrabiego Ross. Wieczór był istną huśtawką emocji, od lęku poprzez zdziwienie do zachwyty, potrzebowała więc chwili wytchnienia od ludzi i zgiełku sali balowej. Przystanęła zaskoczona na widok mężczyzny stojącego w pobliżu drzwi do damskiej gotowalni.

– Wszystkich pani oszuka, ale nie mnie, *señora*, ponieważ wiem, kim pani jest naprawdę. Zdemaskuję panią, choćby miało mi to zająć resztę życia.

– Jest pan autorem owej ryciny? Nazywa się pan Frank Walters?

– Nie, jestem wicehrabią Radford, a pani przynosi hańbę całemu rodzajowi żeńskiemu. Jeśli pani sądzi, że ujdą pani na sucho bezczelne kłamstwa tylko dlatego, że pokaże się u boku męża, to bardzo się pani myli. Powinna pani zniknąć z towarzystwa, i to bez prawa do powrotu, aby nie gorszyć swoim widokiem wszystkich przyzwoitych kobiet.

Zjadliwa napaść wstrząsnęła Alejandrą. Zrozumiała wszystko, chociaż zemocjonowany wicehrabia wyrzucał z siebie słowa jedno po drugim. Stał blisko. Na jego twarzy malowała się niepokohamowana nienawiść. Uniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć, i w tym momencie skończyła się cierpliwość Alejandry. Zasłoniła się przed uderzeniem, po czym chwyciła go za rękę, wykręciła ją za plecy i uniosła. Jęknął z bólu. Wystarczyło trochę mocniej docisnąć i mogłaby mu złamać rękę. Zrobiłaby to bez trudności.

– Zalecałabym, *señor*, poskromić swoją nienawiść. Mogłabym zrobić panu krzywdę, ale nie chcę się dla pana trudzić. – Pchnęła go łokciem w plecy i puściła. – Niech się pan trzyma z daleka ode mnie i mojej rodziny. Jeśli jeszcze raz zajdzie mi pan drogę, mój mąż pana zabije, a ja nie będę go prosiła, żeby tego nie zrobił. Rozumiemy się?



Odwaga i zajadłość błyskawicznie opuściły wicehrabiego. Alejandrze chciało się śmiać. Z przyjemnością patrzyła, jak znika w głębi korytarza.

– Zrobił ci krzywdę?

W korytarzu pojawił się Lucien.

– Słyszałeś?

– Wszystko. Mam go zabić już teraz?

– Nie sądzę, żeby sprawiał nam więcej kłopotów.

– To dobrze. Wracasz na salę?

Nie napominał jej i nawet nie wypytywał, co się stało. Uznał, że miała prawo bronić się tak, jak chciała. Była przekonana, że gdyby poprosiła Luciena, by zabił wicehrabiego Radforda, zrobiłby to bez słowa sprzeciwu i wahania. W pełni mogła polegać na mężu. Rozumiał, że różni się od innych kobiet, i za to ją podziwiał. Nie oczekiwał, że ona się zmieni w małżeństwie. Przeciwnie, miała być nadal sobą. To było partnerstwo w pełnym tego słowa znaczeniu.

– Pomyślałem, że moglibyśmy opuścić bal. Wprawdzie nie jest jeszcze późno, ale... – Wokół oczu Luciena utworzyła się siateczka drobnych zmarszczek jak zawsze, kiedy się uśmiechał.

– Ja też chętnie wróciłabym do domu – odparła Alejandra, ujęła męża pod ramię i poszli szukać gospodarzy, żeby się pożegnać.

W sypialni miejskiej rezydencji Lucien z ostrożną powolnością zdejmował z Alejandry kolejne warstwy ubioru. Leżący się jedwab sukni leżał u jej stóp, pozostała jeszcze bielizna i sznur pereł.

– Jakaś ty piękna – rzekł z zachwytem, kiedy znikły ostatnie warstwy batystu i jedwabiu, a w świetle świec zaśniła aksamitna skóra Alejandry.

– Dzięki tej sukni. Kilkanaście pań pytało mnie o krawcową. Odpowiadałam, że pracownia nazywa się Ma Soeur<sup>[3]</sup> i że jutro wyślę im wizytówkę z imieniem szwaczki.

– Podasz imię Christine?

– Wykluczone, ona nie życzy sobie, żeby ktokolwiek wiedział, iż zajmuje się projektowaniem sukien.

– Jestem otoczony kobietami, które nie są takie, za jakie publicznie uchodzą.

– To dlatego, że dobrze się czujesz we własnej skórze, mój kochany. Mężczyzna mniej pewny siebie odczuwałby zagrożenia przy takich kobietach.

– Mniej pewna siebie kobieta bezustannie prosiłaby mnie o pomoc.

– Podziwiają cię wszyscy przyjaciele. Każdy z nich, niezależnie od siebie, pytał mnie, czy wiem, jaki skarb posiadam, i każdy twierdził, że byłeś bardzo samotny przez lata naszej rozłąki.

– To prawda. – Przygarnął ją do siebie. Zdążył zdjąć frak i koszulę. – Byłem samotny, a oni nieustannie usiłowali skojarzyć mnie z taką czy inną damą, lecz myślałem tylko o tobie.

– Tylko my, Lucienie. Ty i ja.

– I tylko teraz. Gdzie dałaś do wygrawerowania mój sygnet?

– W Vigo. Tam udałam się z Pontevedry, kiedy w końcu zrozumiałam, że po mnie nie wrócisz. Wydałam na to ostatnie pieniądze, jakie miałam. Wiedziałam już, że jestem

w ciąży, i myślałam, że gdyby przytrafiło mi się coś złego, nasze dziecko będzie musiało samodzielnie odnaleźć drogę do ciebie. Niestety, potem nasze dziecko odeszło, a sygnet został mi ukradziony. Stało się to w Madrycie, w La Latinie. Zachodzę w głowę, jak ten pierścień trafił do ciebie.

– Angielski żołnierz wdał się w bójkę w Madrycie z włóczęgą, u którego zauważył drogocenny pierścień, w którym rozpoznał herb hrabiów Ross. Przywiózł go do Londynu i mi go zwrócił.

– W ten sposób dowiedziałeś się, że żyję i że nie zginęłam w pożarze hacjendy?

– To obudziło we mnie nadzieję, ale dopiero syn Luisa Alvareza potwierdził, że rzeczywiście tak się stało.

– Jednak wróciłeś do Pontevedry?

– Syn Luisa, Xavier Alvarez, opowiedział mi, jak siedziałaś na nabrzeżu jeszcze długo po tym, gdy jego ojciec wypłynął ze mną w morze, a ruszyłaś ścieżką w kierunku wzgórz właśnie wtedy, gdy zerwała się ulewa. Uzmysłowiłem sobie, że miałabyś za mało czasu, żeby zdążyć wrócić do hacjendy przed pożarem. Co innego, gdyby się nie rozpadało i nie musiałybyś czekać, aż ulewa się skończy, a także gdybyś wybrała krótszą drogę wzdłuż wybrzeża. – Lucien zamilkł na myśl, co by było, gdyby wypadki potoczyły się według najgorszego scenariusza.

– Myślisz, że nie mogłabym powiedzieć dokładnie tego samego o tobie? Gdybyś nie przyszedł po mnie do francuskiego więzienia i nie pomógł mi uciec, a wcześniej nie pojawił się w burdelu jako rzekomy Mateo, a przede wszystkim gdybyś nie uczestniczył w bitwie pod La Coruña, to...

– Ale uczestniczyłem – wpadł jej w słowo.

– Właśnie. Wiele musiało się zdarzyć, żebyśmy byli razem. Tylko teraz, pamiętaj. Jeśli przez całe życie będziemy kochali się tak jak teraz, cała reszta się ułoży. Przeszłość została zamknięta, nie odmienimy jej, choćbyśmy nawet bardzo chcieli, za to przyszłość jest w naszych rękach.

– Zadbajmy o teraźniejszość, skoro od niej zależy przyszłość.

Lucien zdjął resztę ubrania i przyciągnął Alejandrę do siebie.

– Jesteś całym moim światem, ukochana.

Po chwili słowa stały się zbędne.

Leżeli bez ruchu spleceni w uścisku w pomiętej pościeli. Ostatnia świeca dopalała się w lichtarzu, jej knot kopał, a płomień migotał, rzucając dziwne refleksy na sufit.

– Moja matka polubiłaby cię, Lucienie. Pochwaliłaby mój wybór.

– Opowiedz mi o niej.

– Rosalie Santo Domingo y Gimenez była córką jednej z najbogatszych rodzin właścicieli ziemskich w Galicji. Małżeństwo rodziców zostało zaaranżowane zgodnie z odwiecznymi zwyczajami w tej części kraju. Ojciec był silnym przywódcą swojego klanu rodzinnego i dziadek go podziwiał. Europa pogrążała się w wojnach i chaosie. W Enriquem Fernandezie y Castro widział prawdopodobnie obrońcę córki i całej rodziny, a także majątku przed zagrożeniem, jakie niosły niebezpieczne czasy. Tak się złożyło, że w ciągu jednej zimy wkrótce po ślubie młodej pary oboje rodzice Rosalie zmarli. Cały ich majątek przeszedł na ojca, człowieka zupełnie obcego.

– Dalsza rodzina matki nie była z tego powodu szczęśliwa.

– Matka na pewno była. Widziała, jak skutecznie, siłą przekonania lub groźbą, gromadzi wokół siebie ludzi, i rozumiała, że w czasach zawirowań liczy się zdolność zjednywania sobie sojuszników. W ciągu dwóch lat pod jego skrzydła schroniło się około trzydziestu właścicieli ziemskich. On ich przyjmował i nigdy nie oglądał się za siebie.

– A Rosalie?

– Ona też raczej nie. Nienawidziła wojny, brzydziła się przemocą, ale do tego czasu zdążyła stracić serce do męża. W Hiszpanii kobiety po ślubie przechodzą całkowicie pod władzę męża, a mój ojciec skorzystał skwapliwie z tego uprawnienia. Ja też po wyjściu za mąż zostałam bez majątku, podobnie jak wcześniej moja matka, gdyż wątpię, bym odzyskała swoje dziedzictwo, nawet gdy pokój powróci do Hiszpanii.

– Alejandro, dla mnie jest bez różnicy, czy posiadasz majątek, czy nie. Ożeniłem się z tobą, bo cię kocham. Moje inwestycje w produkcję zaczynają przynosić zyski i pod koniec roku finanse rodziny Rossów będą w dość zadowalającym stanie.

– Nie musiałeś szukać posażnej panny?

– Nie, zawsze marzyłem o znalezieniu pięknej i dzielnej hiszpańskiej wojowniczkii.

– A o czym marzysz teraz? – Nie czekając na odpowiedź, Alejandra pocałowała męża w usta.

Rano znowu czuła się niedobrze, miała torsje.

– Nie pomyślałaś, że mogłabyś być w ciąży, Alejandro? – zapytał Lucien, kiedy wróciła do wygrzanego łóżka.

Dokonała w myślach obliczeń. Z Rossem nie odczuwała żadnych dolegliwości, więc nawet nie przyszło jej do głowy, że teraz mogłoby być inaczej.

Dotknął jej piersi.

– Są pełniejsze, a sutki ciemniejsze. Czy nie jest to znak?

– Nie wiem. Nie przypominam sobie, jak było poprzednio.

– I ciągle jesteś zmęczona.

– Tak, ale myślałam, że to dlatego, iż muszę się bardzo wysilać, by rozumieć, jak do mnie mówią po angielsku.

– Może porozmawiaj z Amethyst albo z Adelaide. Wypytaj o te objawy.

Głaskał ją po brzuchu. Wiedziała, że bardzo chciałby, aby jego podejrzenia okazały się prawdziwe.

– Z mamą nigdy nie rozmawiałam o takich sprawach. A Maria była dużo ode mnie starsza, poza tym straciła jedyne dziecko, więc nie chciałam jej wypytywać.

– A dziewczęta w burdelu? Zapewne rodziły im się dzieci?

– Owszem, zdarzało się, ale ja byłam ich pracodawczynią, nigdy ich o nic nie wypytywałam. – Usiadła gwałtownie na łóżku. – Moglibyśmy spotkać się z Amethyst lub Adelaide?

– Teraz?

– Tak. Może rzeczywiście masz rację i moglibyśmy zostać rodzicami. Myślisz, że to możliwe?

– Nie mam najmniejszego pojęcia o przebiegu ciąży, ale ubierzmy się i jedźmy.

## Rozdział szesnasty

W bibliotece w Linden Park znaleźli się wszyscy najlepsi przyjaciele – Daniel, Gabriel i Francis. Popijając brandy, czekali wśród książek na pojawienie się na świecie pierwszego dziecka Luciena i Alejandry.

Doktor był przy niej od dobrej godziny, akuszerka od samego rana. Amethyst, Christine i Adelaide uparły się, że nie opuszczą położnicy, za co Lucien był im niezmiernie wdzięczny.

– To oczekiwanie jest zawsze okropnie męczące, Luce – odezwał się Daniel. – Przypominam sobie, jak to było, kiedy rodziła się Sapphire, nasza najstarsza córka. Myślałem, że ani żona, ani ona nie przeżyją i że na zawsze zostanę sam... – Urwał i uniósł do ust kieliszek z brandy.

– Wydaje mi się, że Lucien wolałby słuchać bardziej podnoszących na duchu opowieści – zaproponował Gabriel. – Na przykład o kobietach, które w jednej chwili rodzą, a w następnej jak gdyby nigdy nie wracają do swoich obowiązków.

– W Ameryce kobiety z plemienia Mohikanów udają się same w odludne miejsce nad wodą i tam rodzą – powiedział Francis i Lucien spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Uważasz, że mojej żonie dobrze by zrobiło, gdyby opuściła dom i poszła rodzić gdzieś w samotności?

– Nie. Chciałem tylko zauważyć, że poród bywa często względnie bezbolesny i łatwy.

– Niech no tylko Alejandra dowie się, jakie głupstwa opowiadasz, to da ci do wiwatu.

– Amethyst uważa, że ludzkość wyginęłaby, gdyby musieli rodzić mężczyźni – odezwał się znowu Daniel.

Lucien chodził tam i z powrotem od otwartych drzwi do okien. Upłynęły trzy długie godziny od chwili, kiedy pozwolono mu po raz ostatni zajrzeć do pokoju rodzącej. Czy prawidłowy poród musi trwać tak długo? Gdyby utracił Alejandrę... Nie, nie będzie o tym myślał. Popatrzył na Gabriela, którego maleńki synek miał prawie dwa latka.

– Bałeś się, kiedy Adelaide rodziła Jamiego? – zwrócił się do przyjaciela.

– W ciągu całego życia nigdy nie bałem się tak bardzo jak wtedy. Myślę, że to normalne.

– Mieliśmy inne dziecko, chłopczyka – powiedział Lucien, zanim się zastanowił, jakie wrażenie wywrą te słowa. Trafiły w ciszę jak wystrzały z karabinu. – Żył tylko kilka minut.

– Co ty opowiadasz! – wykrzyknął Daniel i zbliżył się do stojącego pod oknem Luciena. – W Hiszpanii?

– Urodził się po opuszczeniu przeze mnie Hiszpanii. Pięć lat temu.

– Alejandra urodziła go samotnie?

– Tak.

– Teraz nie jest samotna, ma nas. Jest otoczona życzliwymi ludźmi, którzy nie zawahają się jej pomóc. Tobie także. Za godzinę będziesz najszczęśliwszym z ludzi. Ja ci

to mówię.

– Jak miał na imię twój synek?

Lucien był wdzięczny Gabrielowi za to pytanie. Dzięki temu imię synka wybrzmiało w rodzinnej rezydencji.

– Ross.

– Bardzo odpowiednie imię, rodzinne – wtrącił Francis i uniósł w górę kieliszek. – Za Rossa. Niech pamięć o nim trwa wiecznie!

Wypili. Lucienowi zdawało się, że słyszy głos zmarłego synka zapewniającego go, że tym razem poród skończy się szczęśliwie i to dziecko, które przyjdzie na świat, dorośnie i będzie wiodło udane życie. Uśmiechnął się. Poczył już starania o sprowadzenie ciała maleństwa do Anglii. Alejandra dopilnowała posadzenia drzewa oliwnego i dębu w parku nad stawem. Ich liście będą szeptały małemu hiszpańską kołysankę do snu.

Uspokojony, usiadł. Wreszcie mógł się napić. Nie zdążył przełknąć pierwszego łyku, gdy w progu stanęła Amethyst. Uśmiech na jej twarzy dobrze wróżył.

– Żona cię wzywa, Lucienie.

Alejandra leżała w łóżku w nowej koszuli nocnej, którą Lucien przywiózł przed kilkoma tygodniami z Londynu. Ciemne włosy opadały jej na ramiona. W ramionach trzymała zawiniątko opakowane w biały wełniany koczek, który jego matka robiła na drutach przez długie zimowe wieczory.

Po jednej stronie łóżka stały Adelaide i jego siostra. Doktor i akuszerka ustawili się w rogu pokoju. Uśmiechnęli się do niego, gdy wchodził.

Lucien pospieszył do łóżka, chwycił wyciągniętą ku sobie rękę żony.

– Mamy małego synka, Lucienie. Prawdę mówiąc, wcale nie jest taki mały. Doktor zapewnia, że jest zdrowy i piękny.

Z zawiniątka patrzyły ciemnoniebieskie oczy. Skóra na buzi była poczerwieniała.

– Urodził się przed dwudziestoma minutami i samodzielnie oddycha. – Alejandra ostrożnie podała mu zawiniątko.

Było lekkie i zarazem cenne. Lucien poczuł nagły przyptyw wzruszenia. Ich dziecko, ich syn.

– Ustaliliśmy, że syna nazwiemy Ross, ale kiedy spojrzałam na niego, doszłam do wniosku, że powinien dostać własne imię. Jakie imię nosił twój ojciec?

– Jonathon.

– Nazwijmy go Jonathon Enrique na cześć obu ojców. W ten sposób połączymy przyszłość z przeszłością.

– Podoba mi się to. A tobie, Jonathonie?

Lucien podał malcowi palec, a ten uchwycił go silnie. Rodzina, dom – te wartości nie miały sobie równych. Rodzicielstwo również. Uniósł dłoń żony do ust i ucałował.

– Dziękuję, Alejandro.

– Proszę bardzo, Lucienie. Może zaprosimy wszystkich gości, żeby zobaczyli nowego członka naszej rodziny.

[1] Kpł 24,17. Biblia w przekładzie ks. Jakuba Wujka, Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1962 (przyp. tłum.).

[2] Rz, 3,23. Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallotinum w Poznaniu, 2003 (przyp. tłum.).

[3] *Ma soeur* (j. franc.) – moja siostra (przyp. tłum.).